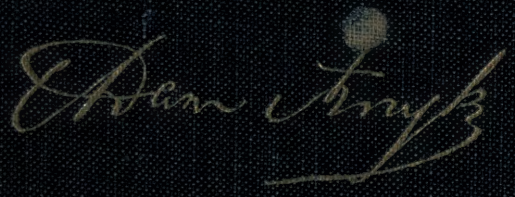

PG
7158
A9
1916
t.1

3 Vol. 70.--

412/800

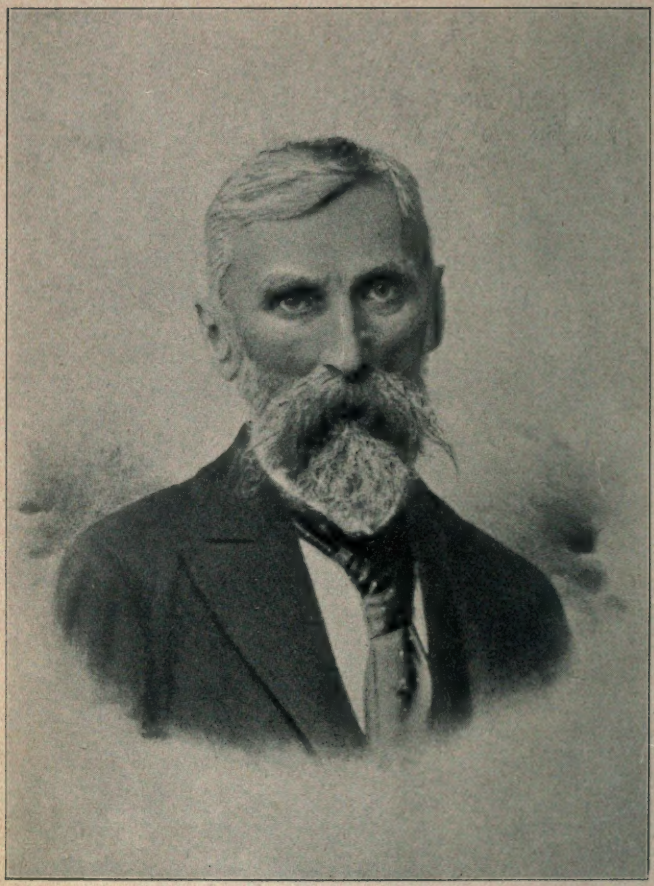

Asnyk w r. 1890.

PISMA.

ADAM ASNYK

(EL...Y).

PISMA

WYDANIE ZUPEŁNE.

W UKŁADZIE I Z OBJAŚNIENIAMI
F. HOESICKA I W. PROKESCHA.

POPRZEDZONE ŻYCIORYSEM I CHARAKTERYSTYKĄ POETY
Z KILKOMA PORTRETAMI.

TOM I.

Pamiątkę Stasiu o chwilach
spędzonych wspólnie
w szkole... Stef
Łódź 8-13 V 58

WARSZAWA 1916.
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA.

PG
7158
A9
1916
t.1
LIBRARY
MAY 1 1968
UNIVERSITY OF TORONTO

Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie,
pod zarządem L. K. Górskiego.

ADAM ASNYK.

CZŁOWIEK I POETA.

I.

W roku 1878 znany poeta czeski, Franciszek Kvapil, tłumacz poezyj Asnyka, zwrócił się do niego z listowną prośbą o główne daty z jego życia i twórczości. Poeta, czyniąc życzeniu temu zadość, w liście, datowanym z Krakowa, ze swego domu przy ulicy Łobzowskiej, dnia 23 stycznia 1879 roku, tak pisał w rzeczonej sprawie: „Nadsyłam również notatkę biograficzną, jednakże dla wielu względów wszystkie ciekawsze szczegóły, tak osobiste, jak publiczne, trzeba było pominąć milczeniem. Zrobiła się niekompletna, a przytem przewlekła i nudna gawęda, którą dlatego tylko posyłam, iżby Szanowny Pan wybrał z niej, co za stosowne uznasz. Najtrudniej podobno pisać o samym sobie. Zatem przebaczysz mi, Szanowny Panie, wszelki nieład w tej notatce".

Na szczęście, Asnyk w tym razie okazał się zbyt surowym krytykiem swej treściwej autobiografii, bo choć jest to tylko szkic, to jednak odznacza się potrzebnym ładem, a na miano „przewlekłej i nudnej gawędy“ wcale nie zasługuje [1]).

Oto pomieniona „notatka“:

„Urodziłem się dnia 11 września 1838 roku z ojca Kazimierza i matki Konstancyi z Zagórowskich, małżonków Asnyk [2]), w mieście Kaliszu, w Królestwie Polskiem, w dawniejszej ziemi wielkopolskiej [3]). Ojciec mój, były oficer wojsk polskich, jeszcze za czasów Wielkiego Księcia Konstantego, a później w rewolucyi z 30—31 roku w pułku strzelców pieszych, w bitwie pod Grochowem wzięty do niewoli, wysłany został na Sy-

[1]) Autobiografię tę, z autografu, uprzejmie udzielonego przez Franciszka Kvapila, ogłosił, już po śmierci poety, Kazimierz Bartoszewicz w wydawanym przez siebie *Przeglądzie literackim* w Nrze 19 i 20 z października 1879 roku.

[2]) Rodzina jego pochodziła z Pińszczyzny. „Jacyś elektorowie tam osiedli. Ja byłem u rodziców jeden. Jeżeli jest jeszcze ktoś z tego gniazda, to może w Gdańsku“. Zob. Józefowa Kotarbińska: Ze wspomnień o Adamie Asnyku w *Sfinksie* z roku 1908.

[3]) „W chwili urodzenia się syna, ojciec jego, Kazimierz, kapitan wojsk polskich z 1831 roku (pochowany w Krakowie w roku 1886), liczył lat 41, matka zaś, Konstancya z Zagórowskich, lat 36. W tym czasie Kazimierz Asnyk był kupcem i właścicielem hotelu w Kaliszu“. Zob. Antoni Kleczkowski: Adam Asnyk w *Nowej Reformie* z r. 1897 z sierpnia (zaraz po śmierci Asnyka).

beryę, gdzie kilka lat przebył. Po powrocie z Syberyi, z przeciętą już karyerą wojskową i pozbawiony środków, osiedlił się w Kaliszu i, na przekór ówczesnym pojęciom fałszywej szlacheckiej i wojskowej pychy, wziął się do wytrwałej pracy i handlowych przedsięwzięć, które mu się poszczęściły o tyle, że pomimo niezwykłej ofiarności dla drugich mógł mieć byt zapewniony. W Kaliszu poznał się i ożenił z matką moją, rodem z Wołynia, która stanowiła piękny a rzadki typ dawnej niewiasty polskiej, poświęconej tylko wyłącznie cichemu domowemu życiu i swoim obowiązkom [1]).

„Byłem pierworodnym ich synem i dostałem na chrzcie imiona Prot Adam. Dzieciństwo upłynęło spokojnie pod okiem pieczołowitej matki, której słodycz, tkliwość i głęboka, macierzyńska miłość niezatarty wpływ na młodą duszę wywarły. Uczyła mnie początków nauk i gry na fortepianie, w której na swoje czasy celowała. Ojca widywałem rzadziej, gdyż był zajęty nieustanną pracą. W chwilach wolnych uczył mnie musztry i zaprawiał do rygoru wojskowego. Swoją marsową powierzchownością i przybraną surowością, pod którą kryła się wielka dobroć, imponował mojej

[1]) O matce poety pisze Kotarbiński: „Iskrę ducha poetycznego otrzymał (Asnyk) od matki, która odrazu uwierzyła w jego powołanie i nagradzała 10-letniego malca za jego wierszowane powiastki".

dziecinnej wyobraźni. Przytem w ojcu przeważały demokratyczne tendencye, gdy tymczasem w matce odczuć można było jeżeli nie same pojęcia, to przynajmniej pewną wrażliwość arystokratyczną, tak w życiu i w stosunkach, jak w rzeczach form i smaku.

„Jak tylko nauczyłem się czytać, książki stały się moją namiętnością, a zaspokojenie namiętności było dla mnie tem łatwiejsze, że mój ojciec, w spółce z przyjacielem naszego domu, chrzestnym moim ojcem, doktorem Walentym Stanczukowskim, ze wszech miar zasłużonym mężem, założył, w celu rozbudzenia życia umysłowego w Kaliszu, pierwszą księgarnię, połączoną z czytelnią. Stamtąd czerpałem pełnemi rękami i pożerałem wszystko bez różnicy.

„Prócz tego, matka, troskliwa o moje wykształcenie, wzięła do mnie na domowego nauczyciela bardzo dobrego pedagoga, który mnie do czwartej klasy przygotował.

„Pierwsze silniejsze wrażenia, jakie odniosłem, były wiadomości o rzezi galicyjskiej i później o ruchach rewolucyjnych z 48 roku. Słyszałem prowadzone po cichu rozmowy, czytane i rozbierane artykuły gazet zagranicznych, szczególniej z Księstwa Poznańskiego, i moja dziecinna wyobraźnia ożywiała się i zapalała. Słowa: „Polska, Wolność, Braterstwo ludów“ brzmiały w mych uszach jak czarodziejska muzyka; coś już w części

rozumiałem, czegoś się domyślałem, słowem, dusza wyjrzała na jakieś szersze horyzonty[1]).

„Pod tym wpływem zacząłem pisać wiersze, które miały nastrój patryotyczno-religijny. Obok tego Chrystus na krzyżu, którego miałem obrazek nad łóżeczkiem, budził we mnie mistyczne zachwyty i obrazy jego męki wraz z obrazem odkupienia Polski i całego świata łączyły się jakoś tajemniczo w jednę całość.

„W 1849 r. oddali mnie rodzice do wyższej szkoły realnej w Kaliszu i tym sposobem powróciłem do rzeczywistego życia przez wpływ nauki i koleżeństwa. Zapomniałem o poezyi, a uczyłem

[1]) Stanisław Estreicher w swym szkicu o Asnyku, drukowanym w *Czasie* w r. 1897, tak pisze o intelektualnych wpływach, które wtedy w Kaliszu oddziaływały na przyszłego poetę: „Asnyk był epigonem tego wielkiego ruchu umysłowego, jaki rozpostarł się w całej Europie w pierwszej połowie bieżącego stulecia, stanowiąc antytezę do trzeźwej i pozbawionej idealizmu filozofii wieku oświecenia. Był on tylko epigonem tego ruchu. W chwili bowiem, kiedy dojrzewał i kształcił się, cały ten kierunek umysłowy należał już do rzeczy zamkniętych w sobie, dojrzałych, nie postępujących naprzód, można powiedzieć przeżytych. Na jego miejsce wystąpiły nowe prądy, innymi tory myśl społeczną prowadzące. Ale do małego miasteczka, w którem wzrastał przyszły poeta, nie były one jeszcze dotarły. Panowało tam bezwzględne uwielbienie dla podniosłego idealizmu lat minionych, karmiono się tam z zapałem wielkiemi myślami, zamkniętemi w pismach romantycznych poetów, i nie przeczuwano, że mogą być prawdy, tak potężnym prorokom nieznajome".

się chciwie, szczególniej matematyki i nauk przyrodniczych. Jakkolwiek chorobliwy stan zdrowia przeszkadzał mi nieco w nauce, jednak przechodziłem zawsze z nagrodą lub listem pochwalnym z klasy do klasy i w roku 1853 zdałem egzamin dojrzałości i otrzymałem tak nazwany patent. Byłem za młody jeszcze, żeby się udać odrazu na Uniwersytet, jak to było mojem marzeniem; pozostałem chwilowo w domu, ucząc się łaciny, niemieckiego, francuskiego i angielskiego, jak również botaniki i chemii, do których miałem zamiłowanie.

„Prócz tego aplikowałem w sądzie pokoju dla obeznania się trochę z prawem.

„Na jesień roku 1856 oddał mnie ojciec do instytutu agronomicznego w Marymoncie pod Warszawą. Poziom naukowy tego zakładu zupełnie nie odpowiadał moim pragnieniom; zachorowawszy więc na ostry reumatyzm stawowy, po paromiesięcznym pobycie powróciłem do domu. W tym czasie pisałem wiersze lub tłumaczenia, a w szczególności przetłumaczyłem B u r g r a f ó w Wiktora Hugo.

„W r. 1857 została otwarta w Warszawie akademia medyko-chirurgiczna. Nie mając do wyboru wówczas żadnego innego fakultetu w kraju, wstąpiłem do niej zaraz z jej otwarciem. Porzuciłem zupełnie poezyę i z zapałem oddałem się nauce i pracom anatomicznym. Poza nauką medycyny zawiązały się stosunki koleżeńskie, które przeszły w stowarzyszenia, mające na celu ogólne wykształ-

cenie akademickiej młodzieży, rozbudzenie w niej ducha patryotycznego, moralnych i estetycznych pojęć. Wspólnie z Janem Kurzyną i Władysławem Jaśniewskim stanęliśmy na czele tego ruchu, założyliśmy czytelnię i sprowadzaliśmy książki z zagranicy. Na wiosnę roku 1859 władza postanowiła wnieść reformy, mające na celu zapobieżenie studenckim związkom; studenci odpowiedzieli ogólnem podaniem się o uwolnienie. Jaśniewski i Kurzyna zostali aresztowani i uciekli potem za granicę, a ja za pasportem wyjechałem do Wrocławia, gdzie w dalszym ciągu zapisałem się na medycynę. Przebyłem dwa semestry, poczem na wakacye powróciłem do Warszawy, gdzie się już dla mnie poprzednio rodzice przenieśli.

„W Warszawie tymczasem wszystko już wrzało, a ponieważ liczne stosunki moje zwracały uwagę, po pierwszych manifestacyach warszawskich zostałem zaaresztowany i osadzony w cytadeli. Po pięciu tygodniach, dla braku dowodów i dla chorobliwego stanu, w jakim się znajdowałem, oddano mnie rodzicom. Lecz niedługo doszło ich ostrzeżenie, że mnie mają brać powtórnie. Rodzice więc sami zażądali, abym się schronił za granicę. Przed świętami Bożego Narodzenia 1860 roku, pożegnawszy rodziców, wyjechałem z kraju [1]) i przy-

[1]) „Mam pewność, iż w 1860 r. w październiku aresztowany był w Warszawie za t. zw. demonstracyę kościelną;

byłem do Paryża, gdzie zastałem już mego kolegę, Jana Kurzynę, w związku z generałem Mierosławskim, odgrywającego rolę polityczną na emigracyi. Lecz gorączkowe życie emigracyjne nie przypadało mi do smaku. Chciałem się przedewszystkiem uczyć, więc po sześciu miesiącach pobytu w Paryżu [1]) i odbytej podróży do Londynu, pojechałem do Heidelberga, gdzie na wydział filozoficzny przeszedłem.

„Prócz filozofii i historyi obrałem sobie za cel studyów ekonomię polityczną, prawo publiczne, prawo międzynarodowe, filozofię prawa, historyę

---

wypuszczony po paru dniach dostał się pod dozór policyi, lecz niebawem opuścił Warszawę i udał się za granicę". A. Kleczkowski: Adam Asnyk.

[1]) W warszawskim *Głosie* ogłosił Kazimierz Koszutski następujące o Asnyku wspomnienie z tego okresu życia poety. „W końcu 1860 r. Asnyk przyjechał do Paryża, gdzie serdecznie przyjęty został przez kółko uczącej się młodzieży. Trochę rozrzucony, nerwowy, lecz niezmiernie sympatyczny i towarzyski, od pierwszego poznania się u „Janka" (kawiarnia Żukowskiego, gdzie była czytelnia polska), stał się prawie codziennym gościem naszym. Mieszkałem wtedy razem z Aleksandrem Gostkowskim i Marcelim Żukowskim. Nie ulega wątpliwości, że dwudziestoparoletni poeta miał już w teczce niejeden wyśpiewany wierszyk; pomimo, iż schodził się u nas z Karolem Balińskim i Bohdanem Zaleskim, pomimo, że tak jeden, jak drugi nieznane utwory swoje przed nim czytali i widział, jak mi je oddawali do *Dziennika literackiego*, nigdy nam Asnyk poznać nawet nie dał, że w piersi jego żarzą się świeże iskry geniuszu poezyi".

prawa rzymskiego i niemieckiego, politykę, finanse, słowem, nauki społeczne. Przed wybuchem powstania wróciłem do kraju, biorąc żywy udział w wypadkach, które tak nieszczęśliwie zakończyć się miały [1]). Po upadku powstania, rozbity na

[1]) O tej przełomowej chwili w życiu poety tak pisze J. Kotarbiński (w swych feljetonach o Asnyku w *Dzienniku krakowskim* z r. 1896): „W roku 1862 wrzenie w kraju przerwało znowu jego studya naukowe. Wielcy poeci nasi z doby romantycznej nieszczęsnym zbiegiem okoliczności nie brali udziału czynnego w ruchu narodowym 1830 roku. Asnyk tymczasem pospieszył do kraju, brał czynny udział w organizacyi powstania, należał do członków Rządu Narodowego, a przy końcu r. 1863, ratując życie, musiał uchodzić z Warszawy". Stan. Krzemiński, który te czasy zna i pamięta dobrze, który sam w nich odgrywał rolę wydatną, zaznacza, iż „życie czynne oderwało wówczas młodzieńca od marzeń i przyniosło mu niejeden znój, udrękę i cierpienie". Skądinąd wiadomo jednak, iż przez pewien czas, po osłabieniu wpływu białych i wystąpieniu na widownię czerwonych, którzy zamierzali podtrzymać powstanie środkami rewolucyjnymi, Asnyk wraz ze znanym później komedyopisarzem, Józefem Narzymskim, oraz Ignacym Chmieleńskim, i innymi (Stanisławem Krzemińskim także) był nawet członkiem radykalnego Rządu Narodowego, który rozpoczął swą działalność od wrześniowego zamachu na niedawno wówczas przybyłego do Warszawy i znienawidzonego niebawem za taktykę murawiewowską hr. Berga... Ale rząd terrorystyczny nie cieszył się sympatyą społeczeństwa i po miesiącu ustąpił z widowni, a miejsce jego zajęła wkrótce dyktatura Romualda Traugutta. Zob. Wład. Bukowiński. Op. cit. „Co się dzieje w duszy człowieka po takim rozbiorze kraju, człowieka, który bierze udział czynny w jego ratunku!... Straszne!... to jest tak

duchu, zrozpaczony i chory, schroniłem się do Drezna, potem powróciłem do Heidelberga, lecz pod wpływem wstrząśnień, których doznałem, w połączeniu z osobistemi wzruszeniami, popadłem prawie w czarną melancholię. Rodzice, którzy przybyli mnie odwiedzić, przestraszyli się, widząc mnie w takim stanie, i namówili gwałtem do podróży. Zwiedziłem więc Niemcy, Holandyę, potem udałem się do Włoch, gdzie w Neapolu spędziłem zimę z r. 1864 na 1865. Tam nanowo wziąłem się do poezyi i stamtąd posłałem Dziennikowi literackiemu we Lwowie pierwszy wiersz, który był drukowany pod tytułem Podróżni w grudniu 1864.

„Pokrzepiony cokolwiek wyjechałem do Szwajcaryi, gdzie także kilka miesięcy spędziłem, a jesienią 1865 roku wróciłem znowu do Heidelberga dokończyć przerwanych studyów [1]).

„W grudniu 1866 r. zdałem egzamin i uzyska-

---

straszne, że mówić o tem nie można. Ostatni raz przechodziłem granicę w nocy, pieszo, przez Dubie... potem oparłem się aż we Włoszech z chorym na tyfus przyjacielem. Byłem długie tygodnie w szpitalu, pielęgnowałem go. Konał powolnie. Musiałem na to konanie patrzeć. Nie miał nikogo. Ja jeden byłem do ostatka. Straszne wieści przychodziły jedne po drugich, a kiedym się ocknął, już było po wszystkiem". J. Kotarbińska. Op. cit.

[1]) W Heidelbergu — pisze J. Kotarbiński — utrwalił Asnyk podwaliny swojego wykształcenia filozoficzno-naukowego w tak szerokim zakresie, że żaden z naszych wielkich poetów w równym stopniu poszczycić się niem nie może.

łem dyplom doktora filozofii. W r. 1867 na wiosnę pojechałem do Paryża na wystawę, a na jesień, korzystając ze zmiany stosunków w Austryi, przybyłem do Lwowa, aby być bliżej rodziców [1]).

„Umieszczałem poezye w *Dzienniku literackim*, w r. 1868-ym wydałem Gałązkę heliotropu, komedyę w 1 akcie wierszem, w 1869 pierwszy tomik poezyi, Lwów, nakładem Wilda. W 1870 r. sprowadzili się moi rodzice do Krakowa, do czego oddawna wzdychała moja matka [2]). Jednak rok

[1]) W dniu 21. września 1867 roku przybył Adam Asnyk do Lwowa bez paszportu i zamieszkał w domu Nr. 291, gdzie się mieściła redakcya *Gazety Narodowej*. Zawezwany przez policyę dla wylegitymowania się, oznajmił między innemi, iż więzienie rosyjskie, śledztwa i wypadki przeżyte wywarły niekorzystny wpływ na jego zdrowie, jest bowiem cierpiącym na piersi. Zapragnąwszy „korzystać z gościnności“ władz rządowych w Galicyi, przybył do Lwowa, wystosował prośbę do namiestnictwa o zezwolenie na przebywanie w kraju, i otrzymał na razie przyrzeczenie pomyślnej rezolucyi. Wartość majątku rodziców swoich, którzy przyrzekli mu, że osiędą również w Galicyi i nabędą jaką posiadłość, oszacował na kwotę 40.000 złr. Że władze rządowe niezbyt przychylne były dla poety, dowodzi fakt, że pomimo starań własnych, oraz swoich przyjaciół, obywatelstwo austryackie otrzymał dopiero 26. lutego 1880 r., więc w 13 lat po przybyciu do Galicyi, rozporządzeniem ministra spraw wewnętrznych (Nr. 17.623), jako przynależny do gminy Półwsie Zwierzynieckie pod Krakowem. A. Kleczkowski. Op. cit.

[2]) „W lat kilka po powstaniu, rodzice poety, spieniężywszy swoją realność w Kaliszu, przenieśli się na stały pobyt do Krakowa i zamieszkali najpierw przy ulicy Lubicz, gdzie

tylko cieszyliśmy się tem szczęściem, gdyż w listopadzie 1871 r. nastąpiła jej śmierć, tak dla mnie bolesna. Ojciec z żalu po jej stracie nie mógł wytrzymać w obcym dla niego Krakowie i powrócił do Królestwa, gdzie go dawne łączyły stosunki; ja po długiem osamotnieniu [1]), dopilnowawszy drugiej dwutomowej edycyi poezyi, nakładem Nowoleckiego w Krakowie, wyjechałem z początkiem września 1872 r. do Włoch, gdzie bawiłem do marca 1873 [2]). Tam napisa-

obecnie Hotel Europejski, następnie nabyli na własność skromny domek przy ulicy Łobzowskiej L. 7, w którym też Asnyk stale przez lat z górą 20 przemieszkiwał... Zasoby pieniężne Asnyków i ich jedynaka nie były wielkie, lecz, według zdania starych przyjaciół rodziny, wystarczające na byt niezależny, w skromnych, lecz znośnych warunkach". A. Kleczkowski. Op. cit.

[1]) „Przyjaciele poety i bliżsi, znający jego wiedzę i zdolności, doradzali i dokładali starań, aby człowiek tak utalentowany zająć mógł stanowisko w kraju odpowiednie. Trudne to było zadanie. Dla ludzi tego pokroju, tak bardzo „skompromitowanych" politycznie, wybitnym, czynnym udziałem w powstaniu, do tego „obcokrajowców", jak wówczas nazywano wychodźców z Królestwa, zaparte były wrota tych instytucyj, w których najlepiej na pożytek kraju siły swoje poświęcićby mogli. Projekt umieszczenia Asnyka na jednym z Uniwersytetów krajowych na katedrze literatury polskiej, lub też, co bynajmniej nie byłoby ponad jego siły i kwalifikacye, literatury słowiańskiej, lub powszechnej, upadł wobec nieprzezwyciężonych trudności..." A. Kleczkowski. Op. cit.

[2]) Jeszcze za życia matki nieraz była mowa o małżeństwie poety, któremu wogóle osamotnienie bardzo dawało się we

łem dramat Cola Rienzi, grany w tym roku w Krakowie i Lwowie i wydany drukiem w Kra-

---

znaki. Już Panna Leokadya wydrukowana w r. 1868 w *Dzienniku literackim* oraz niektóre wiersze z tego czasu, jak Legenda pierwszej miłości, pozwalają się domyślać, że Asnyk przeszedł przez jakiś zawód sercowy. Ale to nie zraziło poety, ani jego rodziców, którzy w małżeństwie widzieli szczęście dla swego jedynaka. „Myśl o wejściu w związki małżeńskie — pisze w swych feljetonach o Asnyku Ant. Kleczkowski — narzucana dawniej przez matkę, następnie przez ojca i przyjaciół, których liczba olbrzymio rosła (budził bowiem obejściem swojem i przymiotami powszechną sympatyę) wiodła poetę między ludzi, do ich środowisk i domów, aż wreszcie, o ile mi wiadomo, po raz pierwszy żywszem tętnem zabiło w nim serce po zawarciu bliższej znajomości w Krynicy, w lecie 1871 roku, z panną A. G., osobą bardzo piękną (sądząc z fotografii znajdującej się u jednego z najstarszych przyjaciół poety), przytem wykształconą, dobrą i zamożną (według informacyi z tego samego źródła)". Okazuje się jednak, że te informacye wiele pod względem ścisłości pozostawiały do życzenia, bo po pierwsze podany tu przez Kleczkowskiego r. 1871 nie jest datą prawdziwą, a po drugie wszystko, co potem następuje w pomienionym ustępie o pannie A. G., o jej chorej matce, o ich majątku w Lubelskiem, o liście ojca panny do poety, absolutnie nie zgadza się z prawdą.

W rzeczywistości miało się tak:

W roku 1868, w Szczawnicy, poznał 30-letni wówczas Asnyk pannę Anielę Grudzińską, zamożną jedynaczkę, córkę obywatelstwa z Królestwa, z Rawskiego, która tam bawiła razem z matką. Z wrażeń doznanych tego lata powstały księżycowe rojenia Z podróży Dunajcem i żałosne strofy na temat: Gdybym był młodszy... Bo, niestety, panna

kowie. W r. 1874-tym napisałem dramat społeczny „Żyd“, przedstawiony i drukowany w Krakowie.

---

była o całych 15 lat młodszą od poety... Następnych wakacyj znów się spotkano w Szczawnicy, skąd nawet pojechano razem do Krakowa. Rozstano się dopiero na granicy w Szczakowie, dokąd poeta odwiózł te panie. W roku 1870 spotkano się w Krynicy, gdzie Asnyk już formalnie zaczął konkurować o pannę, choć go bynajmniej nie zachęcano w tym kierunku, ani łudzono choćby najmniejszą nadzieją... Z tych wakacyj datuje się wiersz: Posyłam kwiaty, napisany na dzień 2 sierpnia, jako na dzień imienin panny Anieli. Rozjechano się znowu w Szczakowie. Poeta wrócił do Lwowa, skąd niebawem przeniósł się do Krakowa. W październiku, w odpowiedzi na swoje listy z zapytaniem, czy może mieć nadzieję poślubienia panny Anieli, otrzymał list od jej matki, rozwiewający jego złudzenia... Wtedy to poeta napisał swą przepiękną Rezygnacyę:

Wszystko skończone już pomiędzy nami
I sny o szczęściu pierzchły bezpowrotnie...

Panny Anieli już nie zobaczył więcej.

Upłynęło od tego czasu lat czterdzieści. Pani S., jako pamiątkę po poecie, przechowuje jego listy i wiersze, które on w swoim czasie pisał pod wpływem swej miłości ku niej, a które jej bądź ofiarowywał, bądź przesyłał w autografach.

Wierszy tych, oprócz Dwóch Sonetów z godłem z Heinego, jest pięć: Karmelkowy wiersz, Z podróży Dunajcem i Gdybym był młodszy (ofiarowane pannie Grudzińskiej w Szczawnicy w roku 1868), Zwiędły listek (dołączony w r. 1869 do listu ze Lwowa) i Posyłam kwiaty.

Listów zaś, pisanych w r. 1869 i 1870, a datowanych ze Lwowa i Krakowa, jest ośm. Wszystkie są prześlicznie, bardzo

„W 1875 r.[1]) wstąpiłem w związki małżeńskie z Zofią Kaczorowską, córką lekarza z Poznania, poznaną w Tatrach, gdzie zwykle na lato przy-

starannie pisane (z pewnością przepisywane z brulionu), bardzo poetyczne miejscami, bardzo wykwintne, a niezmiernie zajmujące pod względem psychologicznym, prawdziwe listy poety!

[1]) „W Zakopanem w 1874 roku zawarł znajomość z rodziną znakomitego lekarza i zasłużonego obywatela, radcy zdrowia, doktora Kaczorowskiego z Poznania, i poznawszy przymioty córki jego, jedynaczki Zofii, zapałał ku niej uczuciami, które nie pozostały bez wzajemności. Za zezwoleniem rodziców poprowadził też oblubienicę swoją do ołtarza w Poznaniu, poczem wraz z żoną osiadł w Krakowie". Kleczkowski, Op. cit. Kotarbiński tak pisze o tym okresie życia poety: „W roku 1871 stracił ukochaną matkę i opuścił razem z ojcem miejsce (Kraków), gdzie go dotknęło nieszczęście, i pojechał do Włoch, gdzie już dawniej kojącym wpływem przyrody i arcydzieł sztuki leczył cierpienia duszy. Wrócił po dwu latach do naszego miasta, poznał w Zakopanem pannę Kaczorowską, córkę głośnego lekarza w Poznaniu, i poślubił ją w roku 1875. Niedługo jednak cieszył się szczęściem domowem, albowiem w rok potem towarzyszka poety zmarła w Poznaniu w domu swych rodziców, wydawszy na świat syna. Cios ten zachwiał nawet zdrowiem poety, który ukojenia szukał na łonie górskiej przyrody i należał w swoim czasie do najwytrwalszych taterników. Zwiedzał wszystkie szczyty i urwiska i dokonał paru niezwykle śmiałych wycieczek". „Włodzio — opowiadał z czasem Asnyk — urodził się w Poznaniu. Mój teść był doktorem, chciał nad córką czuwać, więc tam pojechała i w tydzień po przyjściu na świat dziecka umarła. Chore serce nie przetrwało ciężkiego przejścia. Była jedyną córką rodziców, którzy po stracie

bywałem [1]). Ale i szczęście małżeńskiego pożycia nie było mi przeznaczone. Po niespełna roku opuściła mnie, umierając, żona, pozostawiwszy mi na pociechę syna" [2]).

---

dziecka znienawidzili zięcia. Córka ich miała chore serce, ale oni snać mieli serca... małe". Józefowa Kotarbińska. Z e w s p o m n i e ń o A d a m i e A s n y k u, *Sfinks*, 1908, str. 301.

[1]) „Za zgodą ojca wspólny majątek ich ulokowany został w papierach publicznych, wówczas za rentowne i korzystne uchodzących; nastąpił jednak nieprzewidziany cios, który spowodował materyalną ruinę poety i spotkanie się oko w oko z ubóstwem. Wielki krach giełdowy w r. 1873 pozbawił obu Asnyków, ojca i syna, prawie całego mienia. Pozostał im zaledwie małą wartość podówczas przedstawiający domek przy Łobzowskiej ulicy... Po powrocie z zagranicy, papiery niegdyś wartościowe, owoc pracy i zachodów ojca, oszczędności matki, znalazł poeta jako bezużyteczną bibułę. W pracy szukał otuchy i zapomnienia dotkliwego ciosu". Zob. Ant. Kleczkowski. Op. cit. „Położenie finansowe Asnyka, choć przechodził krach wiedeński i spadek papierów, w których miał 30.000 złr. odziedziczone po rodzicach, a zrealizowane za 1500 złr... choć płacił parę razy weksle za przyjaciół, nie było opłakane. Na znacznym majątku syna miał dożywocie, swój domek i jeszcze jakieś gdzieś pieniądze. Ile, nie wiem, ale wiem, że były, bo nieraz mówił, iż nie odbiera regularnie procentów. Nadto przez długi czas pobierał pensyę jako redaktor *N. Reformy*". Józefowa Kotarbińska. Op. cit.

[2]) „Pamięci zmarłej żony i matki swego jedynaka wiernym pozostał do śmierci, a w portrecie jej, w rysach łagodnych, w wyrazie twarzy rozumnym i szlachetnym, znajdował rozkosz wymiany myśli i dzielenia się troskami, trapiącemi go w osamotnionem życiu". Kleczkowski. Op. cit.

Na tem się kończy autobiograficzna notatka, skreślona przez Asnyka. Uzupełnia ją Kotarbiński, który na podstawie informacyj, zaczerpniętych u źródła, w ten sposób kreśli dalsze koleje życia poety:

W roku 1882 należał poeta do założycieli *Reformy*, nazwanej po roku *Nową Reformą*, i w tem piśmie pracował z gronem towarzyszy, stojących przy demokratyczno-liberalnym sztandarze, t. j. z B. Lutostańskim, Miecz. Pawlikowskim, Tadeuszem Romanowiczem i Tadeuszem Rutowskim. Kilka lat podpisywał to pismo, jako wydawca odpowiedzialny, potem jako redaktor przez pewien czas kierował jego feljetonem. W roku 1895 usunął się z grona redakcyi, nie zerwawszy jednak węzłów, łączących go z dziennikiem. W roku 1883 wybrany do Rady miejskiej... zasiadając jako jej przedstawiciel w komisyi teatralnej, czuwający nad rozwojem naszej sceny. W roku 1889 działalność jego społeczna uwieńczoną została wyborem na posła do Sejmu krajowego we Lwowie. Fakt ten był wielką wygraną partyi demokratycznej w naszem mieście, który odbił się echem radosnem w całej prawie prasie polskiej. Przyklasnęli mu nawet pisarze umiarkowani barwy zachowawczej, ciesząc się z wyboru człowieka wielkiej inteligencyi, cnót obywatelskich i nieposzlakowanej prawości: poety, stojącego na wyżynach swego zawodu, którego krakowski ogół otaczał powszechną czcią

i uznaniem. Jako poseł poświęcał się Asnyk przeważnie sprawom szkolnym, pracując w komisyi sejmowej. Będąc przedewszystkiem poetą, nie czuł się w swoim żywiole wśród sporów i zawiści partyjnych, więc po odbyciu jednej kadencyi usunął się dobrowolnie z dziedziny politycznego życia [1]). Jako prezes Towarzystwa oświaty ludowej, położył wielkie zasługi dla tej instytucyi i przykładał czynną rękę do ważnej sprawy założenia szkoły polskiej w Białej, mającej stanowić opokę dla młodzieży naszej, zagrożonej na kresach falą germańskiego zalewu... W roku 1894 odbył wycieczkę do Cejlonu oraz Indyj wschodnich [2]).

---

[1]) „Zdrowie poety od 1890 roku, w którym jeździł do Paryża, aby przywieść na Wawel zwłoki największego z wieszczów Polski, coraz więcej pozostawiało do życzenia. Podczas sesyi Sejmu w r. 1892 dostał silnego krwotoku i podówczas już zatrwożył swych przyjaciół. Wyjazd na południe i w następnych latach odbywane podróże do krajów o łagodniejszym klimacie działały wzmacniająco, lecz nigdy na długo, to też po powrocie zazwyczaj z pewną obojętnością zwykł był mawiać o oczekiwanym, a blizkim kresie swojego życia". Kleczkowski. Op. cit.

[2]) Podróżą (na Cejlon) wrócił oczarowany. Opowiadał, iż wszelkie opisy nie dorównywują rzeczywistości. W Bombaju zatrzymywał się dwa dni. Zwiedzał miasto, a za miastem wyspy, „owe sławne Mallabarhill, na których wznoszą się Wieże milczenia, gdzie składane bywają ciała umarłych na pożarcie sępom, krążącym w wielkiej ilości w pobliżu". O samym Cejlonie mówił z entuzyazmem. Z hotelu, w którym mieszkał, miał cudny widok. „Wzrok ogarniał nieskoń-

Z końcem lutego 1897 r. wyjechał dla poratowania zdrowia do Neapolu, skąd powrócił dnia 25 kwietnia z zarodkami tyfusu.

Długotrwała, uporczywa gorączka wywołała odnowienie się dawnych blizn gruźliczych. Rozwinęły się gwałtowne suchoty, które w krótkim czasie strawiły wątły organizm.

II.

Rozgłos i sława przemija tak marnie,
Jak tuman pyłu, którym wicher kręci...
Choć nagle cały widnokrąg orgarnie,
Znikając z oczu, znika i z pamięci.

Opada fala uwielbieniem wrząca,
I tych, co w górę wyniosła na sobie,
Po krótkiej chwili znowu na dół strąca,
I grzebie żywcem w zapomnienia grobie.

Powoli nawet dźwięk imienia głuchnie;
Zgłuszą go nowi tłumu ulubieńce,
I w bezimiennem rozsypią się próchnie
Oznaki hołdów i laurowe wieńce.

---

czoność Oceanu Indyjskiego i całą linię wybrzeży od portu i fortyfikacyi, aż do Mount Lavinia, które widać było przez zielone wstęgi gajów palmowych, magnolii, mimozy i tamaryndów. Cała ta część miasta, w której mieszkałem, stanowiła jeden wspaniały ogród; wille Bengalów i Europejczyków pomieszane w nim z chatami Syngalezów". Niezapomniane wrażenie wywierało na nim jezioro wewnątrz miasta, pokryte białymi kwiatami lotosów. W potocznych gawędach opowiadał o wspaniałej florze Cejlonu i bogatej faunie Indyj, gdzie „jak w arce Noego można ciągle spotkać wszystkiego po parze". Józefowa Kotarbińska. Op. cit.

Takie pesymistyczne refleksye na temat sławy literackiej nasuwały się Asnykowi w początkach roku 1897 na kilka miesięcy przed śmiercią. Choć jeszcze tworzył rzeczy mistrzowskie, choć jeszcze go było stać na arcydzieła, czuł się opuszczonym, zniechęconym, niedocenionym, zapomnianym (do czego otwarcie przyznawał się w rozmowach poufnych). Uważał, iż mu się dzieje krzywda, że za głośno było o „nowych tłumu ulubieńcach", a o nim za cicho; skarżył się, że na czwarty tom swoich poezyj nie mógł znaleźć nakładcy [1]), choć proponował jego wydanie najwybitniejszym firmom księgarskim; użalał się na upokarzające trudności, z jakiemi miał do walczenia, gdy chodziło o zbiorowe wydanie jego pism, które możeby nigdy nie doszło do skutku, gdyby nie zabiegliwe wstawiennictwo przyjaciół; niecierpliwił się i narzekał, gdy miesiącami musiał czekać na wydrukowanie swoich wrażeń Z obcych stron; aż wreszcie, dnia 2. sierpnia 1897, po długiej i ciężkiej chorobie, podczas której nieraz się czuł opuszczonym i zaniedbywanym, rozstał się z tym światem.

Pochowano go na Skałce, właśnie tam, gdzie nie chciał spoczywać po śmierci, a „mało grobów— powiedziano trafnie — tak szczelnie zamknęło

[1]) Ostatecznie wyszedł ten tom IV. (aż po dziś dzień nie wyczerpany!) nakładem *Nowej Reformy* w r. 1894. Jeszcze na parę dni przed śmiercią skarżył się Asnyk, iż tom ten wcale się nie rozchodzi...

czyjąś sławę, jak grób Asnyka". Myślą mierzył nieskończoność, przebywał na szczytach i nad głębiami, mówił „jako cząsteczka wszechświata myśląca", a był i będzie rozkoszą tych dziesięciu tysięcy, które dążyć będą za myślą górną, dla których odpocznieniem będzie przebywanie w atmosferze jego ducha, którzy z nim razem zrozumieją, że „dopiero w związku z wszechświata ogromem człowiek granice istnienia rozszerza". A miłując ludzkość, kraj, naród, ustroiwszy duszę swą w najświetniejsze klejnoty wyczuć, umysł we wszystkie skarby intelektu, w sercu nie wyhodował miłości dla... ludzi. Odszedł też niekochany, mogiła jego bezkwietna, zimna. Wlókł się za nim leniwie żal zbiorowy, ale żadne „jedno serce" poza grobem nie śledzi w mlecznych szlakach po niebie drogi jego ducha, nie tęskni, nie płacze... nad trumną nie załkało. A blade widziadło na cmentarnej drodze, zda się, wciąż jęczy:

Ach, serce ludzkie tak zmienne,
Dawszy mi łoże kamienne,
Cień zapomnienia głęboki
Nad grobem mym rozpostarło...
Choć jestem całej epoki
Myślą umarłą [1]).

Upłynęło od tego czasu lat 16, a dla pośmiertnej sławy Asnyka nie uczyniono dotąd prawie nic!

[1]) Józefowa Kotarbińska. Ze wspomnień o Adamie Asnyku w *Sfinksie* z r. 1908. Tę samą smutną

Nie pomyślano nawet o zupełnem wydaniu jego pism wierszem i prozą, pomimo, iż ostatnia ich 5-tomowa a wcale nie kompletna edycya z roku 1898 (której się już nie doczekał) oddawna już jest całkowicie wyczerpana.

A przecież Asnyk, jako „największy niewątpliwie, a niedoceniony dotąd przez szerszy ogół liryk nasz drugiej połowy XIX. stulecia", należy do najznakomitszych poetów swojej epoki, nie tylko w Polsce [1]). Z pośród naszych poetów poromantycznych, „ani jeden nie ma tak słusznego prawa do miana poety europejskiego, jak Asnyk" [2]). Albowiem „ani jeden z ówczesnych poetów pol-

---

refleksyę rozwija dalej J. D. w swem subtelnem Słowie o Adamie Asnyku, gdy pisze, co następuje: „Pochowaliśmy ziemskie jego szczątki w narodowym Panteonie, zapisali jego imię złotemi głoski w Panteonie wielkich imion, i przeszliśmy nad nim do porządku dziennego. Zarejestrowaliśmy go w podręcznikach literatury między epigonami romantyzmu, nieco wierszy jego, zwłaszcza lżejszych, wsunęli do salonowych wydań ulubionych poezyi, zamianowaliśmy go lirykiem refleksyjnym, prócz tego autorem milutkich i wdzięcznych artykułów, ale wzruszeń i poezyi wolimy szukać u rozczochranych, drapujących się w pióra sztuczności i Weltschmerzu modernistów, bliższych nam dzisiaj i oddających lepiej nastroje naszej skomplikowanej duszy, co już tak odbiegła od prostych myśli i uczuć Asnykowskich".

[1]) Wład. Bukowiński. Poeta melodyi i głębin (Adam Asnyk) w *Sfinksie* z r. 1908.

[2]) Ign. Chrzanowski. Liryka patryotyczna Asnyka. Kraków, 1913.

skich nie poruszał tak często uczuć i zagadnień ogólno-ludzkich", a „w cyklu sonetów Nad głębiami odbiła się praca myśli filozoficznej całego wieku" [1]). „W całej poezyi swojej Asnyk, jako

[1]) Tamże.

Będąc takim „poetą europejskim", poruszającym uczucia i zagadnienia ogólno-ludzkie, jest Asnyk, jako pisarz, najbardziej kosmopolitycznym z naszych poetów. Uderzyło to już w roku 1869 bezimiennego krytyka poezyi El...y'ego w krakowskim *Kraju* w Nrze 94 z d. 15. czerwca, gdzie z powodu ukazania się pierwszego tomu wierszy Asnyka (wydanych we Lwowie u Wilda), między innemi spotykamy się z następującą uwagą: „Nareszcie jedną jeszcze z cech tego talentu jest pewna barwa kosmopolityczna poezyi, jeżeli się tak wyrazić wolno. Nie mówię tu o stronie patryotycznej, bo ta, choć w sposób czasem oryginalny trochę, przebija się wszędzie. Poeta serdecznie kocha Polskę i nawet gdy ją chłoszcze bezlitośnie, to także widocznie z miłości. Ale brak tu tej barwy miejscowej, tego oryginalnie naszego kolorytu, którym odznacza się większa część arcydzieł literatury naszej. Z wyjątkiem Pierwiosnków każdy prawie wierszyk byłby równie zrozumiałym dla Francuza lub Włocha, jak dla Polaka. Nie twierdzę, że to wada, wcale nie. Niekoniecznie trzeba być Lenartowiczem lub Polem, żeby być poetą i znakomitym i narodowym; zaznaczam tylko to, co według mego zdania istnieje". Na ten pewien kosmopolityzm poezyi Asnyka zwraca także uwagę i Józef Kotarbiński w swem studyum o poecie, drukowanem w r. 1883 w *Tygodniku powszechnym*. W wierszu Na pobojowisku, pomimo jego patryotycznego zabarwienia, „cierpienie występuje z pozorem kosmopolitycznym, gdy konający od kuli żołnierz (powstaniec) skarży się nietyle jękiem rodzimego bolu, ile głosem cierpień całej ludzkości. Wogóle żywioł

poeta, jest filozofem, a jako filozof jest poetą. Z pośród wszystkich naszych wieszczów on zajmuje bezsprzecznie pierwsze miejsce, jako poeta-uczony. Mickiewicz poetyzował sny mistyczne, Krasiński opromieniał blaskiem swoich natchnień metafizykę filozofów - romantyków: u Asnyka mamy naukę ścisłą, prawa, systemy współczesnej wiedzy, cały program pozytywizmu, teoryę poznania, psychologię doświadczalną, hypotezę Kanta - Laplace'a (przedstawioną przepysznie w wierszu Mgławice), teoryę atomistyczną, materyalistyczne pojmowanie dziejów i t. d. i t. d. niemal że wzory matematyczne, przekute na poezyę i ubrane prawie bez wyjątku w szatę tak ponętną, jakby to były rzeczy, które od wieków mają swe dziedzictwo w państwie Apollina" [1]). „Głęboki, najgłębszy wśród rzeszy poetów naszych umysł, jest zarazem bardzo jasny, nie szuka zawiłości i łamigłówek, wypowiada myśl naczelną otwarcie, c asami nawet zbyt nago. Poetyczną szatą jego pomysłów abstrakcyj-

swojski znajduje słabe odbicie w poezyach Asnyka, którego umysł okazuje widoczną skłonność do zagadnień ogólnoludzkich. Nawet uczucie i wyobraźnia nie działają na podstawie pojęć i wyobrażeń rasowych... Jego parafrazy poezyi ludowej pomimo wdzięku formy i zestawienia współrzędnego obrazu przyrody z czuciami człowieka, nie mają właściwego charakteru, dalekie są nawet od idealnej sielskości Lenartowicza".

[1]) J. D. Słowo o Adamie Asnyku. Odczyt niewygłoszony. Warszawa-Kraków, 1906.

nych jest najczęściej allegorya bardzo przejrzysta, lub obrazowość, barwna, tęczowa, z pod której myśl wyłania się miękko, wyraźnie, jak linie czoła pięknej kobiety, otulonej leciuchną gazą. Czasami, a zwłaszcza w początkach twórczej pracy, gaza staje się gęstszą, kształty w niej trochę majaczą, ale nigdzie nie masz tej symboliki mglistej, która plątaniną dziwaczną zasłania ideę naczelną, albo też przyczepia zewnętrznie tylko treść ideową do znaków plastycznych. Poeta nie uległ ani razu pokuszeniom dzisiejszego symbolizmu, który w sztuce bywa ruchem wstecznym, starając się ją nawrócić do form naiwnych, nieszczerze podrobionych. Nie zniża się Asnyk do dekadentyzmu, jest wieszczem dążeń idealnych, jednym z najpierwszych poetów naszej epoki na całym świecie. Urok jego pieśni podnosi forma mistrzowska. Łączy ona lekkość, pieściwość melodyjną, powiewność, z doskonale wytrzymaną rytmiką. Strofy liryczne grają cudownie w uchu i jednocześnie są klejnotami szlifowanymi w regularnych kształtach. Najpiękniejsze jego liryki są kryształami silnie stężonych uczuć i myśli, których piękność przez formę utrwalił znakomity poeta na wszystkie czasy“ [1]). „Ten

[1]) Józef Kotarbiński. Adam Asnyk (w *Dzienniku krakowskim* z grudnia 1896). Tenże J. Kotarbiński w swem studyum o Asnyku, ogłoszonem w r. 1883 w *Tygodniku powszechnym* tak pisze o nim: „Asnyk należy potrosze do dzisiejszego typu poetów-wirtuozów, którzy różnią się od

niezrównany artyzm, to wirtuozostwo słowa, jakiemu równych w liryce greckiej szukaćby chyba trzeba, stanowi drugą zasadniczą cechę twórczości Asnyka... U Mickiewicza spotykamy się niewątpliwie z większą plastyką w obrazowaniu, z większą siłą i wyrazistością, a niekiedy z polotem niebotycznym. Słowacki poza potęgą wyobraźni oczaruje nas, porwie i zachwyci bajecznym wprost przepychem języka, lśniącego brylantami, oślepiającego wszystkiemi barwami tęczy, skąpanej w szafirach, granatach i lazurach morza, i w gorących, złotych promieniach południowego słońca. Ale — bez ujmy dla wielkich poprzedników Asnyka — przyznać trzeba, że żaden z nich nie zostawił następcom w spuściźnie takiego jak El...y bogactwa, takiej zadziwiającej rozmaitości wykwintnie, po mistrzowsku rzeźbionych strof, nikt z nich nie był równie skończonym, świadomym swego kunsztu artystą słowa“ [1]). „Jeżeli Mickiewicz powiedział o Zaleskim, że wszystkie rytmy wyczerpał i rzucił garść kwiatów na zakończenie poetyckiego igrzyska, to Asnyka jest zasługą, iż te słowa okazały się niesłuszne. Asnyk opanował formę po mistrzowsku i doprowadził w zewnętrznej stronie poezyi, w kun-

---

typu poetów genialnych z ubiegłej doby rozwoju literatury, ale sferą talentu, oryginalnością natchnienia o całe niebo przewyższa takich mistrzów subtelnego liryzmu, jak Tennyson, nie mówiąc już o parnasistach i olimpijczykach francuskich“.

[1]) Wład. Bukowiński. Poeta melodyi i t. d.

szcie wiersza tak daleko, jak nikt przed nim, nawet Słowacki. Potrafił rzeczywiście splątywać i rozplątywać trudności rymu i rytmu, jak igraszkę palców swoich, nie będąc nigdy, nawet w najtrudniejszych przejściach, niewolnikiem swej formy... Język jego, postawiony obok języka Kochanowskiego lub Słowackiego, stoi niżej, ale formy, w które został przez Asnyka ujęty, są wielkiem posunięciem się naprzód“ [1]). „Świetny władca słowa, a przytem wielce uczuciowy pieśniarz i myśliciel, Asnyk, jako mistrz formy, należy do największych, jakich mieliśmy w poezyi naszej. Język jego odznacza się taką czystoscią szczeropolską, iż za wzór służyć może tym, co dobrze po polsku mówić i pisać pragną; a wiersz ma takie czarujące cechy, samemu tylko Asnykowi właściwe, że zachwyca i upaja. Uczuciowość w rozległej bardzo skali, ironia, szyderstwo, sarkazm, a obok tego refleksya, nurtująca w najzawilszych nawet głębiach myśli, były to dziedziny, w których poeta ten albo nie miał sobie równych wśród współczesnych albo też był pierwszym, co się w nich z taką swobodą i wdziękiem obracał“ [2]). W poezyi Asnyka „znać, że uczucie nie jest ani udane, ani kłamane, ani przesadzone, ale rzetelne, rzeczywiste

[1]) Stan. Estreicher. Rozbiór poezyi El...y'ego tomu IV. Kraków 1894. Osobne odbicie z *Przeglądu polskiego*.

[2]) Piotr Chmielowski. Historya literatury polskiej, t. VI.

i czysto takie, jak było w jego sercu. Jest to tak rzadkie, tak odwykliśmy widzieć prawdę w tem, co piszą nasi najnowsi poeci, że ten, którą ją w sobie ma, zdobywa odrazu i napewno naszą sympatyę. Prawda uczucia, prostota w tonie, szczęśliwy brak napuszystości, frazesu, wszystkiego co pretensyonalne i oklepane, do tego wiersz bardzo dźwięczny, giętki i wyrobiony, oto ujmujące zalety, które na pierwszy rzut oka w poezyi Asnyka podobać się muszą..." Ze wszystkich tych poetów lirycznych, którzy wśród młodszego pokolenia (po r. 1863) powstają, ten jeden myśli, ten najlepiej czuje i ten najlepiej pisze... pięknym wierszem, dobrym, szczęśliwie utrafionym poetycznym stylem..." [1]) „Niezrównana forma Asnyka jest prawie przysłowiową; kunsztmistrzostwo strof, efektowność rymów budzą podziw zasłużony. A przytem wszystko to śpiewa, płynie tak lekko i gładko, że można nawet nie zauważyć, jak jest wytwornie wyrobione, wprost wyszukane... A jednak Asnyk nie jest parnasistą. To artystyczna jego natura sama wypowiadała się w formach skończonych; on nie pisał dla popisów akrobatycznych swego pióra. Pisał, bo wiele czuł, bo wiele myślał" [2]). „Charakterystyczną cechą poezyi Asnyka jest

[1]) Stan. Tarnowski. *Przegląd polski* 1873, I. w recenzyi 2-go tomu Asnyka.

[2]) J. D. Słowo o Adamie Asnyku. Odczyt niewygłoszony.

uczucie, a potem prostota. Obok tego idzie zwięzłość: zwięzłość, sprawiająca, że się wszystko składa na jednolitą, granitową w sile, kryształową w jasności, nieledwo klasyczną jędrność języka“ [1]). Asnyk jest przodownikiem obecnej fazy rozwoju poezyi, bo rozszerzył horyzont pieśni naszej, połączywszy ideały swojskie z prądami ogólno-europejskimi. „Do dziś dnia utrzymał on swoje naczelne stanowisko we współczesnej drużynie poetów, a pod względem głębokości myśli i nastroju ideowego nie dał się nikomu wyprzedzić. Jest on jednym z głównych przedstawicieli rozwoju i przeradzania się duchowej treści naszego społeczeństwa w ostatniej ćwierci wieku, jednym z tych umysłów, co, czując żywotne tętna narodowego życia, stanowią zarazem siłę posuwającą naprzód, dźwignię postępowego pochodu rodzimej myśli. Charakter jego i talent wyrabiał się w ciężkiej epoce przełomu, co tak wyraźnie oddzielił teraźniejszość od doby wczorajszej, epokę pracy, skupienia i odnowy sił narodu od epoki marzeń i bohaterskich porywów“ [2]). „Ten człowiek, który zamknął w sobie całą myśl ostatnich dziesiątków lat zeszłego stulecia aż do najwyższych jej szczytów, ten człowiek jest dla nas arką przymierza między dawnemi a młodszemi laty, jest klamrą, łączącą

[1]) Józef Rostafiński. Nowy zwrot w poezyach Asnyka (Ze świata przyrody).

[2]) Józef Kotarbiński. Op. cit.

romantyzm z czasów międzypowstaniowych poprzez pozytywizm z naszą myślą dzisiejszą“ [1]). Był to niewątpliwie „ostatni poeta, który talentem swoim podtrzymywał ciągłość świetnych tradycyi“ [2]). „Można nawet śmiało powiedzieć, że zarówno forma Asnyka, jak i jego psychologia przedstawia pod niejednym względem wyższy stopień w porównaniu z formą i psychologią poprzedników, nawet tak genialnych, jak Słowacki“ [3]). Choć nie stworzył ani jednego większego poematu, to jednak „pozostawił za to szereg cyklów lirycznych, zawierających skarby prawdziwych klejnotów poetyckich. Asnyk jest poetą miłości i natury. Uczucie jego subtelne, delikatne, idealnie nastrojone, całkiem odmienne od tego wszystkiego, co pod wpływem uczuć miłosnych w poezyi polskiej powstało. Cześć dla natury, głębokie jej zrozumienie, umiejętność wydobycia z niej wspaniałych efektów refleksyjnych, oparcie odczucia przyrody na zdobyczach nowożytnej wiedzy, wyrobiły Asnykowi pierwszorzędne miejsce w literaturze, która posiada przecież Sonety Krymskie lub Szwajcaryę. Asnyk był wogóle naturą płomienną i pod wielu względami namiętną. W zetknięciu z przyrodą nabywał podniosłego spokoju, harmonii umysłu

[1]) J. D. Op. cit.

[2]) Stanisław Estreicher. Adam Asnyk, *Czas* Nr. 175 i 176 z r. 1897.

[3]) Tamże.

i duszy, wysokiego poglądu na sprawy ludzkie. Jego Noc pod Wysoką pozostanie w literaturze na zawsze, jako rzecz, którą mógł wydać z siebie tylko człowiek z wysokości zwykłym ludziom niedostępnej na świat patrzący“ [1]). „Asnyk był u nas — na dłuższe zapewne czasy — ostatnim wielkiego talentu poetą, próbującym idealizować i opiewać dążenia zbiorowego organizmu. Zarazem Asnyk utorował drogi najnowszej fazie liryki: poezyi nastroju i egotyzmu. Był poetą przejściowym, który pilnował i bronił wiernie zasobu myśli, przekazanego nam przez przeszłe pokolenia, ale który równocześnie szukał dla formy poetyckie nowych ścieżek, znalazł je i wskazał swoim młodszym następcom. Nazwisko jego będzie w literaturze złączone z epoką romantyczną; niemniej historyk ostatniej fazy naszej poezyi liczyć się z nim musi i głęboki wpływ jego na młode pokolenia uznać“ [2]). Bo nie ulega wątpliwości, „że epoka przejściowa od ideałów romantycznych do nowych, niewyraźnie się jeszcze zarysowujących, znalazła w nim wiernego przedstawiciela, że w poezyi jego odbijają się bóle przełomu pojęć i gdzieniegdzie lekkie świtanie dalekiej pogody“ [3]). Jako taki zajął on w naszej poezyi stanowisko tem wy-

[1]) Tamże.

[2]) Tamże.

[3]) Józef Tretiak. Asnyk i jego liryka (w Szkicach literackich, t. I., str. 240).

bitniejsze, że „na ogłuchłem polu tej poezyi, niegdyś tak gwarnem i rojnem, on sam jeden trzymał lirę wzniesioną i trącał w jej struny“ [1]). „Nazwano go epigonem romantyzmu. Nazwa to niesłuszna, a nawet ubliżająca poecie tej miary, co on. Nie epigonem był Asnyk, ale raczej reformatorem narodowych haseł romantycznych w naszej poezyi. Z romantykami spokrewnia go wiara w przyszłość, w tryumf dobra nad złem, w moralny porządek świata; różni go od romantyków stosunek krytyczny do przeszłości i płynące stąd przeświadczenie, że bez postępu „nie wstaniesz z mogiły“. Jak pierwiastek ogólno-ludzki połączył się w jego poezyi w jedną całość z pierwiastkiem patryotycznym, tak w piękną harmonię zlały się w jego duszy zarówno, jak w poezyi, idea postępu i uczucie patryotyczne“ [2]). Lecz Asnyk, to przedewszystkiem poeta-filozof; bezpośredniość uczucia jest w jego poezyi dość rzadkiem zjawiskiem, najczęściej ono załamuje się w pryzmacie refleksyi. Załamała się w niej i patryotyczna jego wiara w lepszą przyszłość, ale w niej nie uwięzła; owszem, wyszła z zahartowanemi skrzydłami“ [3]). „Swej filozofii umiał Asnyk nadać prawdziwie poetyczną szatę, która polega — w cyklu Nad głębiami — nie tylko na pięknym obrazowym stylu, nie tylko na

[1]) Józef Tretiak. Asnyk i jego liryka.
[2]) Ign. Chrzanowski. Liryka patryotyczna Asnyka.
[3]) Tamże.

mistrzowskiej formie sonetu, lecz przedewszystkiem na doskonałem zespoleniu myśli z uczuciem w jakiejś głębokiej, melancholijnej zadumie, z jaką poeta zastanawia się nad głębiami tajemnic wszechświata“ [1]). „Po promieniejącej chwałą trójcy romantyzmu nikt nie śmiał wziąć lutni w spadku. Nie milczeli mistrze słowa, ale ich pieśni, tego samego romantycznego kierunku i miłości głębokiej, lecz wyłącznie rodzinnej ziemi, zagłuszały zawsze echa tamtych trzech... Ale zjawił się wieszcz, który na skromnej fletni nowe, nieznane nam dotąd wydobywa tony. Zjawił się wieszcz, który w miłości swej ludzkość całą ujął w ramiona, który wśród rzeszy posępnego tłumu stoi osamotniony i na grobach przeszłości, na ruinach złudzeń, wobec tajemniczego a groźnego jutra, sieje piesenki wiary, miłości i nadziei [2])...

Mogąc się pochlubić poetą tej miary, naród nasz, który zeń może być dumnym, nie powinien dopuścić do tego, by już w kilkanaście lat po śmierci Asnyka „opadła fala uwielbieniem wrząca“ za jego życia i pogrzebała go opieszale „w zapomnienia grobie“; a skoro faktem jest niezaprzeczonym, że od pewnego czasu przygłuchł znacznie dźwięk jego imienia, to obowiązkiem

[1]) Ign. Chrzanowski. Ideały i filozofia Asnyka. Okruchy literackie, str. 122.

[2]) Józef Rostafiński. Nowy zwrot w poezyach Asnyka.

tych, w których jeszcze za życia potrafił wzbudzić szczery kult dla siebie, jako dla subtelnego mistrza słowa, przypomnieć go znowu ogółowi i nie dopuścić, by „zniknąwszy z oczu, znikł nam i z pamięci".

Oby niniejsze wydawnictwo, dające po raz pierwszy całokształt twórczości Asnyka, jako poety i prozaika, mogło spełnić to wdzięczne i tak bardzo wskazane zadanie.

Ferdynand Hoesick.

Kraków, 14 kwietnia 1914.

POEZYA ASNYKA

NA TLE WSPÓŁCZESNEJ EPOKI.

Ostatnie odbłyski poezyi romantycznej zagasły pod chłodnem, trzeźwiącem tchnieniem następstw 1864 roku. Romantyzm, któremu przypisywano podsycanie niewczesnych porywów, budzenie czynu tam, gdzie dla tego czynu pola nie było, ustąpił z widowni, oddając rząd dusz, serc i myśli trzeźwemu rozumowi, który z przeżyć i doświadczeń ogólno-narodowych, na gruzach dawnych ideałów zbudował kościół nowych wierzeń. Zaczęło się panowanie epoki trzeźwego utylitaryzmu. Jako wykładnik myśli i czynu, jako program życia realnego i intellektualnego wysunięto hasło pracy organicznej, a na tem podłożu wykwitły i skrystalizowały się dwa nowe kierunki myślenia: pozytywizm filozoficzny i realizm estetyczny, uogólnione w najróżnorodniej interpretowanem pojęciu postępu.

Naród odwrócił się od poezyi. Nie chciał szukać drogi odrodzenia w niebosiężnych porywach ducha, jakie bladem widmem ukazywał zapadający w przeszłość romantyzm, ale celem

swej drogi chciał widzieć twardą pracę, zabezpieczającą podstawy bytu. Na wszystkich polach usiłowań zbiorowych, rozbrzmiało hasło pracy organicznej — a pochwały tego programu tych zasad i haseł głosić zaczęła poezya przez usta swych przedstawicieli.

Tak jest — poezya, bo pomimo reakcyi, jaka zapanowała na całej linii przeciwko mrzonkom, w mowie wiązanej głoszonym, i ten nowy okres znalazł swoich przedstawicieli w poezyi. Głosom ich wtórzyła z zapałem młodzież chwytająca w lot idące z zachodu, hasła filozofii pozytywnej i teorye naukowo-przyrodnicze. Comte, Büchner, Darwin, Moleschott, Spencer, Littré, Taine objęli panowanie nad umysłami, kierując myśl młodego pokolenia na drogi realne. I poczęła się walka niedobitków romantyzmu z pozytywistami, starych z młodymi, walka nierówna, z której musiał wyjść zwycięsko pożytywizm i utylitaryzm.

Walki takie odbywają się zwykle na przełomie epok, reprezentujących odrębne formy i kierunki myślenia. Poezya jednak, jako czynnik będący ducha narodowego częścią nieodłączną, nie mogła zniknąć z widowni. Zmieniła tylko kierunek myśli, a zmiana musiała wywołać pewien ferment w duszach, dezoryentacyę myśli, które się zaznaczyły wybuchami goryczy, zwątpienia, pessymizmu i rozterki wewnętrznej ducha u całej plejady pseudopoetów tego czasu.

W takiej to chwili wystąpił na widownię Adam Asnyk, filozof-poeta, który siłą swej duchowej organizacyi, potęgą indywidualizmu, głębią myśli stał się wyobrazicielem idących haseł. Nie zerwał z tradycyą ideałów wielkich romantyków, których był epigonem, ale ich hasła przeszczepił na grunt nowy, nawiązał wątek nowych myśli na podłożu dawnych wierzeń i ideałów, które muszą stanowić podstawę wszelkiej poetyckiej ewolucyi i uderzył w ton pieśni czystej, mocnej, porywającej wdziękiem formy, zdumiewającej głębią filozoficznej myśli, wysokiem dostojeństwem rozumu.

Wieszcz, który miał być wyobrazicielem myśli swego pokolenia, musiał przejść ogniową próbę doświadczeń życiowych. Asnyk ją przeszedł. Zetknął się z życiem, jego cierniami i zawodami. Pod naciskiem doświadczeń zbiorowych, duch jego stężał, myśl krystalizowała się zwolna, aż wystrzeliła w skończonej formie i treści jak wypadkowa geometryczna, idąca po przekątni.

Ogromem talentu poetyckiego, wznoszącego się często do wyżyn inspiracyi ducha, mistrzowstwem formy, potęgą natchnienia, Asnyk, jako poeta, stojący na pograniczu dwóch przełomowych okresów, jest ogniwem, łączącem dzisiejszą, nowoczesną poezyę z wielką poezyą romantyczną.

I w tem jest jego znaczenie dla dzisiejszej poezyi, której jest duchowym ojcem, i pospołu z Konopnicką najdoskonalszym przedstawicielem.

Mistrz języka, wirtuoz formy i myśli, filozof-poeta, który stworzył nową ideologię, opartą o tło ogólno-narodowe, stoi El...y jak posąg kamienny, wskazujący drogę myśli, obowiązku i piękna idącemu pokoleniu. Należy on do tych wielkich postaci w literaturze, które znaczą pochód myśli zbiorowych. Z ducha poczęta poezya jego przetrwa w długie wieki, bo ma zasadnicze po temu warunki: doniosłość narodową i myślową i niedościgniony kunszt słowa. Przez współczesnych nie doceniony, duchem należy w pełni do idących pokoleń, które lotem ducha wieszczego wyprzedził. Czas jego dopiero przyjdzie, gdy wiek dzisiejszy odnajdzie i oceni wartość duchową jego poezyi, rozważaną w związku z późniejszymi na niwie poetyckiej objawami, w związku z poezyą epigonów, z całą poezyą nowoczesną, nie wyłączając nawet takich odchyleń ducha i myśli, jakie na krótko wniosła poezya niektórych przedstawicieli modernistycznej poezyi młodej Polski.

Świadectwem, że były jednak duchy, które już współcześnie zrozumiały i oceniły ideologię poezyi Asnyka i znaczenie jej dla przyszłości, jest głos Maryi Konopnickiej, która w swem studyum pozgonnem o Asnyku w następujących słowach streszcza sąd swój o piewcy sonetów „Nad głębiami".

„Anioł, który Asnyka opętał, był miłościwym aniołem. Nie szarpał mu żywego mięsa, nie grzmiał

i nie błyskał w nim burzą, nie miotał się wichrem w jego śpiewaczej pieśni, nie ciskał nim, jako rozbitkiem o skały życia, nie rozwodził nad głową jego beznadziejnych mroków, a zanim mu sen grobów ukazał, trzykroć namaścił skroń jego i wargi chryzmatem wiary w wielkie odrodzenie ducha. Były i w Asnykowskiej piersi zgrzyt, jęki i skarga; był krzyk oburzenia i wzgardy, ale nie przeszedł nigdy w zimne szyderstwo, w urąganie ideałom życia. Te zawsze na ołtarzu poety stały jasne i uczczone, czy hymn im śpiewał, czy bojował o nie... Wielki siewca pierwiastków idealnych życia był wraz wielkim mistrzem twardego zakonu służby społecznej. Poezya, ideał nie były u niego purpurą tylko i laurowym wieńcem. One były mu tchem piersi, prawem życia, duchem jego ducha! Jakże bylibyśmy mali wobec niego, gdybyśmy nie umieli sobie powiedzieć, że nam został — wzorem".

*

„Błyszczałem od młodości rosą uczuć nieustannie" — mówi Asnyk o sobie w jednym z wierszów. W tych słowach zamyka się najtrafniejsze określenie charakteru jego poezyi. Jest on najczystszej krwi lirykiem. W liryce tej są różne odcienie i stopniowania — od ulotnych wierszy opisowych, malujących subjektywne nastroje duszy, do wzniosłych manifestów proklamujących społeczne i na-

rodowe ideały, ale liryka tworzy w każdym razie rdzeń indywidualności poetyckiej Asnyka, jako najistotniejsze i najpełniejsze wypromienienie się jego poetyckiego ducha.

Występując na widownię w chwili największego zaognienia się walki dwóch kierunków myśli, kiedy należało złożyć pewnego rodzaju wyznanie poetyckiej wiary, Asnyk wypowiedział je w utworach: Publiczność i poeci, Na zgon poezyi, Zmierzch poezyi, Odłamkowi Psychy Praxytelesa, opowiadając się zupełnie jasno przy chorągwi piękna i prawdy. Te jego utwory, w związku z głosami kilku innych współczesnych bojowników nowych haseł w poezyi, stały się często używaną bronią w walce dwóch obozów i uchodziły poniekąd za program poetycki młodego, przyjmującego wyzwanie do walki pokolenia. Dźwięczy w nich już nuta społecznych i narodowych ideałów, przebłyskuje głębia filozoficznej erudycyi poety, wcześnie już pogrążającego się w zadumę nad ideowemi zagadnieniami życia, zarówno narodowego, jak ogólno-ludzkiego.

Zanim jednak uderzył Asnyk w ten ton swej lutni, stroił ją poprzód w takt uderzeń własnego serca, własnych myśli i odczuć. Były to pierwociny refleksyi, zrodzone pod wpływem rozterki ducha, wywołanej katastrofą narodową po r. 1864, poezya popowstańcza, nastrojona na ton bohaterski, pełen uniesień, mająca widoczne

piętno przeżytych goryczy i zawodów, w charakterze swoim najczystsza liryka. Słusznie pisze o tej poezyi Chrzanowski, że są to „stłumione łkania duszy nad trumną własnych upojeń". I nic dziwnego. Tak wstrząsające duszą narodu przejście nie mogło przejść bez zaznaczenia swego śladu w poezyi. Znalazło ono odbicie w kilku utworach Asnyka, który na tle osobistych przeżyć intuicyjnie oddał rozpaczliwą bezsilność i beznadziejność wysiłku, spowitego pełnem ponurego smutku słowem poetyckiem.

Takim jest Sen grobów, ta przepiękna refleksya, przepojona wizyą poetycką, na dnie której przebłyskuje ognikiem nadziei wiara w lepsze jutro.

Na ogół jednak pierwsze utwory Asnyka: Podróżni, W zatoce Baja, Odpowiedź, Sen grobów, Apostrofa, tchną bezbrzeżnym smutkiem, lub rzucają okrzyki „gniewu i wściekłości". Po pierwszej fali następuje zwolna uspokojenie. Rozwiewa się mgła pessymizmu, miejsce jej zajmuje spokój ducha, wywołany refleksyą, odżywa wiara w „ducha piękność słoneczną", wraca ukojenie „pod stopami krzyża".

A potem zwrot do filozoficznej zadumy, skrystalizowany w cyklu wysoką inspiracyą ducha nacechowanych sonetów Nad głębiami. Jestto jakby streszczenie jego filozofii, jego wyznanie wiary, jego pogląd na świat i genezę zjawisk.

Cykl mimo drobnych rozmiarów — w całości bowiem liczy zaledwo 420 wierszy — tak pod względem formy, jak myśli zasługujący na miano arcydzieła poetyckiego. Zamknął w nim Asnyk wynik swych rozmyślań nad plonem współczesnej pracy ducha. Mówi o pojęciu wszechświata i w filozoficzno-poetyckim wywodzie przedstawia harmonię, rządzącą światem i jego zjawiskami, dotyka metafizyki jako metody prowadzącej do poznania wszechświata, a wszystko to ubiera w taką girlandę poetyckiego nastroju, tak jasno tłómacząc przytem myśl własną, że czytelnik nie spostrzega, że się znajduje w świątyni ducha i rozmyślań poety, w warsztacie pracy myśli filozofa-poety, pogrążonego w kontemplacyi nad zagadką bytu.

Jak słusznie w pięknem swem studyum o filozofii Asnyka wyjaśnił prof. Chrzanowski, Sonety Asnyka, nie wyczerpują do dna jego filozofii, bo gruntowność nie jest bynajmniej zadaniem liryki refleksyjnej. One zaciekawiają czytelnika, usposabiają jego duszę do tych samych rozmyślań, które natchnęły poetę do ich tworzenia, do marzeń o głębiach bytu, wywołując smutną zadumę, w której pogrążyć się musi człowiek myślący, ilekroć myśl jego unosi się nad oceanem wszechświatowych tajemnic. Zadumany nad zagadką istnienia, w poczuciu niemocy ludzkiej wyobraźni i rozumu, po przez panteizm, o który potrąca, ale którego nie uznaje, po przez smutek, rozpacz, zwątpienie

dochodzi do filozoficznego spokoju, do rezygnacyi. Widzi, że zagadki nie rozwiąże, ale chce widzieć przynajmniej ciągłość wzniosłych dążeń i szlachetnych pobudek ludzkości. Żadna szlachetna myśl nie przepada, bo staje się dorobkiem idących pokoleń, dorobkiem ludzkim. Jest zatem łączność nie tylko pomiędzy żyjącymi ludźmi, ale także pomiędzy umarłymi a żywymi, żywymi a tymi, którzy dopiero żyć będą. A jeżeli tak, to umarli odpowiadają za żywych, żywi za przyszłe pokolenia.

Zasada „odpowiedzialności wspólnej człowieczeństwa“ jest z pewnością jedną z najpiękniejszych myśli całej poezyi filozoficznej Asnyka, streszczającej się w pojęciu, że „duch co wszystko ożywia — jedyny!“. Jestto niewątpliwie odbłysk teoryi Kanta, przeniesionej na grunt poezyi, wypowiedziany w najpiękniejszych strofach liryki, która przez swój filozoficzny podkład, przez swój jasno określony postulat etyczny jest wyjątkowem i jedynem zjawiskiem w dziedzinie naszej poezyi, dającem pełną i wyrazistą charakterystykę sfinksowego oblicza, zapatrzonego w głębie „rybaka idei“.

Filozoficzny podkład poezyi Asnyka nadaje mu zgoła odrębne, wyjątkowe stanowisko w polskiej poezyi. To, co u każdego innego poety byłoby objawem zmniejszającym artystyczną wartość poezyi, u Asnyka, który był mistrzem formy, przybrało posągowy kształt piękna, zakutego w spiż

głębokiej myśli filozoficznej, poruszającej szereg pytań, zakończonych słowem nadziei.

To słowo nadziei o tej, która „taką jak była nie wstanie z mogiły, — lecz przystrojona w królewski dyadem, musi do życia wkroczyć życia bramą, musi być inną, choć będzie tą samą“ — dźwięczy przedewszystkiem w tych kilkunastu wierszach, które były echem wspomnień górnych porywów młodości, pokrytych refleksyą lat męzkich, doświadczeniem późniejszego ideologa obozu demokratycznego, toczącego zacięte boje na gruncie publicystycznym krakowskim z obozem zachowawczym.

Jest ich nie wiele, bo poeta był zdania, że „prawdziwa miłość w głębi tajemniczej ukrywa przedmiot czci swej i kochania, a wielka boleść ma swój wstyd dziewiczy, który ją całą milczeniem osłania“ — ale w tych, które lawą wypromieniowały z serca gorąco czującego, jest poezya rozpaczy beznadziejnej, melancholia, jest cicha rezygnacya na rzecz haseł epoki: pracy organicznej, nauki, postępu, demokratyzacyi społeczeństwa i powszechnej oświaty. W miejsce bezcelowych uniesień stawia poeta jako hasło czyn realny, ale w tej swej poezyi łączy z pierwiastkiem patryotycznym harmonijnie i nierozerwalnie pierwiastek ogólno-ludzki.

Istotną treść poezyi Asnyka stanowił jednak zawsze cichy smutek i pogodna melancholia. Przy-

bierały te pierwiastki w różnych czasach różne formy, przedzierzgały się w erotykę, satyrę i ironiczne błyski humoru, ale zrębem poezyi pozostały zawsze smutek i refleksya.

Obok tego jedną z zasadniczych cech poezyi Asnyka jest idealizm.

Umysł poety — jak słusznie zauważył Józef Kotarbiński — poruszały więcej idee, niż fakta rzeczywiste. Stanowi on poniekąd kontrast z tymi poetami, którzy całą treść swych natchnień z bezpośredniego czerpią życia, wchłaniając jego realizm. „Natura wysoce subtelna, mająca znamiona myśliciela i artysty zarazem, nie zbratała się z rzeczywistością, ale unosiła się nad nią".

Erotyka Asnyka ma przy całej wytworności i lekkości formy, stanowiącej zasadniczy warunek tego rodzaju poezyi, pewiem lot górny, pewne dostojeństwo. Jest w niej wszystko, czem ten rodzaj poetycki rozporządza, ale to wszystko kryje się w formach dyskretnych. Jego miłość nie wybucha płomienną ekstazą, choć żongluje wszystkimi odcieniami uczucia od powiewnych westchnień młodzieńczych do odcieniów zmysłowości. Dominującą nutą jest i tutaj smutek cichy, którego źródłem mógł być bolesny zawód życiowy, jaki dotknął poetę, kalecząc nie tylko uczucie, ale i jego godność osobistą. Rąbek tej tajemnicy, o której nie wiedzieli za życia Asnyka nawet jego najbliżsi, odsłoniły dopiero najnowsze poszukiwa-

nia, odnalezione listy, z których biograf poety, Ferdynand Hoesick, odtworzył cały przebieg sielanki miłosnej, jaka znalazła odbicie w poezyi Asnyka i może być kluczem do rozwiązania pewnych nastrojów duszy Ely...ego.

Na ogół, jak słusznie zaznaczył prof. Tretiak, utwory erotyczne Asnyka są „tak przyzwoite i tak wdzięczne, że się mogą swobodnie ślizgać po woskowych posadzkach salonów a dość przytem zmysłowe, aby i w bezdusznej sferze budzić zajęcie". Niepowodzenia miłosne poety odczuł pokrewieństwem ducha Kasprowicz w swem pozgonnem o Asnyku wspomnieniu, mówiąc: „Pomimo pozorów bolu z powodu utraconej miłości, rozsianych w ślicznych pod względem kunsztu pisarskiego poemacikach, miłość ta sprawia przeważnie wrażenie, jakby graniczyła z flirtem. Niepodobna w niej dopatrzeć się czegoś więcej po nad konwencyonalizm zmysłowy, niepodobna jej przyznać mocy elementarnego wybuchu".

Mimo tę jednak cechę jest Asnyk w tych właśnie wierszach największym wirtuozem formy. Z trudnościami rymowania igra on jak najswobodniej, mając na zawołanie wszystkie odcienie barw od najjaskrawszych do najbledszych, odtwarzając z największą subtelnością wszelkie możliwe stany duszy i odczucia. Potrafi być rzewnym i tkliwym, jak rozmarzona kobieta, a równocześnie męzkim i energicznym, potrafi być bluźnierczym lub szy-

derczym, jak Heine, a także wierzącym z przekonania. Nad całą tą poezyą jego unosi się wszelako tęskna jakaś zaduma myśliciela, filozofa poety, który usiłuje zgłębić istotę bytu i zagadnień życia.

Gdyby chodziło o wskazanie wpływów, to oczywiście najbardziej duchowo i myślowo pokrewnym Asnykowi jest Słowacki. Po za nim sceptycyzm i ironię, wziął z Heinego, poważny, surowy, klasyczny ton z Dantego. Nie obcym też mu Musset i Sully Prudhomme, z których pewne nuanse i subtelności stylowe odnaleźć można w erotykach.

Od wpływów obcych zupełnie wolne, swojskim duchem przepojone są wiersze: Z motywów ludowych. Może nie zupełnie nazwaniu swemu odpowiadający, formą i nastrojem bardzo różnorodny cykl ten, wydaje się nadto kunsztownym, niemniej jednak nuta surowości wyraża się tu w sposób najbardziej bezpośredni. Takimi są przedewszystkiem wiersze: Szumi w gaju brzezina, Bodaj owa rzeczka, Chłopca mego mi zabrali, Pan Jezus chodzi po świecie, W chacie. Misterność formy i pewien nalot filozoficznej myśli, bez którego Asnyk wogóle się nie obchodzi, odejmuje tym utworom charakter ludowy, ale za to wznosi je na wyżyny niepospolitego artyzmu.

Jednym ze szczebłów tego wznoszenia się na wyżyny formy było zbliżenie się poety do natury,

podróże po kraju i zagranicy. Pierwsza podróż w Tatry, odbyta w r. 1873, odsłoniła mu grozę tajemnic przyrody i dostarczyła natchnienia do cyklu wierszy, zatytułowanych: W Tatrach. Z czcią i miłością przystąpił do opiewania ich piękności, a nastrój ducha wyraził dobitnie we „Wstępie", pomieszczonym na czele tatrzańskiego cyklu. Są tu niektóre utwory wyłącznie poświęcone obrazowaniu przyrody tatrzańskiej i nastrojów duszy, jakie ona budzi, jak n. p. Morskie Oko lub Kościeliska, w innych, jak n. p. w najpiękniejszym z nich wierszu Noc pod Wysoką, natchnienie Asnyka oderwało się od przyrody, poszło torem myśli filozoficznej i w przepięknej formie wyśpiewało hymn na cześć łączności człowieka z przyrodą. Poezye tatrzańskie Asnyka stały się punktem wyjścia dla całego szeregu epigonów, z których niektórzy, jak n. p. Franciszek Henryk Nowicki, a bardziej jeszcze Kazimierz Tetmajer, utrafili w ten sam potężny akord opisowy i rozwinęli go na swój sposób w formie słowa wysoce artystycznej.

Od opisów przyrody, które były tylko przejściową fazą w ewolucyi poetyckich natchnień Ely...ego, zbaczających zawsze w sferę filozoficzno-społecznych ideałów, do syntezy poetyckiej myśli, był już krok tylko. Liryk refleksyjny zwraca coraz baczniej wzrok na społeczeństwo własne, odczuwa

drgnienia jego pulsu, zbliża się czynnie do politycznej walki stronnictw, formułuje hasła postępu.

W Odzie do miłości występuje najwyraźniej objaśnienie idei postępu i walki społecznej, a pojęcia tam zarysowane znajdują dalsze rozwinięcie w wierszach: Bóstwo tajemnicze, Ociemniały Thamirys, Dzisiejszym idealistom i Do młodych, gdzie zdobywa się na mądrą inwokacyę, zakończoną charakterystycznem w jego ustach wezwaniem, aby młodzi nie deptali przeszłości ołtarzy, „bo się na nich jeszcze święty ogień żarzy, i miłość ludzka stoi tam na straży i wy winniście im cześć!“

Dusza poety otrząsa się zwolna z wszelkich osobistych pragnień, dojrzewa do spełnienia ofiary, do zaparcia się i wyrzeczenia wszystkiego, co nosi „doli osobistej piętna“. W wierszu Sam na sam woła:

Niech więc twa ręka wszystko we mnie kruszy,
Co z osobistem pragnieniem się wiąże
Najlepszej cząstki nie wydrze mi z duszy
Ni tej światłości, w stronę której dążę...
Depcz śmiało ziemską istotę ułomną,
O której duch mój i ludzie zapomną!

Wyzwolony z poziomych pragnień duch poety wspina się na wyżyny etyki i podniosłości ideałów, jakie przyświecały wielkiej poezyi romantycznej, i zdobywa się na rzucanie nakazów moralnych, jakie dotychczas niosła poezya wielkich

naszych romantyków. Wchłonąwszy pierwiastki, stanowiące istotę najszlachetniejszych dążeń i pragnień ludzkości, jął zastanawiać się nad niemi i wcielać je w kształty swej spokojnej a głębokiej, pomimo tu i ówdzie widocznych wahań, stanowczej wyobraźni.

A wyobraźnia ta nastraja lutnię poety posępnie, gdy myśl jego ogarnie losy i przyszłość ludzkości. W wierszu „na wiek XIX“ przepowiada Asnyk, że nauka i idee tego wieku nie będą pociechą dla błądzącej rzeszy, że sfinksowa twarz zagadek bytu nie odsłoni źródeł pociechy dla cierpiącej ludzkości. I w tym poglądzie wyprzedził poeta wiek swój, który takie nadzieje wiązał z hasłami realizmu i pozytywizmu. Z haseł tych w poezy nic prawie się nie ostało.

Bliższą poetyckiemu pojmowaniu zjawisk społecznych była dusza Asnyka, gdy omawiał klęski ludzkości lub grozy wojny. Tak n. p. w wierszu „Na pobojowisku“ wypowiada z ogromnym nastrojem siły skargę ogólno-ludzką. A już do wyżyn proroczego natchnienia wznosi się w cyklu sonetów „Ze sceny świata“, roztaczających całą panoramę scen kreślonych w najwyższem napięciu natchnienia poetyckiego, jako złowrogi tryumf anioła zniszczenia, który Bogu łaski i miłości rzuca klątwę w błękity.

Z wyżyny natchnienia wieszczów Asnyk my-

ślom swym zakreśla lot wysoki i dostojny, jakim szybują ci tylko, co zasiedli na Parnassie.

A mimo tego wysokiego lotu myśli, mimo dostojeństwa natchnienia, mimo najsubtelniejszego poczucia artyzmu formy, Asnyk nie staje przy haśle „sztuka dla sztuki“ lub „czysta sztuka“, lecz podporządkowuje całą swą poezyę wymaganiom wyższych dążeń społecznych. Hasło to podjęli po nim młodsi wieszcze i zdołali je zupełnie wypaczyć, niebacznie poddając się pod wpływ zadowalającej się pustym dźwiękiem słów poezyi francuskiej z lat ośmdziesiątych. A przecież Asnyk, jako mistrz formy, należy do największych w poezyi naszej. „Uczuciowość w rozległej bardzo skali — jak słusznie określa Chmielowski — ironia, szyderstwo, sarkazm, a obok tego refleksya, nurtująca w najzawilszych głębiach myśli, były to dziedziny, w których poeta ten albo nie miał sobie równych wśród współczesnych, albo też był pierwszym, co się w nich z taką swobodą i wdziękiem obracał. To jego chwała i trwała podwalina znaczenia w poezyi naszej“.

*

Dramatyczna twórczość Asnyka, obejmująca ośm utworów, z których wszystkie prawie przeszły próbę kinkietów teatralnych, niektóre nawet z doskonałem powodzeniem, nie stoi na wyżynie

artyzmu jego poezyi. Jak wszyscy wielcy poeci nasi, i Asnyk miał ambicyę stworzenia wielkiego dzieła w zakresie literatury dramatycznej, ale podzielił los wszystkich tych poprzedników i następców, którym nie starczyło po temu siły i nerwu dramatycznego.

Jak twórczość poetycka Asnyka, tak i dramaty jego mają piętno wysokiej kultury umysłowej autora, wytworną, miejscami mistrzowską formę, wysoką skalę uczucia, szeroki i rozlewny liryzm i wybitne piętno swojskości.

Pierwszy utwór, napisany jeszcze w okresie pierwszych zamierzeń literackich, p. t.: Gałązka heliotropu (1869), zaleca się wdziękiem poetyckim, który wynagradza zupełnie brak pierwiastka dramatycznego. Treścią jest walka dwóch współzawodników: poety Henryka i salonowca Adolfa o serce i rękę Amelii. Przebieg i uświadamianie się miłości Henryka i Amelii przedstawił autor tak poetycznie, że jednoaktówkę tę, o charakterze czysto lirycznym, uważać można za małe arcydzieło w swoim rodzaju.

Komedya konkursowa, często i z powodzeniem na scenach polskich grywana, ma charakter dowcipnej i wesołej satyry na nasze sądy konkursowe. Doskonale narysowane sylwetki poety i dziennikarza zapewniły swego czasu komedyjce tej długotrwały sukces sceniczny.

Satyrą o lekkiem zabarwieniu politycznem jest

także dwuaktowa komedya: Walka stronnictw, po której wystąpił poeta z 3-aktowym dramatem z życia współczesnego p. t.: Żyd. Utwór ten zaleca się tragicznemi powikłaniami akcyi i jaskrawym rysunkiem tytułowej figury żyda Weinberga, który kocha się w jakiejś pannie Natalii, a nie mogąc jej posiąść, gdyż wyszła za innego, chwyta się nikczemnej intrygi, za którą ponosi karę zasłużoną.

W cyklu komedyj nalepszemi są: Przyjaciele Hioba, satyryczny obrazek z życia młodych artystów, niosący kilka kapitalnych w charakterystyce figur, a zwłaszcza przedni typ wykolejonego malarza Cyganka, oraz trzyaktowa komedya: Bracia Lerche, najlepszy ze scenicznych utworów Asnyka, osnuty na aktualnem tle walki o ziemię polską w Poznańskiem. Komedya ta, grywana do ostatnich czasów zawsze z niesłabnącem powodzeniem, wprowadza charaktery z niezwykłą nakreślone plastyką, zwłaszcza postaci obu braci Lerche i starego patryarchy szlacheckiego rodu Radwanów.

Większem nierównie zamierzeniem były dwie tragedye historyczne, okresem lat pięciu od siebie oddzielone, a mianowicie: Cola Rienzi i Kiejstut.

Pierwsza z nich, napisana w roku 1872, podczas pobytu poety w Rzymie, osnuta jest na wspaniałym temacie tragicznej historyi słynnego

trybuna rzymskiego. Bohatera swego przedstawił autor zgodnie z historyą. Zdobywa on władzę najwyższą w Rzymie i miłość ludu, jako obrońca jego praw przed samowolą i tyrańskwem Colonnów i Orsinich. Ale uniosła go pycha. Zboczył z obranej drogi, dał się unieść pysze i zapomniał, że nie dla siebie, lecz dla innych miał walczyć i panować. Podniosły styl i nastrój, mimo prozaicznej formy słowa, nadaje temu dziełu piętno klasycznego utworu o akademickim charakterze, ale brak siły dramatycznej stoi tragedyi tej na przeszkodzie w zdobyciu scenicznego powodzenia.

Pod względem artystycznym najwyżej stoi w całym plonie dramatycznym Asnyka pięcioaktowa tragedya historyczna: K i e j s t u t, osnuta na dziejach Litwy. Grywana z wielkiem powodzeniem i wielokrotnie wznawiana, tragedya oddziaływa posągowym rysunkiem postaci wielkodusznego starca, księcia litewskiego. Już ze względu na formę wiersza, K i e j s t u t był najbardziej umiłowanym dramatem Asnyka, do którego on największą przywiązywał wagę. Istotnie, poetyckich piękności niesie ta tragedya ogrom, ale pod względem budowy charakterów, a zwłaszcza powikłania akcyi dramatycznej, pozostawia wiele do życzenia. Wprowadzenie do tragedyi osoby Konrada Wallenroda, przedstawionego jako syna Kiejstuta, poświęcającego się na zdradę i zemstę, jest pomysłem osła-

biającym walory historyczne tragedyi, obfitującej w niepospolite zresztą piękności poetyckie.

Spuściznę literacką Asnyka, dopełniającą źródeł do odtworzenia fizyognomii duchowej i charakterystyki wielkiego pisarza, zamykają rozprawy literackie, nowele i artykuły publicystyczne. Pierwsze zamieszczane były w *Przeglądzie Polskim*, *Bluszczu*, *Wędrowcu*, drugie w *Nowej Reformie*. Jestto dziedzina pracy i twórczości ducha Asnyka, dotąd nie oceniona przez krytykę i czekająca jeszcze na swego historyka. O podjęcie tej charakterystyki będzie mogła się pokusić krytyka dopiero po rozpatrzeniu odnośnego plonu, który niniejsze wydanie zbiorowe pism Asnyka po raz pierwszy wydobywa na jaw z roczników czasopism i oddaje na pożytek ogółu. Mieszczą się tu studya i rozprawy: o trubadurach, o „Antygonie“ Sofoklesa, o „królu-duchu“ Słowackiego i o Ignacym Krasickim.

Po raz pierwszy też wchodzi do tego wydania kilka obrazków nowelistycznych Asnyka, również z roczników czasopism wydobytych, cykl ważniejszych artykułów publicystycznych, a wreszcie wrażenia z podróży na Ceylon.

Ten prozaiczny dział twórczości Asnyka przyczyni się w wysokim stopniu do dopełnienia rysów duchowej fizyognomii poety i wycieniowania charakterystyki całej jego twórczości literackiej.

Asnyk poeta, filozof i społecznik, „rybak idei

zapatrzony w głębie", przedstawia się w prozie swej takim samym wirtuozem słowa, jakim go widzimy w jego sonetach i lirykach. Poeta czystej krwi w każdej dziedzinie twórczości myśl swą przybiera w kształt słowa, wysubtelniony artystycznie do granic mistrzostwa. Jeżeli słusznie postawiono krytyce literackiej wymaganie, aby była sama dziełem sztuki ze stanowiska estetyki słowa, to takiem dziełem sztuki są jego wymienione wyżej studya i rozprawy literackie, takiem dziełem sztuki, misternie wycyzelowanem w słowie, są w wyższym jeszcze stopniu jego obrazki nowelistyczne. Jest ich tylko trzy: „Panna Leokadya", „Opiekunowie" i „Wśród lasu". Utonęły one na szpaltach czasopism, a następnie uległy zapomnieniu, zanim krytyka literacka zdołała je zaregestrować jako klejnoty słowa polskiego, jako kunsztowne obrazki, które w chwili, kiedy się ukazywały, były wprost anachronizmem we współczesnej beletrystyce, takim celowały polotem słowa, taką obrazowością pejzażu, taką opalową grą barw w opisach. Dopiero następne po Asnyku pokolenie zbliżyło się do tych wyżyn artyzmu słowa, jakim rozporządzał wówczas Asnyk — prawdziwy poeta w każdym rodzaju twórczości, jaką darzył swoje społeczeństwo.

*

Dostojna postać Adama Asnyka jest dla współczesnej poezyi polskiej drogowskazem myśli, znaczącym jej przyszłe szlaki. Stanęła ona jak słup płomienny na granicy dwóch epok i blaskiem swego natchnienia rozświeciła horyzonty dla tych, co mieli po Asnyku objąć spuściznę ducha.

Zdawałoby się, że tak jasno określona droga zaroi się spadkobiercami programu poetyckiego Asnyka. On wprowadził do poezyi refleksyę filozoficzną i syntezę. On pokazał, że można w poezyi zastanawiać się nad zagadnieniami wszelkiej natury, że niema dla niej ani zbyt ciemnych głębi, ani zbyt stromych wyżyn. Można było spodziewać się, że po takim poecie nastąpi na całym froncie poezyi zmiana zasadnicza kierunku myślenia, pogłębienie ideowe, że w parze z formą udoskonaloną pójdzie krystalizacya treści, że od niego pójdzie świeży wiew, który da początek nowemu okresowi poezyi naszej. Dotąd dokonało się to tylko w części. Niwa poezyi zaludniła się licznem pokoleniem dziatwy Apollina, która z całą usilnością stara się stanąć na wyżynie ducha Asnykowego, ale wyżyn tych w treści ideowej jeszcze nie sięga. Słowo jego ma moc i potęgę twórczą i zapładniającą, ale widocznie w odniesieniu do najbliższej czasem epoki, słowo to jeszcze tkwi na wyżynie niedostępnej dla dzisiejszych epigonów poezyi. Czas jego idzie jednak; mówi o tem

kunszt słowa młodej poezyi, mówią o tem przebłyski w niej filozoficznych idei. Górująca w poezyi minionych lat dziesiątków jałowość treści, banalność i bezmyślność, wirtuozowska, ale pusta gra słów ustępuje miejsca pogłębieniu uczuć, pojęć, refleksyi na temat społecznych, narodowych i filozoficznych zagadnień. To promieniujący na pokolenia wpływ tego wielkiego ducha, który po trójcy romantyków naszych objąwszy berło poezyi z ducha, miał jedyny moc, aby stworzyć swoją własną epokę, wywiesiwszy hasła ideałów swojskich, zespolonych z prądami ogólno-ludzkimi.

Przeradzająca się treść duchowa naszego społeczeństwa w ostatnich lat dziesiątkach znalazła w Asnyku jednego ze swych przedstawicieli, którym przypadło w udziale stać się dźwignią pochodu myśli narodowej w duchu odrodzenia ideałów społecznych i ogólno-ludzkich.

Na tem szerokiem podłożu zdobył Asnyk stanowisko w szeregu największych naszych duchów poetyckich.

Jak prawdziwy wieszcz z ducha nie uległ chorobliwym, destrukcyjnym pokusom dekadentyzmu, nie zapatrzył się na tych, co poezyę chcieli uczynić zbiorem słów pustych, girlandą pięknie dobieranych wyrazów bez treści, lecz tworzył na zrębie myśli, zrodzonej na podkładzie wiedzy, refleksyi i filozoficznego przemyślenia. Dawał w poezyi obok najkunsztowniejszej formy treść

ideową, ujętą w kształt prosty i jasny. Tem wyprzedził on pokolenie, które uległo wpływom naśladowczym i jako takie ruchem wstecznym zapadło w przeszłość i tonie w falach zapomnienia.

Dla długich, dalekich, bodaj szczęśliwszych od nas pokoleń, poezya Asnyka będzie wskazaniem przyszłości.

Wstrząsająca chwila dziejowa, na którą naród polski czekał od lat stu, zmieni niewątpliwie zasadnicze kierunki działania i myślenia we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego Polski. Ulegną rewizyi ustalone wartości i poglądy na ruch ewolucyjny polskiej myśli w dziedzinie życia duchowego, na wszelkiem polu twórczości poetyckiej. W tej epokowej chwili wyłania się potrzeba, dla zadokumentowania zapadającego w przeszłość okresu, pociągnąć linię demarkacyjną pomiędzy dawnymi a idącymi prądami.

Wielka w literaturze i poezyi polskiej postać Adama Asnyka była w życiu duchowem narodu słupem granicznym, który stąd jako drogowskaz idących prądów myśli poromantycznej, ukazywał nowych dróg świty.

Przełomowa chwila dziejowa jest zarazem chwilą właściwą do ustalenia wartości i znaczenia dróg jego myśli dla mijającego okresu naszej duchowej ewolucyi.

*

W układzie i ugrupowaniu całego rozporządzalnego materyału wydawcy kierowali się wolą poety, który sam dokonał układu przy sposobności pierwszego zbiorowego wydania pism swoich z r. 1881. Zaszła ta jedna zmiana, że wszystkie sonety zgromadzono w niniejszem wydaniu razem, a część wierszy lirycznych nastrojowych o charakterze narodowym wcielono do tomu czwartego, tworząc z nich grupę osobną.

Władysław Prokesch.

28 stycznia 1916.

I.

WIERSZE RÓŻNE.

PUBLICZNOŚĆ I POECI.

PUBLICZNOŚĆ DO POETÓW [1]).

Wiecznie śpiewacie na tę samą nutę!
Śpiewacie rozpacz dziką i bezbrzeżną,
Serca przedwczesną goryczą zatrute,
I melancholią mglistą a lubieżną,
Senne miłoście szpilkami przekłute,
Rany zadane jedną rączką śnieżną,
I omijacie skrzętnie każdą radość,
Strojąc się w duchów księżycową bladość.

Po tysiąc razy te same westchnienia
Ślecie do oczu niebieskich lub czarnych,

[1]) Wiersz ten, drukowany pierwotnie w lwowskim *Dzienniku literackim* w grudniu r. 1869, zamieścił poeta — wraz z następnym — na czele dwutomowego wydania swych poezyj z r. 1872. (Kraków, nakładem księgarni Nowoleckiego). Wiersz ten poprzedzała dedykacya na pierwszej stronicy:

RODZICOM SWOIM
poświęca
Autor.

Do drobnej nóżki, krągłego ramienia
I różnych kształtów mniej lub więcej zdarnych,
I umieracie jak Tantal z pragnienia
Pełni poświęceń i bohaterstw marnych,
A choć się który czasem w rymie potknie,
To jednak lubej ręką swą nie dotknie.

Zawsze, ach, ona! z tą twarzyczką cudną
Serca wam bierze na straszne tortury,
Spojrzy się... przeżyć jej spojrzenie trudno!
Odwróci oczy... świat się kryje w chmury,
Wszystko stracone, ona jest obłudną;
Dokoła ciemność i smutek ponury!
I nie zostaje nic... o srogi losie!
Jak ginąć w mękach na sonetów stosie.

Wiecznie te same klęski bezprzykładne,
I te piękności boskie, nadzwyczajne:
Te bujne włosy, te ruchy układne,
Różane usta, słodkie, życiodajne,
Te oczy pełne miłości a zdradne,
Które wyczerpał brylantowy Heine,
Te brwi, te rzęsy, te perłowe ząbki,
Te kwiaty w włosach i szat białe rąbki.

I pełno wszędzie słów pieszczonych szmeru,
Co płyną jako śpiewne wodospady,
I pełno woni zbyt słodkiej eteru,
Pełno lamentów, zniszczenia, zagłady,

Zmarnowanego życia i papieru,
I potępieńców pośmiertnej biesiady...
Co wszystko snuje się z jednego wątka,
Z kapryśnej pozy ładnego dziewczątka.

Dosyć już mamy tych rozkoszy dreszczów,
I tych uśmiechów niby ironicznych,
Bladych księżyców, mgły i krwawych deszczów,
Niezrozumiałych potęg demonicznych;
Dosyć już mamy tych łabędzich wieszczów,
Którzy konają w bolach ustawicznych,
I tych ubóstwień, rozanieleń, szataństw,
I tym podobnych rymowych szarlatańst w!

Co nam do tego, że wam bohaterki
Przysięgną miłość, a potem was zdradzą?
Zapewne są to dość znaczne usterki,
Lecz wartoż za to świat malować sadzą?
I wulkaniczne puszczać fajerwerki,
Co się nikomu na nic nie przydadzą?
Wam się to piękne zdaje w waszym rymie,
A my się za to musim krztusić w dymie.

Miłość jest piękną bezwątpienia rzeczą,
I ma w poezyi stare jak świat prawa;
Lecz trzeba, żeby miała twarz człowieczą,
Żeby tryskała życiem jej postawa:
Śmieszną się staje, gdy ją okaleczą
I kiedy wyjdzie wybladła i krwawa.

Coby ach! na to Afrodyte rzekła:
Gdyby widziała was i wasze piekła!

Nie zrozumiałaby zapewne wcale,
Że przemawiacie miłości językiem,
Widząc was w jakimś Orestowym szale,
Z spojrzeniem błędnem, pochmurnem i dzikiem,
Na samobójców chwiejących się skale,
Urągających niebu wykrzyknikiem...
Pewnieby pierś swą zasłoniła twardą
I porzuciła was z gniewem i wzgardą.

Wprawdzie dziś ona, ta naga, ta grecka!
Złej już opinii na świecie używa:
Sentymentalność górą dziś niemiecka,
Co się w mgłach kąpie i we mgłach rozpływa,
I cała młodzież porządna, kupiecka,
Przed jej posągiem oczy swe zakrywa
I marzy wsparta na łokciu w sklepiku
O idealnym bardzo kaftaniku.

Wiemy, że trzeba kształty posągowe
Wypełnić wyższem tchnieniem ideału,
Na nagi marmur rzucić światło nowe,
Moc czarodziejską dać pięknemu ciału;
Wierzymy także w zachwyty duchowe,
Ale nie chcemy wiecznego rozdziału
Pomiędzy duchem nieschwyconym w locie
A biednem ciałem, co się tarza w błocie.

Chcemy tej zgody, harmonii i ciszy,
Która piękności pierwszym jest warunkiem,
Chcemy tych dźwięków, które każdy słyszy
Na swoich ustach drżących pocałunkiem;
Ale nie wrzasku szalonych Derwiszy,
Co upojeni narkotycznym trunkiem,
Kręcą się w kółko bez tchu i pamięci
I myślą, że to świat się cały kręci.

Chcemy tych natchnień, coby w życia zdroju
Ukazywały nową piękną stronę,
Któreby naprzód biegły w każdym boju
Pokrzepiać serca słabe lub zmęczone,
Coby rzeźbiły w klasycznym spokoju
Dumne postacie wawrzynem wieńczone,
I podnosiły wszystkie ludzkie cele,
Zdrowe pragnienia budząc w zdrowem ciele.

Lecz wy, księżyca kochankowie smutni,
Nie macie na to w piersiach dosyć siły!
Każdy z was wsparty na złocistej lutni,
Wpół pochylony do ciemnej mogiły,
Słucha z przestrachem dzikiej wichrów kłótni,
Nucąc o widmach, co mu się przyśniły;
A że ma głosik łagodny i cienki,
Lubią go słuchać młodziutkie panienki.

Przez to zyskuje do wielkości prawo,
I na miłostkach jako wieszcz wyrasta,

Spogląda łzawo i śmieje się krwawo,
Bo już go chytra zdradziła niewiasta.
Pogardza światem, nauką, zabawą,
Tylko się gorzko uśmiecha i basta;
I poemata pisze ironiczne
Bardzo piekielne, choć nie gramatyczne.

Ironia wprawdzie ma swój wdzięk oddzielny
I może zasiąść na Parnasu szczycie;
Dużo jest prawdy w śmiałości bezczelnej,
Dużo piękności w jej bolesnym zgrzycie,
Gdy się na przedmiot targa nieśmiertelny,
Widząc, że wcielić nie zdoła go w życie,
Lub gdy odkrywa serc ludzkich sprzeczności
I śmiechem godzi dwie ostateczności.

Ale ironia, o panowie mili!
To nie gra w piłkę przyjemna i łatwa,
Którąby mogła zawsze w każdej chwili,
Bawić się z szkoły wychodząca dziatwa;
Ten jeszcze Heinem nie jest, kto się sili
Śmiać się i płakać, i w rymie pogmatwa
Dużo utartych wyrażeń cynizmu
Z romantycznego wziętych katechizmu.

Dlatego radzim wam, wieszczowie nasi,
Niech wasze Muzy w locie swym odpoczną;
Niech się z was żaden nie dręczy, nie kwasi,
Ani też skacze w otchłań zwątpień mroczną

Dla tej niewdzięcznej Maryni lub Kasi,
Niechaj nie pędzi w przestrzeń nadobłoczną
Roztrącać gwiazdy... bo nam tchu nie staje
Zdążać za wami w tak dalekie kraje.

Chciejcie być skromni, zrozumiali, prości,
Panujcie myślą nad słuchaczów gminem,
I budźcie w sercach pragnienie piękności;
Niechaj pieśń wasza będzie dobrem winem,
Coby nas mogło zagrzewać w starości;
Lecz nie szukajcie kłótni z Apolinem,
I gdy was rada nie powstrzyma nasza,
Wspomnijcie sobie na losy Marsyasza!

POECI DO PUBLICZNOŚCI.

Z pokorą nasze pochylamy głowy
Przed twoim sądem, o publiko gniewna!
Bo chociaż wyrok bezwzględnie surowy,
Jednak jest słusznym w gruncie, to rzecz pewna;
I przyznać musim, że nasz chór harfowy,
I nasza nuta szpitalno-cerkiewna
Z całym przyborem schorzałej fantazyi,
Jest dziś najgorszym rodzajem inwazyi.

Po zgasłych wieszczach w ręce słabe, drżące,
Wzięliśmy lutnie, w których pieśń czarowna
Spoczywa w tonów ubrana tysiące,
Boleścią całych pokoleń wymowna.
Smutno nam słyszeć te echa mdlejące,
Smutno nam wiedzieć, że tam moc cudowna,
Potrząsająca niegdyś ludzi tłumem,
Niezrozumiałym stała się dziś szumem.

Straszno nam strun tych dotykać natchnionych,
Co się prężyły jako serca żywe,
Co miały siłę rozbudzać uśpionych,
I smagać biczem umysły leniwe,

Straszno nam stanąć wobec tych zniknionych,
Rozrzucających piękności prawdziwe,
I pieśń podnosić wśród gawiedzi syków,
Pieśń przygnębionych wstydem niewolników.

Znamy swą niemoc, węża, co nas dławi,
I opasuje w swe skręty potworne,
Znamy ten obłęd, co nas zwolna trawi,
I z piersi dźwięki dobywa niesforne,
Wiemy, że śmieszni jesteśmy, choć łzawi,
I tak bezkształtni, jako mgły wieczorne,
Ale uznając wszystkie nasze winy,
Chcemy wam złego odsłonić przyczyny.

Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
Wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu,
Obojętnego na widok piękności,
A więdnącego z nudy i przesytu,
Wieku, co wczesnej doczekał starości,
Sam podkopawszy prawa swego bytu,
Wieku, co siły strwonił i nadużył,
Nic nie postawił, chociaż wszystko zburzył.

Wzrośliśmy także wśród dziwnego świata,
Co się zapału i uniesień wstydzi,
Co każdem wzniosłem uczuciem pomiata,
I wszędzie szuka śmieszności i szydzi;
Bawi go jeszcze arlekińska szata,
Lecz ani kocha, ani nienawidzi!...

I to jest nasze największe przekleństwo:
Otaczające nas dziś społeczeństwo!

Jego bezduszna, chłodna atmosfera,
Już od kolebki duszę nam otacza,
Dziewiczą barwę szyderstwem z niej ściera,
Żadnej świętości marzeń nie przebacza;
Nic więc dziwnego, że ogień zamiera,
Że się fantazya krzywi i wypacza,
Bo tam, gdzie w sercach bezmyślność i bierność,
Krzewić się może jedna tylko mierność.

Każda epoka, co ze swego łona
Wydała pieśni potężnej olbrzyma,
Nosiła wyższej idei znamiona,
Pewien wzór piękna mając przed oczyma,
I sama była miłością natchniona,
Drżąca jak lutnia, którą śpiewak trzyma,
I on dla tego wielkim być nie przestał,
Że miał słuchaczów serca za piedestał.

On zbierał tylko marzenia tęczowe,
Które duch ludu z piersi swej wysnuwał,
Tylko im polot dawał i wymowę,
Ujmował w kształty i w przyszłość posuwał;
Więc kiedy stworzył potężną budowę,
Każdy jej wielkość i prawdę odczuwał,
Bo znalazł wszystko tam ubrane w ciało,
Co w jego piersi niewyraźnie tlało.

Potrzeba było młodzieńczego wieku,
Pełnego ognia, wrażeń i prostoty,
Wykarmionego na cudownem mleku,
Zbrojnego w wszystkie bohaterskie cnoty;
Potrzeba było, ażeby w człowieku
Wykwitła siła nadziemskiej istoty,
Co dumnym czynem w niebiosa się wdziera,
Ażeby wydać ślepego Homera!

Potrzeba było dla niego tych czasów,
W których lud cały, w pieśni rozkochany,
Słuchał jej chciwie wśród laurowych lasów,
I uzupełniał wątek podsłuchany.
I kiedy z długich pokoleń zapasów,
Snuł się poemat wielki, niezrównany,
I gdy bohater i twórca rapsodu,
Zarówno byli chlubą dla narodu!...

I zawsze w wieków minionych pochodzie,
Z duchem społeczeństw szli śpiewacy w parze;
Co zakwitało w ludzkości ogrodzie,
To pieśń na swoje przeniosła ołtarze.
Grek hołdujący jasnych bóstw urodzie,
Znalazł swój liryzm pieszczony w Pindarze,
A ile ognia tlało w jego łonie,
Tyle rozkosznych brzmień w Anakreonie.

Tak samo znowu, gdy po nocy długiej
Świat się odmłodził wiarą i krwią nową,

Gdy barbarzyńskiej ciosami maczugi,
Zgruchotał całą przeszłość posągową,
Kiedy cudownie odżył po raz drugi,
Z całą fantazyą, świeżą, silną, zdrową,
Zaraz zaświecił podwójnym brylantem,
Wdzięcznym Petrarką i surowym Dantem.

Szekspir gdy stanął na dramatu szczycie,
Miał pod nogami wielką ludzi wrzawę,
Wybuchające namiętnością życie,
Wielkie gonitwy o miłość i sławę.
A Goethe zastał myśl ludzką w rozkwicie:
Po złote runo wolności wyprawę,
Żądzę ziszczenia ideałów szczytnych
I uwielbienie wzorów starożytnych.

Lecz dziś gdzie znaleźć jaki sztandar wielki,
Któryby porwał małoduszne zgraje?
Wszechwładnej niegdyś cudów rodzicielki,
Młodzieńczej wiary świat już nie wyznaje;
Nikt się nie zwraca do tej karmicielki,
Co sercom ludzkim wieczną młodość daje;
I nie zostało nic z anielskich wizyi,
Prócz niedowiarstwa albo hipokryzyi.

Piętrzą się jeszcze gotyckie świątynie
I wieżycami pną się między chmury,
I dym kadzideł jeszcze w niebo płynie,
I lud się modli zimny i ponury;

Lecz nad tym jękiem, co bez echa ginie,
Nie ulatuje anioł srebrnopióry,
I w chore serca pociechy nie leje,
I chłód śmiertelny z ciemnej nawy wieje...

Zabrakło wiary, zabrakło płomienia,
Który ożywiał niegdyś mężów dawnych,
Zabrakło cudów, zbrakło pokolenia,
Co cud mieściło w piersiach w stal oprawnych.
Dzisiaj choć widzim smutne poświęcenia,
Choć widzim ludzi krwią swą marnotrawnych,
Przecież to wszystko tak marnie opada,
Jak kwiat, któremu wnętrze robak zjada.

Miłość ojczyzny?... Ta dziś pustym dźwiękiem,
Co nie brzmi wcale, albo brzmi szaleństwem;
Nasi mężowie, śpiąc na łożu miękiem,
Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem,
Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
I obrzucają swój naród przekleństwem
Za to, że śmiał się targnąć na kajdany
I drgnął na chwilę, własną krwią oblany...

Miłość ojczyzny! To przedmiot zużyty,
I pogrzebany z poległem rycerstwem,
Starannie w trumnie gwoździami przybity,
I przytrząśnięty pleśnią i szyderstwem;
A nad nim klęczy postać Jezuity,
Co umarłego gorszy się kacerstwem,

I lud poucza, że modna pobożność
Tę ziemską miłość uważa za zdrożność.

Miłość ojczyzny!... Staroświeckie tema,
I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem,
Zewsząd mu krzyczą wielkie anatema,
Pokryte słodkim świętoszków lamentem;
Więc żeby wznawiać rzeczy, których niema,
Trza być półgłówkiem, albo też studentem,
I z Don Kiszotem błądzić po manowcach,
By kruszyć kopje na spłoszonych owcach.

A dziś podobna marzeń wybujałość
Jest w naszym świecie wielce karygodną,
Nasze powagi widzą w tem zuchwałość,
Która być może w straszne skutki płodną;
Przyznają wtedy pieśni doskonałość,
Gdy jest jak oni bezbarwną i chłodną,
I tak strzyżoną, jakby ogród włoski,
Mając ucięte i myśli i zgłoski.

Więc nie dziw, że nikt ręką swą nie sięga
Po ten skarb w lutni ukryty ojczystej,
Dla martwych widzów martwa to potęga,
I może kruszyć tylko pierś lutnisty,
I stać zamkniętą, jak ta czarów księga,
Przez długie wieki w ciszy uroczystej,
Póki epoka nie nadejdzie nowa,
Godna odczytać jej cudowne słowa.

Cóż więcej znaleźć?... Sława?... tej nie mamy,
Wszyscy mniej więcej jesteśmy niesławni,
I nosim znaczne na honorze plamy,
Pod każdym względem zawsze niepoprawni,
O czystą wielkość zwykle mało dbamy,
I wtenczas właśnie jesteśmy zabawni,
Gdy się stroimy w kawałek łachmanu,
Co się nazywa dziś rozumem stanu.

Ten rozum stanu, wynalazek złoty!
Lepszy niż jaki płaszcz nieprzemakalny,
Pod nim bezpiecznie można szydzić z cnoty,
I podkopywać przesąd idealny,
Można ojczyźnie różne czynić psoty,
I łuk w nagrodę dostać tryumfalny,
Bo on zasłonić zdoła każdą sprzeczność,
Wszelki egoizm, wszelką niedorzeczność.

Istny talizman, który dobre wróżki
Roznoszą same jako płód krajowy,
I polskiej szlachcie kładą pod poduszki,
A ta się naraz budząc z bólem głowy,
Na suchych wierzbach umie szczepić gruszki,
I cycerońskiej nabiera wymowy.
Tak więc, bez pracy, nauk i zachodu,
Kraj się zapełnia gwiazdami narodu.

Przedmiot gotowy dla wieszczów przyszłości,
Będzie go można w gładkie rymy włożyć,

I parafialne pozbierać wielkości,
I epopeję narodową stworzyć,
Co pozostanie Iliadą śmieszności...
Lecz my nie pragniem owej chwili dożyć,
I wolim raczej na swych lutniach drzymać,
Niż próżny pęcherz powietrzem nadymać.

Cóż więc zostaje?... Pieśni erotyczne?
Ale i dla tych braknie w świecie wzorów,
Pogasły w piersiach ognie romantyczne,
Pełne świetności i pięknych kolorów,
A miłość cierpi suchoty chroniczne
I potrzebuje pomocy doktorów,
Co podtrzymują jej zbyt wątłe życie,
Przez różnych środków drastycznych użycie.

Nasze anioły i nasze kobiety
Są w sentymenta ubrane po kostki,
Lubią poezyę zajadać na wety,
I lubią także bawić się w miłostki,
Któżby wyliczył ich wszystkie zalety?
Jednej im tylko brak jeszcze drobnostki,
Prawdy w uczuciu... Lecz to rzecz zbyteczna,
Nie modna dzisiaj, nawet niebezpieczna.

Tem, czem są teraz, nie wzniecą tej walki,
Co się toczyła koło murów Troi,
Żadna nie zginie z rąk swojej rywalki,
Żadna się losów Julietty nie boi,

Bo każda z wdziękiem norymberskiej lalki,
W balowej sukni na wystawie stoi,
I z pochyloną, rozmarzoną główką,
Czeka na kupca, co płaci gotówką.

A Romeowie nasi nowocześni,
Są jak z żurnalu wycięte figurki,
Tacy bezduszni, tacy bezcieleśni,
Że z nich zaledwie zostały tużurki,
Które do taktu salonowej pieśni
Skaczą kadryle, walce i mazurki,
Wzdychając przytem od czasu do czasu,
Do dyamentów, gazy i atłasu.

Krew tam nie kipi purpurowym warem,
I nie upiększa ciał swoim szkarłatem,
Zmysły namiętnym nie owiane czarem
Nie zakwitają egzaltacyi kwiatem,
A to, co wschodzi, jest tak zwiędłem, starem,
Tak arlekińskiem i tak karłowatem,
Że może służyć na pastwę dewotkom,
Co się pobożnym poświęcają plotkom.

Ale dla pieśni niema tam oparcia:
Tyle tam ziarna, co w pustym orzechu;
Te straszne dzisiaj czułych serc rozdarcia,
Na drugi tydzień goją się w pośpiechu;
Do tragicznego zanim przyjdzie starcia,
Cała tragedya kończy się na śmiechu,

Skąd i poezya nasza nosi znamię,
Że jest szyderczą, gdy uczuć nie kłamie.

Trudno wymagać, by na takiej roli
Wytrysła natchnień prawdziwych obfitość,
Trudno geniuszu żądać aureoli,
Tu, gdzie się tuczy sama pospolitość,
I trudno miłość śpiewać wśród swawoli,
Co budzi tylko wzgardę, albo litość,
Trudno, ach! żądać dziś Anakreona,
Kiedy świat cały na bezkrwistość kona...

Potrzeba śmiać się, więc na równi z wami,
I razem z wami nad przepaścią pląsać;
Potrzeba kryć się ze swojemi łzami,
I z własnych uczuć głośno się natrząsać,
Karmić się codzień skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kąsać,
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać,
Potrzeba śmiać się... śmiać się i umierać...

Jeśli nas teraz potępić pragniecie,
Za naszą niemoc, nasze niedołęstwo,
Za rozrzucone poetyczne śmiecie,
Za skoszlawione pieśni czarnoksięstwo,
Godzim się na to... Potępcie, gdy chcecie,
Przy was jest słuszność, przy was jest zwycięstwo,
Lecz tę rozważcie smutną okoliczność:
Tacy poeci, jaka jest publiczność!

1869.

ODŁAMOWI PSYCHY PRAXYTELESA.

Psyche! ty stoisz w marmuru tunice,
Wiecznie niewinna, wiecznie zadumana,
Pierś się nie wzdyma i nie chmurzy lice,
Lecz jak cię mistrza uwięziło dłuto,
Przetrwałaś wieki natchnieniem owiana,
I do białego marmuru przykutą
Kołysze przeszłość jakąś tęskną nutą.

Na przechylonej z melancholią twarzy,
Co czystych linij przyświeca profilem,
Żadna namiętność usiąść się nie waży,
I wzrok, co trzymasz spuszczony ku ziemi,
Najwyżej gonić może za motylem,
Co ponad kwiaty przebiegał wonnemi
Przed chwilą wieków — i znikł między niemi.

Ledwie rozkwitłaś w majowy poranek,
Już zawstydzona kwiatem własnych marzeń,
Kryjesz się, by cię nie zbudził kochanek,
I zalękniona, niepewna i trwożna,
Odsuwasz czarę niespokojnych wrażeń,

I sercu swemu powiadasz: nie można!
Na szelest liści mirtowych ostrożna.

Wolisz uwieczniać w dziewczęcej pogodzie
Myśl jasną, co się błękitami żywi,
I być odbiciem w ideałów zgodzie,
Tej duszy świata, co senna przez wieki,
Dziewiczych natchnień odblaskom się dziwi,
Przed żywszem światłem zamyka powieki,
Zanim ją zbudzi kochanek daleki.

Kamienna siostro! przebudź się na chwilę,
I sennych marzeń twoich treść opowiedz;
Dziś sama jesteś na plemion mogile,
A nie znać w tobie sierocej boleści,
Tylko jak urna zdobiąca grobowiec,
Która już żadnych popiołów nie mieści,
Zostałaś pełna tajemniczej cześci.

Kiedyś spoczęła na milczącym głazie
Paryjskiej skały, inny świat cię witał,
Byłaś dla niego jako dźwięk w wyrazie
Co nakreślony Praxytela ręką,
Cały lud odczuł i w sercu doczytał:
Bo jego niebios świeciłaś jutrzenką,
Odziana piękna plastyczną sukienką...

Więc z różanego Olympu, jak dziecko
Zstąpiłaś świadczyć idealnym marom,

I wyobraźnię rozkołysać grecką
Pieśnią słowiczych smutków i porywem
Tych żądz nieznanych, co każą Ikarom
Wiązać się skrzydeł anielskich ogniwem
I nieśmiertelność mierzyć okiem chciwem.

Wtedy w około tytaniczne bajki
Liryzm w miękości szatę poubierał,
I ten kraj ducha lśnił się od mozajki
Promiennych bogiń, co na widzeń pianie,
Gdy jaki nowy bohater umierał,
Zakwitły żalem po zgasłym tytanie,
Przyszłości wonne rzucając podanie.

O! wtedy jeszcze brzaski wieków srebrnych
Niańczyły ziemię w kolebce lotusów,
Chimery ludów po ścieżkach podniebnych
Biegały złotem i ogniem ziejące,
A Epos oczy otwarła Argusów,
I by je łowić w zodyakach tonące,
Bellerophony wysyłała lśniące.

Życie się wtenczas przelewało hojnie
Nad ciasne brzegi wrzącej świata czary,
I ziemia z niebem w ustawicznej wojnie,
Z Prometeuszów korzysta rabunku,
I dzieli z niemi wieczność srogiej kary,
Aż w jakim długim, ciemnym obrachunku
Obie się strony zlały w pocałunku!

A z tych uścisków biegły nowe kształty,
Olbrzymie widma, pół bogi, pół karły,
I nowych wstrząśnień wulkaniczne gwałty,
Kruszyły dzikich Gigantów granity,
Aż się nareszcie w jeden proch roztarły
Te szalejące życiem Uranity,
A z mórz wytrysła tęcza Aphrodyty.

Nastała cisza wschodzącej pogody,
Świat się już nagiął do harmonii duchów,
I zaludniły się Kastalskie wody
Orszakiem dziewic, co przy lutni złotej
Nuciły pośród wiosennych podmuchów
Te pieśni, pełne pierwotnej prostoty,
Co echem ciemne ożywiały groty.

Poezya ciała weszła na tej niwie,
Jako kwiat pierwszy czarodziejskiej woni;
I upajała się nią ludzkość chciwie,
Gromadząc wszystkie promienne natchnienia
W swojej młodzieńczej za pięknem pogoni,
W jeden rytm wiecznej rozkoszy pragnienia,
Co ciała w jasne posągi zamienia;

I trzeba było uroczych obnażeń,
Dziewiczym wstydem wdzięcznych przy nagości,
Zmysłowej formy natchnionych wyrażeń,
Gdzie życie zlało w poematu całość:
Szlachetny kontur z ciepłem namiętności,

A siła miękką podnosząc omdlałość,
Rozkosznych wygięć uwieczniła trwałość.

Za każdym nowym kwiatem, co się wcielił,
Miłosnych legend powiewały wonie,
I krzyk wesela w niebiosa wystrzelił,
Gdy między mirty i rododendrony,
Nad tajnych źródeł przeźroczyste tonie,
Biegły zbłąkane żądzą Akteony
Boską Dyanę ujrzeć bez zasłony.

W tem ubóstwieniu cielesnych rozkwitów
Ubiegła rączo porankowa chwila,
A ciała nie dość sączyły zachwytów;
Więc zapomniana w błękitnym eterze
Dusza na skrzydłach zstępuje motyla,
I na wygasłych pożądań kraterze,
Stępionym zmysłom rzuca blaski świeże.

Psyche! tyś przyszła kończyć dzień stworzenia,
Jak akord jednym wiążący łańcuchem
Ciemnych zagadek bieg i przeznaczenia;
Dziejowych zjawisk bezładne wyskoki,
Co się być zdają męką i rozruchem,
Zszeregowałaś w jeden nurt głęboki,
Chwiejne narodów podpierając kroki.

Dobrze ci było pośród tego ludu
Wypełnić żywych widzeń krajobrazy!

I poplątane arabeski cudu
Ująć w myślący porządek Ethosu,
I spocząć w głębi zielonej oazy,
W pół przesłoniętej cieniami chaosu,
W pół słuchającej własnych brzmień rozgłosu.

I nie dziw! wszystkie powtarzają struny
Pieśń, co związała ludzkość jednem prawem:
Platońskich marzeń lecą już zwiastuny,
Błyszczące ogniem przeczutych zapałów,
I w przyszłość okiem wglądają ciekawem:
Kiedy się złoży z rozbitych kawałów
Spójnia walczących dotąd ideałów?

Ty słuchasz jeszcze, a tam śpiewne głosy,
Brzmiące miłością promiennej Hellady,
Leją się hymnem nad płonące stosy
Ległych obrońców, których liść laurowy
Przystraja w ogniach złocistej kaskady;
A te w bieliźnie leżą amiantowej,
Niby pomniki chwały narodowej.

Chwała i wolność: te dwa dźwięki złote,
Jako anioły w niebiosach się ważą,
I mlekiem karmią wielkich mężów cnotę,
Która zarówno z trybun, jak z oręża,
Do przyszłych wieków obraca się twarzą,
I wzrokiem smutne ciemności zwycięża,
W których zabraknie i cnoty i męża.

Wszędzie harmonia myśli, która władnie,
I bryły w jasny porządek układa.
Lud tajemniczą piękność tę odgadnie,
Co formy lepi dla życia narodów,
Tyle z jej łona blasków powykrada,
Że przez daleki szereg epizodów
W przyszłość je rzuci aż do antypodów.

Niech nad tą świtów słonecznych świątynią,
Oko twe dłużej z miłością odpocznie,
Kapłani twoi ślub odrodzeń czynią,
Nieskończoności żądzę i przeczucie
W wszechwładną bytu zmieniając wyrocznię:
Sokrates bogi postawił w zarzucie...
I nieśmiertelność wypija w cykucie.

Tęskniąc za słońcem, które zwolna wstaje
Ponad krwi ludzkiej morzem purpurowem,
Zwróceni wzrokiem w odgadnięte raje,
Gdzie wstępu bronią ciemności anioły,
Idą pokrzepiać życiodawczem słowem
Łaknące pociech zgraje — apostoły,
I dzień, co przyjdzie, zwiastują wesoły;

Ale nie nadszedł: i królestwo ducha,
Choć objawione cichym i prostaczkom,
Z Golgoty boskim płomieniem wybucha,
Przecież w dalekich zawisło niebiosach;
I tylko ziemskim pozostało płaczkom

Na wieków marnie uwiędłych pokosach
W całopalenia odradzać się stosach.

Tęcze pogasły w dzikich zawieruchach,
Harmonię stłumił tentent barbarzyńców,
I myśl stanęła pod pręgierz w łańcuchach;
Na mętnej fali wichrem gnane hordy
Spłynęły burzą śród ziemskich gościńców,
Wstrząsając grzmiące przewrotów akordy,
I niosąc trwogę na zasiew i mordy.

Na gruzach nowe życie się zieleni,
I świeże kwiaty kwitną na cmentarzach,
Biorąc swe barwy z pod ruin kamieni;
Skrzydlate widma z czarnych wstają lochów,
A zakochane w namiętnych grabarzach,
Uczą ich stąpać śród dziejowych prochów,
Bez próżnych złudzeń, lecz i bez popłochów.

Tyle lat zbiegło i Furyńskie wrzosy [1])
Miały czas wyschnąć pod niebem południa,
A ludzkość kroczy wciąż przez krwawe rosy,
I wciąż od celu swojego daleka;
Przeszłość się duchy smutnymi zaludnia,
Których żałobny hufiec tęsknie czeka,
Kiedy się znowu wcieli Bóg w człowieka.

---

[1]) W gaju Furrina pod Rzymem finalne rozwiązanie tragedyi Cajusa Graccha.

Do wspólnej dobra ludzkiego skarbnicy
Tyle przybyło zasług i ofiary:
Długo z bezbronną bronią przodownicy
Szli na śmierć pewną, nie wiedząc przy zgonie,
Czy prawda, której zatknęli sztandary,
Z niemi w niepamięć wieczną nie zatonie,
Próżną męczeństwa palmą zdobiąc skronie.

A pod tą wrzawą namiętną skarg smutnych,
Wciąż się dopełnia niecny targ Judasza,
I nic nie przerwie pasma dni pokutnych;
Ludy wołają: „Szczęścia! ach, gdzie droga?...“
I chociaż biegną krzycząc: „Przyszłość nasza!“
Przecież na wszystkich wielka padła trwoga,
I nic nie mogą znaleźć, nawet Boga!...

Wschodzące mary ledwie zejdą, zbledną,
Nigdy się w ciała oblec nie są zdolne;
Lecz choć szeregi przedświtowców rzedną,
Chociaż się kruszy ułomne narzędzie,
Jednak natchnienia nie zmarnieją wolne,
I pójdą dalej w niewstrzymanym pędzie,
Aż prawda ziemskie królestwo posiędzie.

Psyche tej ziemi, co dziś tak milcząca,
W zwojach ciemności marząc o kochanku,
Skrzydłami krwawe kałuże potrąca,
I myśli senna, że to laur i róże,
Zbudzi się wreszcie w gwiazd niebieskich wianku,

I jak te lilie, śpiące w wód lazurze,
Wypłynie wichry uciszyć i burze.

Kamienna siostro! czekaj wieków chwilę,
I świeć nadziemskiej pogody odbiciem:
Mirty zakwitną, powrócą motyle,
Miłość ci przyjdzie zwiastować o wiośnie;
Tymczasem stój tu nad grobowców gniciem,
I spojrzyj także, z wysoka, litośnie,
Gdy trawa nasze mogiły porośnie!

Neapol, 7 grudnia 1864 r.

ASCETA.

I.

W Tobie, o Panie, zamknąłem życie;
Ku Tobie dusza jawnie i skrycie
Płynie drogami wszystkiemi;
I wciąż katuję wzgardzone ciało,
Chcąc Twoją tylko oddychać chwałą,
A zostać obcym tej ziemi.

Tyle lat klęczę tutaj w pokorze
I wzrok zatapiam w jasności morze,
Za którą mam Cię pożądać.
Nie dość, że Ciebie myśl ma odgadnie,
Ja Cię przeniknąć pragnę dokładnie,
Oczyma ducha oglądać.

Więc zapatrzony w wieczyste blaski,
Spragniony widzeń natchnionych łaski,
Krwawemi świecę stygmaty.
I wylatując za ziemską glinę,
W nieskończoności pożądań ginę,
W Twoje wdzierając się światy.

Lecz próżno miłość świętą rozpalam,
Próżno się z więzów ciała wyzwalam,
Nie mogę, jeszcze nie mogę
Przedrzeć ostatnich mroków zasłony,
I przez serafów jasne legiony
Ostatnią otworzyć drogę.

Jeszcze królestwo Twoje nie spadło
Na duszy mojej smutne zwierciadło,
By się tam zawrzeć jak w grobie;
I nie leżałem w prochu zdrętwiały
Przed majestatem straszliwej chwały,
Widząc Cię w ogniach przy sobie.

Czasami tylko, bólem targany,
Duch mój porzuca cielska łachmany,
W nowe przedzierzga się życie;
I do Twych niebios biegnie promienny,
W apoteozie rozlać się sennej,
A ja umieram w zachwycie...

I już się oczom moim odsłania,
Przez rozstąpionych grobów błyskania
Ta Jeruzalem bez zmazy,
Co na zburzonym świata porządku
Staje bez końca i bez początku,
Przybytkiem wiecznej ekstazy.

Lecz ledwie pierwszym świtem ogrzany,
Zrywam objawień kwiat pożądany,

Uduchownione upajam zmysły,
Gdy nagle z natchnień moich zenitu,
Do dawnej wracam martwości bytu,
I rajskie widzenia prysły.

II.

Panie! z otwartym duszy kielichem,
W unicestwieniu pogrążon cichem,
Nowemi ogniami płonę.
Niema już dla mnie czasu, przestrzeni,
Tylko się zorza wieczna promieni,
Nie jestem, lecz w Tobie tonę!

Wznoszę się, lecę, głębia bez końca,
A chociaż niema ziemskiego słońca,
Oczy znieść blasków nie w stanie:
To nie są gwiazdy, to nie są chmury,
Ale skrzydlate anielskie chóry,
Co wiodą w świateł otchłanie.

O! to krzyż wielki tę jasność miota,
A u stóp jego źródło żywota
Rozlewa wieczne strumienie;
Tłumy wybranych miliony całe,
Niby błyszczące gołębie białe,
Piją zeń swoje zbawienie.

Wszyscy swe oczy wznoszą w tę stronę,
Gdzie zakrwawioną cierniów koronę
Trzymają złote Cheruby;
A pod nią wyższe orszaki świętych,
Na nieskończonej tęczy rozpiętych,
Jako gwiaździste tkwią śruby.

Jedni z otwartą księgą wyroków
Przestrzenie mierzą okiem proroków,
A chwałę ustami niosą;
Drudzy weselne śpiewają psalmy,
Strojni w zielone, męczeńskie palmy,
I krwawą myją się rosą.

Błękit się coraz rozszerza dalej,
W tych sfer duchowych ruchomej fali
Dziewic przeczystych rój płynie:
Każda z srebrzystym na głowie wieńcem
W godowych szatach przed oblubieńcem
Stanąć w tryumfu godzinie.

Ach! i ta płynie jasna, natchniona,
Z takiem spojrzeniem niebios jak ona
Co stała drżąca i blada,
Gdym usta topił w złotym warkoczu...
. . . . . .
Gdzie jesteś Panie? tracę Cię z oczu,
I niebo Twoje przepada!

III.

Cóż mi ta ziemia? jej się wyparłem!
I cóż mi ludzie? dla nich umarłem,
I nic mnie z niemi nie łączy!
Ziemskie pociechy, ziemskie boleści:
To tyleż bluźnierstw odmiennej treści,
Których jad w serce się sączy.

Niechaj krwią dymi czara ohydna,
Niech się urąga tłuszcza bezwstydna,
Tryumfy świecąc zwodnicze!
W kłamstwie upadną kłamstwa czciciele,
Co na jałowym wieków popiele
Nietrwałe łowią zdobycze.

Niech obłąkane dumą anioły,
Co chcą zapłodnić martwe popioły,
Ziemskiej oddani ojczyźnie,
Dotknięci słusznym niebios wyrokiem,
Nie dojrzą Boga stęsknionem okiem,
W dziejowej niknąc krwawiźnie.

Ponad tą lichą robactwa wrzawą,
Co się dobija o życia prawo,
W fałszu chwilowych zapędów,
Niezmienna prawda, do której dążę,
Jedna warunki życia rozwiąże
I skruszy kajdany błędów.

Tam! za tą wstrętną plamą nierządu
Bić już zaczyna godzina sądu
Dla ciemnych ludzkości marzeń,
I duchy trwogą przeczuć miotane,
Patrzą się, dzikim bólem złamane,
W niebiosa pełne przerażeń.

Czas się wiekowej wypełnia zgrozy,
I na gwiaździste wstąpił już wozy
Żelaznem berłem rządzący;
Ten, co go nie zna nawet z imienia
Świat, choć pokazał twarz Swą z płomienia,
A w ręku swojem sierp lśniący:

Idzie na żniwo, przed nim anioły
Równają ziemskie góry i doły
Pługami ostatnich zniszczeń,
I przewracając glebę cmentarną,
Zbierają ważne i czyste ziarno
W omłocie boskich oczyszczeń.

Duchy brylantem zasług bogate,
Wdziewają świetną zwycięstwa szatę,
W nadziemskiej stają ozdobie;
Nawet skalane krwią ludzką zbójce,
Przeszedłszy męki Twojej ogrójce,
Wznoszą się czyste ku Tobie.

Jacyż to biedni i odtrąceni,
Idą w czerwone morze płomieni,

Okryci hańby swej piętnem?
Ach! to ostatni z mojego ludu,
Co próżno w jasnych zmartwychwstań cudu
Oczekiwaniu stał smętnem.

Bezpłodne męki dostał w udziale,
Choć zawsze świadczył o Twojej chwale,
I dziś go czeka zagłada!
Takąż robotnik Twój bierze płacę?
. . . . . .
Gdzie jesteś Panie? z oczów Cię tracę,
I niebo Twoje przepada!

1864.

LEGENDA PIERWSZEJ MIŁOŚCI. [1]

Ja ją kochałem, tak się im zdaje,
Bo cudną była w szesnastej wiośnie:
Umiała patrzeć na mnie miłośnie
I rwać mi serce w nadziemskie kraje.
A więc w jej oczach pełnych tęsknoty
Tonąłem wzrokiem i tak na jawie
Śniłem o różach, które ciekawie
Ponad jej włosów wybiegły sploty,
Tak, że je zrywać ustami chciałem,
I byłbym przysiągł, że ją kochałem!

Ja ją kochałem, ach! jestem pewny!
Bom często błądził w noc księżycową,
Przypominając mojej królewny
Każde spojrzenie i każde słowo;
A w gwiazdy patrząc w pół nieprzytomnie,
Widziałem usta zwrócone do mnie,
Że aż mnie brała wielka pokusa,
W wonne powietrze rzucić całusa,

---

[1]) Drukowane w *Kłosach* z r. 1870 p. t.: Rojenia.

Lecz się obrazić skromnej lękałem,
I dość mi było, że ją kochałem...

Miłość to była, lecz taka cicha,
Że sam przed sobą bałem się zdradzić,
I tylko kwiatków szedłem się radzić,
Czemu dziś smutna? i czemu wzdycha?
Ale o serca jej tajemnicę
Nie chciałem nawet lilij zapytać;
A gdy w ogrodu weszła ulicę,
Stałem, nie śmiejąc wzrokiem ją witać,
I tylko do nóg upaść jej chciałem,
Kiedy w jej oczach łezki dojrzałem...

Bo przypuszczałem, że smutek rzewny,
Rozlany na jej anielskiej twarzy,
Wypłynął z serca i siadł na straży:
Tak przeczuwałem, nie będąc pewny.
I sam już nie wiem, jak się to stało,
Że zapytałem drżący, nieśmiało,
Co jest jej smutku dziwną przyczyną?
I czemu łezki po twarzy płyną?
Na to odrzekła smutnemi słowy:
Że nie ma świeżej sukni balowej...

Chociaż wyrazy te obojętne,
Upadły szronem, co serce ziębi,
Ale jej oczy mówiły smętne,
Że się myśl inna kryje gdzieś głębiej.

Więc pomyślałem, żem był za śmiały,
I chcąc złagodzić moją zuchwałość,
Balowej sukni chwaliłem białość,
W którą się stroi krzak róży białej;
Chwaliłem ciernie, które jej bronią
Przed zbyt ciekawych natrętną dłonią.

Jednak już potem częściej myśl płocha
Trącała skrzydłem w błękit mych marzeń,
I z różnych rozmów, sprzeczek i zdarzeń,
Stawiałem wnioski: kocha? nie kocha?
I z tem pytaniem jak Hamlet nowy
Chodziłem długo w ranek majowy;
A kwiaty wonią, drzewa szelestem,
Odpowiadały: Kocham i jestem!
Nim powtórzyłem setne pytanie,
Wybiegła wołać mnie na śniadanie.

Różowa ze snu; w słońcu przejrzysta,
Stała przedemną jasna i czysta;
Zamiast brylantów na złote włosy
Jaśminy kładły kropelki rosy,
I tak oblana światła potokiem
Jeszcze mnie swoim paliła wzrokiem;
A ja zmieszany mówiłem do niej
O drzew szeleście i kwiatów woni,
Lecz ją znudziła moja rozprawa,
Bo rzekła: „Chodź pan, wystygnie kawa".

Oj! oj! figlarko — myślałem z cicha,
Nie chcesz mnie słuchać na głos i w oczy,
Za to twój uśmiech mówi uroczy,
I pierś, co mocniej teraz oddycha.
Nie chcesz mnie słuchać, bo w serca drżeniu
Czujesz, że staniesz cała w płomieniu,
Gdy ci wypowiem z schyloną twarzą
Słowa, co w ustach moich się ważą...
Wtem ona widząc, żem zadumany,
Rzecze: „Pan jesteś dziś niewyspany".

I tak mię nieraz mała psotnica
Zbijała z toru krótkiemi słowy;
Jam się w anielskie wpatrywał lica,
I w usta pełne niemej wymowy,
I myśl czytałem, co z oczu strzela,
A serca mego tamując bicie,
Czułem, że nic nas już nie przedziela,
Że toniem razem w marzeń błękicie,
Lecz gdy się tylko spojrzałem tkliwiej,
Pytała: „Czemu pan się tak krzywi?"

Raz, ach! powziąłem myśl dosyć śmiałą
Ukraść jej z album karteczkę białą,
I na niej wszystko wypisać szczerze,
Co mnie ochota powiedzieć bierze.
A więc ubrałem w urocze farby
Całą jej postać czystą, powiewną,

I wysypałem końcówek skarby,
By miłość moją uczynić śpiewną;
Słowem, jak młody poeta liryk,
Wpisałem wierszem jej panegiryk.

Gdy to odkryła, chciałem uciekać,
Ale przemogła trwogę ciekawość,
I już wolałem przy niej zaczekać,
Śledząc na twarzy wrażeń jaskrawość;
Ona czytała uważnie, zwolna,
Głębokich wzruszeń ukryć nie zdolna,
A gdy zdumienie minęło pierwsze,
Rzekła: „Pan także pisuje wiersze?
Szkoda, że kartkę odjąć wypadnie,
Bo pan tak pisze krzywo, nieładnie!“

Zrazu to nieco mnie zabolało,
Że mnie tak zbyła lekko, złośliwie.
Ale myślałem: Ja się nie dziwię,
Że moje wiersze ceni tak mało.
Ona! to jeden poemat cały,
A moje wiersze pełne wyrazów
Pustych i ciemnych, mglistych obrazów,
Które w jej oczów blasku stopniały...
Nie umiem oddać tego co roję;
Ona piękniejsza niż wiersze moje!

I coraz bardziej i coraz więcej,
O jej prostocie myśląc dziecięcej,

Pytałem siebie czy jestem godny
Takiej miłości czystej, łagodnej?
Lecz czułem tylko, że byłbym dla niej
Gotów me życie poświęcić w dani,
I byłbym rzucił wszystko, gdy trzeba,
I poszedł za nią prosto do nieba,
I byłbym poszedł za nią do piekła...
Gdyby nie... była z drugim uciekła...

1867.

JULIAN APOSTATA.

Na czele bitnych rzymskich legionów
Spaliwszy na Tygrze floty,
Gdzie przed wiekami wódz Macedonów
Rozbijał swoje namioty,

Stanął zazdrosny jego podboju,
Świeżą okryty purpurą
Cezar, co wedle sługi pokoju,
Na słońcu prawdy był chmurą [1]).

Pieszcząc w swem sercu przeszłości marę,
Chrystusa sieciom niechętny,
Zamierza wskrzesić imperyum stare,
I Olimp bogów ponętny.

Jedzie i marzy o swoim wrogu,
Co berło świata wydziera,
O tym nieznanym i cichym Bogu,
Co gdzieś na krzyżu umiera.

---

[1]) Tak panowanie Juliana nazywał Atanazy, biskup Aleksandryjski.

„Duszę mam“, mówi, „blasków słonecznych
„Pełną, i niemi obrzucę
„Ludzkość spragnioną jutrzenek mlecznych,
„I dawną pogodę wrócę.

„Przezemnie błyśnie dawna potęga
„Obrządku, co światem władnie,
„A nowa wiara, co Rzym rozprzęga,
„Pod stopą moją upadnie.

„Nie w ciemnem, nawpół dzikiem marzeniu
„Leży zbawienie dla świata,
„Lecz w tym Heliosa jasnym promieniu
„Dojrzewa przyszłość bogata.

„Mądrość, na którą wieki się całe
„Składały w ciężkiej kolei:
„Mamyż wymienić za to niestałe
„Zaziemskich widmo nadziei?

„I barbarzyńską targnąć się ręką
„Na święte przodków spuścizny?
„Za galilejską biegnąc jutrzenką
„Odstąpić wrogom ojczyzny?

„O nie! mój mistrzu, co wzrok odrywasz
„Od ziemi, gdzie życia cele,
„I myślą w sennem niebie spoczywasz,
„Ziemią się z tobą nie dzielę;

„Lecz ją sam ujmę w żelazne dłonie,
„Promienną przeszłość odtworzę,
„A na zwycięskim wejdzie zagonie
„Słońce, co zgasnąć nie może".

Tak dumał Julian, patrząc się w gwiazdy,
I szukał swojej w niebiosach,
Aż wtem z pod ziemi perskie podjazdy
Przyszły rozstrzygać o losach.

Wzięły zwycięstwo bitne legiony,
Pierzchają hordy przed niemi,
Ale wódz strzałą perską raniony
Chyli się z konia ku ziemi.

I laur ostatni rwąc na tej niwie,
Obficie krwią swą go zmywa,
Spojrzał się w górę dumnie, wzgardliwie,
I sny stracone przyzywa.

Potem zgarniając w dłonie już drżące
Strumień krwawego koralu,
Cisnął nim w niebo jasne, milczące,
Z wymówką skargi i żalu.

I zionąc duszę w namiętnym krzyku,
Słabnący rzekł Apostata:
„Dziś zwyciężyłeś Galilejczyku!
„Lecz jutro!... gdzie jutro świata?

„Cóż? że my padniem przy tych bożyszczach,
„Tchnących wdziękami młodości,
„Cóż? że na naszej potęgi zgliszczach
„Ponury krzyż się rozgości;

„Że ten świat grecki w mgły się rozwieje
„Z harmonią tęczowych mytów,
„Że w miejsce niego niebo zadnieje
„Męczeńskich pełne zachwytów.

„Czy krzyż otworzy swoje ramiona
„Tułaczej narodów rzeszy?
„Czy w cieniu jego spocznie strudzona
„Ludzkość, co nie wie, gdzie spieszy?

„Czy tak, jak teraz kona świat stary
„Pod znakiem boskiego zbawcy,
„Nie będą padać ludów ofiary,
„Wleczone pod miecz oprawcy?

„Czy w imię tego czarnego krzyża
„Świat się nie spławi krwi strugą,
„I wiara, co dziś niebo przybliża,
„Ciemności nie będzie sługą?

„O! przyjdzie chwila, w której o Tobie
„Gromady zwątpią cierpiące,
„Gdy ujrzą na swych nadziei grobie
„Jak ja dziś, niebo milczące,

„I wołać będą w dzikim okrzyku,
„Padając pod topór kata:
„Dziś zwyciężyłeś Galilejczyku!
„Lecz jutro! gdzie jutro świata?“

ASZERA.

Po nad ziemskim lecąc globem
W brylantowych skrzę się rosach,
Wonne róże na mych włosach,
Z moich ramion spływa bluszcz;
Nad otwartym stanę grobem,
Pocałunki śląc namiętne,
I uwiodę cienie smętne
W lazurowych kraje puszcz.

Niegdyś, dawniej, świat młodzieńczy
Rozmarzyłam w sen lubieżny,
Do mej piersi tuląc śnieżnej,
W namiętności strojąc kwiat;
Dziś mię próżno róża wieńczy,
Zapoznane bóstwo błędne
Bez uścisków schnę i więdnę,
Opłakując dawny świat;

I choć tyle ognia w łonie,
W ustach pragnień niosę tyle,
Nie zlatują się motyle,
Aby wieczną rozkosz pić,

I kochanków próżno gonię,
Paląc lilie swym oddechem;
Nad przeszłości dźwięcznem echem
Zadumana muszę śnić.

Kwiaty więdną, blaski gasną,
Porankowych braknie rojeń,
I miłosnych już upojeń,
Nie pożąda zimny tłum,
I zmysłową żądzę jasną,
Zapaloną w ust purpurze,
W melancholii topi chmurze,
Lub przelewa w westchnień szum.

A za łzawą biegnąc perłą,
Ogniem życia już nie tryska,
Smutnie dymią ciał ogniska,
A nie dają ciepła już.
Brylantowe złożę berło,
Lub na gwiazdy pójdę inne,
Bo tu lilie wód niewinne,
Natrząsają się z mych róż.

Albo rzucę wzrok błyszczący
Między ciche zmarłych cienie,
Rozbujanej piersi drżenie
Może ruszy śpiący proch:
Może oddech mój gorący
Kości stopi i skrysztali,

Z zapomnienia wyjdą fali
I kochanków odda loch.

Do mnie, do mnie, tu do łona,
Znów zakwitać, znowu płonąć
I w uściskach ciągłych tonąć,
Spłyńcie roje bladych mar;
Ja otwieram swe ramiona,
Pocałunkiem zmyję pleśnie,
Tam sen w grobie, tu raj we śnie,
I miłości wieczny czar.

Czyż mam próżno sypać skarby
Gwiazd, korali, pereł, wieńców,
Rzęs jedwabnych i rumieńców,
Alabastrów miękkich ciał,
I w urocze przybrać farby
Pożądania rajskie drzewo,
By spłynęło łez ulewą,
A owoce wicher zwiał.

Młodość, piękność, wdzięk i siłę,
Skwarem nieba, tchnieniem wiosny,
Skojarzoną w splot miłosny,
Nieprzebyty okrył cień;
Adonisa dziś mogiłę
Wśród Byblosu wonnych zwalisk,
Nie otacza rój odalisk
Gorączkowych pełny drżeń.

Cześć rozkoszy bez uniesień
Serc nie pali i nie wskrzesza,
Słońc na chmurach nie zawiesza,
Nie przymnaża twórczych sił;
Namiętności smutna jesień
Życiodajne traci ognie,
Do harmonii ciał nie dognie
Obumarłych typy brył.

W opóźnionych pulsach świata,
Erotyczna boska władza
Skrzepłych istnień nie odmładza,
Ledwie ciągnie dalszy byt.
Mych gołąbków tęcz skrzydlata
Zawieszona u podwiązki,
Bez mirtowej wróżb gałązki,
Na jaśniejszy czeka świt.

Muszę rzucić błysk zmysłowy,
I dzisiejszą łez opiłość
W wulkaniczną zmienić miłość,
Co poruszy nowy prąd;
Gdy rycerski proch grobowy
Mym uściskiem rozpłomienię,
Wyjdzie silne pokolenie
Chananejski zyskać ląd!

1865.

POD STOPY KRZYŻA.

Dużo cierpiałem... lecz koniec się zbliża
Z uspokojeniem po przebytej męce,
Pójdę, o Chryste, do stóp twego krzyża,
Wyciągnąć znowu z utęsknieniem ręce,
I witać ciszę zachodzącej zorzy,
Która mnie w prochu u stóp twych położy!

Nie pomnę modlitw, com niegdyś ze skruchą
Przy boku matki powtarzał niewinny.
Te utonęły w fali życia głucho,
I odkąd w gruzy padł mój raj dziecinny,
Odkąd mi zbrakło ojczyzny i domu,
Nie otworzyłem mej duszy nikomu!

Nawet przed Tobą, nie mogłem, o Panie,
Wydobyć płaczu z mej piersi ściśniętej,
Bo wzrok mój padał w bezdenne otchłanie,
A tyś mi zniknął na krzyżu rozpięty,
Z pośród pokoleń rozrzuconych kości,
Za ciemną chmurą krwi, łez i nicości.

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie, nie widziałem kary;
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie znalazłem, i zbrakło mi wiary:
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach płaczą.

Widziałem trwogę i niemoc konania,
Widziałem duchów hańbę i upadek,
Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania;
I próżnych męczeństw przerażony świadek,
Patrząc na niebo, co nigdy nie dnieje,
Straciwszy wiarę, straciłem nadzieję.

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą,
Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie,
Wiedzą przynajmniej dlaczego tam lecą,
I że przyjmując każdy ból i ranę,
W piersiach anielstwo noszą nieskalane.

Lecz gdym obaczył, skąd te wszystkie czyny
Swój tajemniczy początek wywodzą;
Skąd wyrastają ściekłe krwią wawrzyny,
Gdzie upadają ci, co w niebo godzą;
I gdy wnikając w serc zranionych ciemność,
Za każdym bolem znalazłem nikczemność:

Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posępnej,
I przeklinałem tę rzeszę żałobną
I pogardzałem niemi, sam występny!...
I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Żem nie mógł kochać, jak dawniej za młodu.

Tak więc w mej duszy zburzonym kościele
Została straszna pustka i samotność:
Sam jako nędzarz zostałem w popiele
I własną badać zacząłem przewrotność
I wszystko w sobie znalazłem to samo,
Co mi się zdało być u drugich plamą.

Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche,
Co kłamią tylko pozór wyższej cnoty,
Olbrzymią nicość i olbrzymią pychę
Znalazłem na dnie swej własnej istoty:
I tak swe serce rozpoznawszy chore,
Straciłem w sobie ostatnią podporę.

Lecz ta upadku właśnie ostateczność,
Co mnie w bezdennej pogrążyła nocy,
Dała mi poznać wszechwładną konieczność
Wyższej, a razem nieskończonej mocy.
I moja rozpacz szalona i trwoga
Świadczyła jeszcze o potędze Boga.

Na mojej piersi spoczywał schowany
Maleńki krzyżyk ze słoniowej kości:
Świadek młodzieńczej wiary nieskalanej,
Dar macierzyńskiej najczystszej miłości,
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego, boskiego męczeństwa.

Kiedy go teraz na piersi zbolałej
Po latach tylu znalazłem niewierny,
Tak mi się wydał znowu jasny, biały,
Taki potężny i tak miłosierny,
Że znów tęsknotą zadrżało mi łono
Za tą postacią tyle uwielbioną!

I powitałem światło wiecznie nowe
Z tych jasnych ramion krzyża tryskające,
I na skrwawione stopy Chrystusowe
Tak samo lałem moje łzy gorące,
Jak wówczas, kiedym poił serce młode,
Patrząc na mistrza nadziemską pogodę.

I znów słyszałem te boskie wyrazy:
„Chodźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie,
„Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy,
„We mnie jest spokój i we mnie jest życie,
„Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie,
„Wszystko przemija, prawda nie przeminie!“

Więc posłuchałem słodkiego wezwania,
I oto idę z mem sercem schorzałem,
I pewny jestem twego zmiłowania,
Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem,
I drogi życia przeszedłem cierniste...
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz Chryste!

1869.

RODZINNEMU MIASTU.

Jest jedno piękne ludowe podanie,
Co treścią swoją do łez mnie porusza:
Lud prosty mniema, że gdy czas nastanie,
W którym już ciało ma opuścić dusza,
Zanim w nadziemskim utonie błękicie,
Powraca jeszcze wstecz przez swoje życie...

I zwolna idzie przebytym już śladem
Żegnać to wszystko, co jej drogiem było,
Raz jeszcze ujrzeć w świetle grobu bladem
Miejsca, gdzie niegdyś żywiej serce biło!
I tak dochodzi aż w dziecinne lata,
I nad kolebką staje znów skrzydlata.

Jako wędrowiec smutny i zmęczony
Kąpie się znowu w jasnych wspomnień zdroju,
I błogosławi swe rodzinne strony,
I wtedy z ziemi odchodzi w pokoju,
Niosąc na skrzydłach w krainę wieczności
Najszlachetniejsze marzenia młodości.

To wszystko prawdą mnie się dziś wydaje,
Bo choć sam jeszcze do żywych się liczę,
Za każdym krokiem, co mi pozostaje,
W tył poza siebie odwracam oblicze
I moja dusza wyrywa się smutna
Tam, gdzie młodością była tak rozrzutna.

I często cichym, gwiaździstym wieczorem,
Gdy swoim blaskiem księżyc do mnie wchodzi,
Gdy anioł ciszy na mem sercu chorem
Kładzie swe dłonie i boleść łagodzi,
Czuję, jakobym był już tylko cieniem,
Ulatującym z księżyca promieniem.

Wtedy, ach, idę po srebrzystej fali
I całą drogę minioną odnawiam,
Pozdrawiam ludzi, co mnie dzieckiem znali,
Gaje i łąki i pola pozdrawiam,
I zatrzymuję się nad każdą miedzą,
Gdzie złote mary lat dziecinnych siedzą.

Droga mnie wiedzie do starego grodu,
Otoczonego ramionami Prosny:
Tam, wśród alei kasztanowych chłodu,
Czerpałem tchnienie pierwszej życia wiosny,
Co w cudowności szatę się obleka,
Jak sen zstępuje i jak sen ucieka.

Dziś wywołane pamięcią promienie
Złocą mi pasma zielonych wybrzeży,
I znów anielskie śle mi pozdrowienie,
Jak niegdyś rankiem, dzwonek farnej wieży,
I całe miasto w oczach się powiększa
Przez mgłę tęsknoty, co wszystko upiększa.

Jak tam spokojnie płynie ludzkie życie,
Mierzone dźwiękiem słodko brzmiących godzin!
Jak wody w Prosny łagodnem korycie,
Dnie upływają w kółku cichych rodzin,
I z domowego ogniska blask strzela,
Który przechodnia oczy rozwesela.

Ach! z tem ogniskiem dusza moja zrosła
I brała z niego macierzyńskie ciepło,
Zanim daleko fala mnie uniosła
Na brzeg, co dłonią pochwyciłem skrzepłą.
Więc gdy te domy i serca obaczę,
Jak dziecko ręce wyciągam i płaczę.

Bo cóż słodszego? nad rodzinny związek,
Co wielkiem drzewem jedności wyrasta,
I pełen wiecznie zielonych gałązek
Ocienia sobą cały obręb miasta,
I nad tę wiarę, która wszystko zbliża
W nawie kościelnej u jednego krzyża?

I cóż świętszego? nad domowe cnoty,
Nad tę tradycyę żywą, starożytną...
Cóż jaśniejszego? nad ów szczerozłoty,
Wesoły uśmiech, którym twarze kwitną,
I nad tę cichą, zacnych serc zażyłość,
Co niesie szczęście, niosąc z sobą miłość!

Tak mi to wszystko cudnie się uśmiecha,
Tak mnie ta przeszłość pociąga znikniona,
Że szukam wzrokiem, gdzie jest owa strzecha,
Pod którą spocznę wśród przyjaciół grona?
Ale napróżno... bo w mej idealnej
Podróży błądzę, jak cień, niewidzialny.

Zresztą już moi przyjaciele starzy
Po większej części poszli na spoczynek,
Rodzinna ziemia lekkim snem ich darzy,
Więc im dać muszę łzę na upominek!
A z tych, co żyją, mało kto mnie wspomni:
W pamięci ludzkiej nikną nieprzytomni.

Z czasem powoli wszystko się zaciera,
A więc i moje zatarły się ślady:
Stary park na mnie z ździwieniem spoziera,
Pytając: „Co to za przychodzień blady?“
I nawet mury wahają się szkolne
Rozpoznać we mnie swe dziecko swawolne!

Chociaż przechodzę około okienka,
Pod które dawniej zbliżałem się z drżeniem,
Już w niem nie siedzi figlarna panienka,
Co była pierwszej miłości marzeniem,
I tylko gzymsy opuszczone sterczą
I patrzą na mnie dziwnie i szyderczo.

Tylko sny dawne zlatują się do mnie,
Spływając łukiem różnobarwnej tęczy...
I widzę wszystko, com śnił nieprzytomnie
Nad nurtem rzeki wsparty na poręczy...
Lecz te marzenia nie wydały plonu:
I jestem smutny, smutny aż do zgonu!

Jednak nie chciałbym teraz mej żałoby
Zawiesić chmurą nad poczciwym grodem;
Chciałbym na boku pozostawić groby,
A zejść się z życiem szlachetnem i młodem,
Co jak bluszcz swoją latorośl przeciska
Do słonecznego światła przez zwaliska.

Chciałbym z młodzieżą w kielichy uderzyć
I ze staremi pogwarzyć przy winie;
W młodość, wskrzeszoną węgrzynem, uwierzyć,
I nucić piosnkę o psotnej dziewczynie,
A skończyć głośnym, wesołym toastem,
Na powitanie z ukochanem miastem.

I chciałbym objąć w uścisku serdecznym
Ziemię i mury i wody i ludzi...
Ale czas wracać szlakiem nadpowietrznym,
Bo już jutrzenka słońce ze snu budzi,
I księżycowe gasnące promienie,
Już mnie wzywają w błękitne przestrzenie.

Tak więc znikając w jasności porannej,
Dobrych aniołów polecam was pieczy,
Niech promień łaski nieba nieustannej,
Poczciwe serca przed złem ubezpieczy,
I Ten, co wszystkich w przyszłość nas posuwa,
Nad starym grodem niech Bóg zawsze czuwa!

1870.

PRZEBUDZONA.

Słonko majowe
Ze snu już wstaje,
We mgłach różowe
Wyzłaca gaje,
Przez chmur koronkę
Patrzy ciekawie,
Biegnie przez łąkę,
Kąpać się w stawie,
Promyki drżące
Po drzewach wiesza
I budzić śpiące
Kwiatki pospiesza;
Ukradkiem, z cicha,
Pączki rozwija,
I w lot z kielicha
Rosę wypija.

O, ileż blasku!
Jakże uroczo!
W pobliskim lasku
Ptaszki szczebioczą.

A z tego drzewa,
Co pod oknami,
Słowiczek śpiewa
Pieśń nad pieśniami.
Piosenka płynie
Dalekiem echem,
Chaty w dolinie
Wtórzą jej śmiechem,
Wszystko się budzi,
Do zajęć wraca:
Ożywia ludzi
Radość i praca.

I w sercu mojem
Coś się zbudziło,
Drży niepokojem
Dziwnie a miło:
Jakieś zachcenia,
Nowe, nieznane,
Najsłodsze brzmienia,
Blaski różane,
W serce się leją
I pierś podnoszą
Niby nadzieją,
Niby rozkoszą...
I coś mnie drażni,
Czegoś wyglądam,
Lecz najwyraźniej
Nie wiem, co żądam.

Chciałabym zrzucić
Postać dziewczyny,
Lecieć i nucić
Jako ptaszyny,
Po brzóz zwieszonych
Gałązkach pląsać,
Z listków zielonych
Rosę otrząsać.
W przelocie, szybko,
Muskać strumienie,
I srebrnym rybkom
Nieść pozdrowienie,
I ponad pola
I ponad laski,
Lecieć gdzie wola
W różowe blaski,
Coraz ku górze,
Wyżej i dalej,
Tonąć w lazurze,
W powietrznej fali...

Chciałabym potem
Zakwitnąć różą,
Pod drzew namiotem
Pachnącą, dużą,
Strojną w szkarłaty
I wdzięk niezwykły,
By wszystkie kwiaty
Gasły i nikły,

By słowik mały,
Skryty w gęstwinie
Moje pochwały
Śpiewał jedynie.

Znaleźćbym rada
Ów pierścień złoty,
Co to posiada
Dziwne przymioty,
I w nadzwyczajne
Kształty nas zmienia,
I wszystkie tajne
Spełnia życzenia.

Ale goręcej
Jeszczebym chciała
Znaleźć coś więcej...
Cobym kochała:
Niby człowieka,
Niby anioła,
Co mnie z daleka
W snach moich woła.
Chciałabym jego
Znaleźć przy boku
Zapatrzonego
Z miłością w wzroku,
Rączki serdecznie
Podać mu obie

I mieć go wiecznie,
Wiecznie przy sobie...
Chodzić i gwarzyć
Wśród drzew warkoczy,
I słodko marzyć
Patrząc się w oczy,
I całą jasność
I piękność ziemi,
Zabrać na własność
Sercami swemi,
I skryć w błękicie
Wszystko radosne...
I całe życie
Zamienić w wiosnę.

1870.

RÓŻOWA CHWILKA.

Pięknym jest ten gaj,
Piękną jezior toń,
Pięknym świeży maj,
Co roznosi woń,

Piękny jasny dzień
Co blask złoty śle,
Pięknym nocy cień
Na błękitów tle,

Piękny cały świat,
Piękny wzdłuż i wszerz,
Piękny każdy kwiat,
Każdy ptak i zwierz,

Piękny słońca wschód
I rumieniec zórz:
Świat jak jeden cud
Piękny wszerz i wzdłuż.

Szczęście, rozkosz tu,
Szczęście, rozkosz tam,
Piersiom braknie tchu
Czerpać zachwyt sam.

Rozkosz płynie w dal,
Rozkosz płynie w krąg,
Płynie z szumem fal,
Płynie z wonią łąk,

Płynie z dolin, z gór,
Z lasów, wsi i miast,
Z błękitów i chmur,
Ze słońca i gwiazd.

Słodko szumi las,
Słodką nuci pieśń,
Słodko patrzy głaz,
Przez jedwabną pleśń.

Drzewa szczęściem drżą,
Drży ich każdy liść,
Drzewa tańczyć chcą,
Chcą powstać i iść.

Zatacza się buk
I cieszy się w głos,
Brzozy aż do nóg,
Rozpuszczają włos,

Nawet stary dąb
Przystrojony w bluszcz
Chce się sunąć w głąb
Swawolących puszcz.

Ptaszki nucą tu,
Ptaszki nucą tam,
Brak mi w piersiach tchu
Śpiew ich w sercu mam.

Słychać z poza drzew,
W jaśminie i bzie,
Słychać ciągle śpiew:
„Ona kocha cię".

„Kocha" — pluszcze staw,
„Kocha" — szemrze zdrój,
„Kocha" — brzęczy z traw
Złotych muszek rój.

„Kocha" — słówkiem tem
Ziemia w koło brzmi,
„Kocha" — wiem już, wiem!
Sama rzekła mi.

Muszę wierzyć jej,
Bo mi rzekła: Wierz!
Słońce ty się śmiej!
Ziemio ty się ciesz!

Róży imię ma,
Różą jest jej twarz,
Kiedy rączkę da,
Różę w sercu masz.

Nie wiem, jak się stał
Cud niebieski ten,
Jednak to nie szał,
Prawda to nie sen!

„Kocham“ — rzekła w głos
Płonąc jako świt,
Z ócz jej krople ros
Biegły gasić wstyd.

„Kocham“ — szepnie znów
A tuż za nią w ślad,
Oddźwiękiem tych słów
Zabrzmi cały świat.

„Kocham“ — śpiewa bór
„Kocham“ — woła głaz
„Kocham“ — echo gór
Odpowiada wraz.

„Kocham“ słówko to
Śle tysiące brzmień,
I tęczową mgłą
Barwi jasny dzień.

W słońca blasku drży,
Lecąc w światów toń,
Dźwięczy, lśni się, skrzy
I roznosi woń.

Na błękitów tle
Płonie ogniem zórz,
I w powietrze śle
Słodki zapach róż.

I zakwita wschód,
Jak różowy kwiat:
Świat, jak jeden cud,
Piękny, boski świat!

HELENIE MODRZEJEWSKIEJ.

Ponad tem wszystkiem, co początek bierze
W ciężkiej i dusznej życia atmosferze,
Ponad tem wszystkiem, co się ćmi i wichrzy
W prochu tej ziemi, jak owad najlichszy,
Ponad tem wszystkiem, co z niesforną wrzawą
Goni za chlebem, miłością lub sławą,
I świecąc chwilę, znowu w mroku ginie
W łez, krwi i błota dziwnej mięszaninie:
Ponad tem wszystkiem jest jaśniejsza sfera,
Będąca ziemskiej tęczowem odbiciem,
Ta zmienne kształty w wieczny blask ubiera,
I jak posągi stawia ponad życiem,
I każdą miłość, co się w proch rozwiała,
Uwiecznia w krasie dziewiczego ciała,
I każdą sławę podejmuje z zgliszcza,
I ze rdzy ziemskiej ogniem ją oczyszcza.

Ta sfera jasna, sfera ideału,
W którą świat żywych wsiąka wciąż pomału,
I gdzie przenosi swoje łzy i nędzę
Na rajskich marzeń nieśmiertelną przędzę,

Ta sfera sztuki, jak ją tłum nazywa,
Wieczyście piękna, wieczyście prawdziwa,
Ma swoje sługi, którym jest zlecone
Ukrytych cudów odchylać zasłonę,
Ma swoje sługi wierne niewolniczo,
Co wdzięcznym marom, zrodzonym w błękicie,
Własnego ducha na chwilę użyczą,
I mglistym kształtom własne dadzą życie,
I całą swoją roztrwonią istotę
Na ich nadziemską walkę i tęsknotę,
I trwają, błyszczą i lecą... dopóki
Nie strawi ducha boski płomień sztuki!

Biedne ofiary! Im nie wolno w locie
Opuścić skrzydeł w jakiej cichej grocie,
Ani ugasić ognia, co je pali,
Jako jaskółkom gdzie na modrej fali;
Im w ideału jarzmie, bez wytchnienia,
Wszystkie łzy, skargi, krzywdy i cierpienia
Potrzeba zbierać, każdą ludzką ranę
Przejmując na swe serce skołatane;
Trzeba im chodzić w królewskiej purpurze,
W koronie z szychu i nie giąć się pod nią,
Odczuć w swych piersiach wszystkie ziemskie burze,
I dyszeć dumą, nienawiścią, zbrodnią,
Umarłych plemion żywym być wyrazem,
Kochać, żyć, walczyć, ginąć z niemi razem...
I wszystkie piękne widma co się roją,
Aby ożyły, krwią napoić swoją.

Biedne ofiary! Tłum co patrzy na nie,
Widzi ułudę tylko i udanie,
I gdy się ogniem tęczowym zachwyca,
Nie pyta, czem go niewolnik podsyca?
Nie pyta, czemu mieści posąg Nioby
Tyle kamiennej grozy i żałoby?
Czemu pieśń, co się w powietrzu roztrąca,
Jest tyle śpiewna, spłakana i drżąca?
Czemu ta postać jasna, czysta, biała,
Spoczywająca dotąd w zapomnieniu,
Nagle przed okiem widza zmartwychwstała
I w czarodziejskim zakwita promieniu?
Skąd płynie fala tych uczuć obfita,
Co go rwie z sobą? o to tłum nie pyta...
Pewny, że wzruszeń tajemniczych tęcza
Bengalskim ogniom początek zawdzięcza.

Nikt nie przeczuwa owej wielkiej rany,
Skąd krwi upływa strumień nieprzebrany,
Ani tej walki, co trwa życiem całem
Z nieuchwyconym nigdy ideałem,
Ani też nie ma współczujących świadków
Dla tych porażek, zwątpień i upadków,
Gdy niewidzialne wyższej mocy ramię
Słonecznym gońcom skrzydła i lot łamie.
O! tych wewnętrznych konań ponad światem
Nie dojrzą nawet oczy najciekawsze:
Źródło, co było w twórcze łzy bogatem,
Zostanie ciemną zagadką na zawsze,

I gdy duch w prochu szermierza powali,
Na śmierć zadepcze i uleci dalej...
Tłum się nie troszczy o los zapaśnika,
Ale do domu powraca... i syka.

Strwonione życie! komedya skończona!
Nad zwyciężonym zapadła zasłona
I głucha cisza zaległa bezzwłocznie
Wprzód, zanim w ziemi naprawdę odpocznie;
Serdecznych natchnień błyski drogocenne,
Te uleciały ponad prądy zmienne,
Unosząc z sobą w kraj przyszłości mglisty
Serce człowieka i duszę artysty.
Więc pozostaje tylko marą błędną,
Rozdawszy z siebie wszystko co najlepsze:
Zebrane laury do wieczora zwiędną,
I nikt go piersią swoją nie podeprze.
Dopiero wtedy, gdy z nędzy człowieczej
Chłodna go ziemia na zawsze wyleczy,
Nad grobem miga błędny ognik sławy,
Przed którym staje przechodzień ciekawy.

A jednak mimo, że ten ból, ta praca,
W której się własną istotę zatraca,
Zdaje się niknąć, atom po atomie
W wiecznej piękności blasku i ogromie
Jak rosa w słońcu... jednak przecież warto
Chociaż na chwilę dać swą pierś rozdartą
Tym, którzy łakną i tęsknią za niebem

I głodnych karmić ideału chlebem.
Warto chociażby raz, na chwilę jedną,
Położyć palec na dusz ludzkich ranie,
I w lepsze światy zawieść rzeszę biedną,
Prawdy i piękna dać jej pożądanie.
Bo chociaż dzieło i twórca przeminie,
Rzucone ziarno zejdzie kiedyś w czynie,
I w przyszłych czynów rycerskiej postaci
Zapomnianemu sprawcy się wypłaci.

FRESKI STAROŻYTNE.

THETYS I ACHILLES.

Równo z jutrznią pospieszną, co na niebie już
[wschodzi,
Thetys smutna i blada, na perłowych konch łodzi
Z głębi morza wypływa. Przed nią fali błękity
Rozsuwają się cicho i szlak złotem nabity
Znaczy drogę, po której jej perłowa łódź przejdzie.
Każda fala się kłania modrookiej Nerejdzie,
I całuje jej stopy bielsze jeszcze od piany,
Którą lekko okrasi pierwszy promień różany.
Brzmienia słodkie, łagodne, jak amfiońskiej głos liry,
Towarzyszą jej w drodze przez te płynne szafiry,
A na muszli, najcichszy syn Eola z uśmiechem,
Biały żagiel wydyma swoim wonnym oddechem.
W koło rzesza delfinów, ssąc powietrze w swe
[płuca,
Wodotryski srebrzyste ponad fale wyrzuca.
Złotowłosych cór morza, śpiewnych Nerejd
[gromada,
Igra z falą, lub z wdziękiem na delfinów grzbiet
[wsiada,

Zakwitając różowo w złotym deszczu promieni,
Co ich ciała przejrzyste tchem rozkoszy rumieni.
Towarzyszą Thetydzie oceanu dziewice:
Jedna sterem kieruje, druga trzyma kotwicę,
Owa piersią swą śnieżną w biegu wstrzymać [chce fale,
Inna z morza dobywa promieniste korale,
U tej w ustach pobudką śpiewająca brzmi koncha,
A ta znowu schylona dziwny morski kwiat wącha,
Inna drażni delfiny, inna łowi od rana
Siecią rybki skrzydlate... Thetys smutna, stroskana,
Na to wszystko nie zważa: towarzyszek nie pieści,
Pełna gorzkich rozmyślań i głębokiej boleści.
Myśli tylko o synu, o Achillu, na którym
Przeznaczenie zawisło swym wyrokiem ponurym.
Spieszy właśnie do niego szafirowych fal drogą,
By los groźny odwrócić macierzyńską przestrogą;
I tak płynie przez błękit zamyślona, milcząca,
A perłowa łódź chyżo ciche fale roztrąca.

* * *

Nad wezgłowiem Achilla Thetys siadła strapiona,
I objęła pierś jego w swoje śnieżne ramiona.
Z dumą matki, choć razem z myślą dziwnie [żałobną,
Postać męża podziwia, bogom tylko podobną,
I widokiem się poi bohaterskiej postaci,
Której nic nie wyrówna, której nic nie opłaci.

Pocałunkiem to jasne, czyste czoło pokrywa,
Razem dumna i trwożna, zrozpaczona, szczęśliwa!

„O Achillu! — zawoła — nie gardź bogów [przestrogą:
„Jeśli prośby twej matki nic nad tobą nie mogą,
„Słuchaj niebios ostrzeżeń i w rodzinne wróć strony,
„Gdzie cię czeka twój ojciec, starzec biedny, [stęskniony.
„Wszakże dosyć masz sławy, ta na wieki ci [starczy,
„Możesz cicho więc w domu miecz zawiesić na [tarczy,
„I pod cieniem ojczystej spoczywając oliwy,
„Ród Pelidów utrwalić. Ma-ż twój ojciec [sędziwy,
„Bezpotomnie, samotnie, rzucać świat ten na wieki,
„Bez pożegnań ze synem, bez najczulszej opieki,
„Bez uczczenia popiołów przez rycerskie igrzyska,
„Bez dziedzica, dla swego mienia, władzy, nazwiska?
„Ma-ż twa matka tak rychło, w samym kwiecie [młodości
„Widzieć ciebie schodzącym w nieprzebyte [ciemności?
„I utracić skarb drogi, co zaledwie przez chwilę
„W całym blasku widziała i piękności i sile?
„Ach, ty nie wiesz, jak wielka strasznych męczarń [przyczyna
„Nieśmiertelnej i wiecznej śmiertelnego mieć syna.

„Jak okropnie jest widzieć niezbłaganą konieczność
„I nie módz jej odwrócić i tak zostać na wieczność!“

„Matko! — Achill odrzecze — co nam pomódz jest [w stanie
„Na zagubę skazanym, naszych losów badanie?
„Prędzej, później, paść musim w otchłań dla nas [otwartą;
„Chwilę możem odwlekać, lecz czyż odwlec ją [warto?
„Żeby stracić walk naszych i poświęceń korzyści,
„Z drzewa życia spadając, jako suchych proch liści?
„Nieśmiertelność bez walki — bogów tylko [udziałem!
„Oni jedni panują nad istnieniem nietrwałem,
„Oni jedni niezmienni, bez boleści i troski,
„Rozlewają strumieniem życie jako dar boski.
„Nieśmiertelność jest bogom przyrodzoną... [My ludzie
„Ją zdobywać musimy w krwawym znoju i trudzie
„Życiem całem na szalę losów świata rzuconem,
„Wytrwałością niezłomną, bohaterstwem i zgonem!
„Nam potrzeba bez trwogi wkroczyć w cienie [Erebu,
„I wyjść stamtąd zwycięzcą, żeby wydrzeć ją [niebu.
„Więc, gdy taka konieczność bezskuteczny żal [na co?
„Na co rady troskliwe? które wartość swą tracą,

„Nic odmienić nie mogąc. Tak więc matko
[daremnie
„Swoim żalem i smutkiem budzisz gorzką myśl
[we mnie,
„Tę myśl, która mnie także dręczy często boleśnie,
„Żem jest tylko śmiertelnym i że umrę przed-
[wcześnie!“

„Na cóż ginąć przed czasem? — smutno Thetys
[odpowie—
„Gdy ci żywot najdłuższy obiecują bogowie,
„Byleś tylko odstąpił, póki jeszcze jest pora...
„I nie szukał tryumfu w krwawym zgonie Hektora.
„Dopóki on nie padnie, jesteś jeszcze bezpieczny...
„Tak brzmi wyrok przeznaczeń niewzruszony
[a wieczny.
„Ale szala ta sama, co zwycięstwo ci skłania,
„Razem czas nam odważa wieczystego rozstania!
„Więc powstrzymaj, o synu! zapęd miecza zwycięski,
„Co ci przyjdzie z Hektora poniżenia i klęski?
„Co ci przyjdzie, że życiem bohaterów rozrzutny,
„Nową poślesz ofiarę Persephonie okrutnej?
„Że ją wydrzesz rodzinie i rozkoszy i chwale,
„Tyle szczęścia niwecząc? Gdy sam losów swych
[szalę
„W czarny Hades przeważysz z wieczną matki twej
[szkodą
„I na głowę twą ściągniesz śmierć tak smutną, tak
[młodą!“

„Matko moja, Thetydo! — Achill znowu rozpo-
[cznie: —
„Naszym losem i każdym z naszych czynów wi-
[docznie
„Wyższe prawo rozrządza. Kto ma w sobie swej
[siły
„I wielkości poczucie, kogo mlekiem karmiły
„Nieśmiertelnych bóstw piersi, ten się cofnąć
[z swej drogi
„Choćby zechciał, nie może. Bez litości, bez
[trwogi,
„Musi ciągle iść naprzód, niosąc z sobą miecz
[krwawy;
„Jak niewolnik swych czynów, swej wielkości
[i sławy,
„Musi zdeptać, co słabsze i po ciałach tysiąca
„Bohaterów przejść z wzgardą, jak potęga niszcząca,
„Z każdą sławą się mierząc, która zazdrość w nim
[budzi,
„I nie znosząc równego wśród pół-bogów i ludzi,
„Póki jeden nie stanie ponad światem wszech-
[władnie,
„Jako pomnik na przyszłość, lub dopóki nie
[padnie.
„Na tem właśnie polega nasza wielkość i chwała,
„By dokonać wszystkiego, co nam tylko wskazała
„Moc wewnętrzna, nie dbając, co i kiedy nas
[czeka?
„Bez litości nad sercem i nad losem człowieka.

„Prąd nas zmusza silniejszy ponad żale chwilowe,
„Pędzić dalej a dalej po zdobycze wciąż nowe,
„Przez tryumfy i klęski, przez orężne zatargi
„Całych plemion, przez stosy ciał poległych,
[przez skargi
„Biednych starców i niewiast, przez ruiny i zgli-
[szcze.
„Tak zdążamy do kresu. Każdy mniema, że zyszcze
„Nieśmiertelność dla siebie i nie troszczy się wiele,
„O przeznaczeń wyroki i o skryte ich cele.
„Ostateczny cel jaki? Nikt się tego nie dowie
„Z nas śmiertelnych: zaledwie znać go mogą
[bogowie".

1871.

II.

KWIATY.

NIEZABUDKI KWIECIE.

Niezabudki wdzięczne kwiecie
Ona dała mi,
Gdym anielskie żegnał dziecię
Ciche tłumiąc łzy:
I mówiła kryjąc twarz:
— „Luby! wrócisz przecie?
„Ja cię czekam... wtedy dasz
„Niezabudki kwiecie.

„Wszak mówiłeś, że me oczy
„Jasne, jak ten kwiat,
„Gdy się po nich łezka toczy
„W dziwny marzeń świat;
„Mego życia rajski sen,
„Wziąłeś sen uroczy,
„Bierz więc łzawy kwiatek ten,
„Pomnij na me oczy.

„Kiedy smutek cię przemoże,
„Gdy cię złamie ból,

„Porzuć góry, porzuć morze,
„Wracaj do tych pól.
„Ja jak teraz moją skroń
„Na twych piersiach złożę,
„Mej miłości czysta toń
„Głębsza, niźli morze.

„Gdybyś długo błądził w świecie,
„I po przejściu burz
„Znalazł dziś ci miłe dziecię,
„W cichym grobie już,
„Idź, o luby, na mój grób
„W noc miesięczną w lecie,
„Rzuć, spełniając dawny ślub,
„Niezabudki kwiecie".

Odjechałem. Dnie mijały,
Nadszedł smutku dzień;
Wszystkie moje ideały
Pierzchły, jako cień;
Jeden tylko wierny mi
Został kwiatek mały,
A z nim pamięć lepszych dni,
Senne ideały.

Życie lało gorzkie męty
W kielich duszy mej,
A ja szedłem uśmiechnięty,
Bo wierzyłem jej!

Dwoje oczu, gwiazdek dwie,
Jak talizman święty
Prowadziło w przyszłość mnie,
Szedłem uśmiechnięty.

I ostatnie blaski złote
Snuła życia łódź...
Gdym w niebieską wstąpił grotę,
Echo rzekło: wróć!
Więc rzuciłem wzrokiem w dal,
Opuściłem grotę,
I wędrując pośród fal,
Snułem blaski złote.

Raz, ach! śniłem sen proroczy,
Że ją widzę tuż:
Ma zamknięte martwo oczy,
Wieniec z białych róż,
Drżąca rączki trzyma w krzyż,
Kwiaty wśród warkoczy,
Więc spytałem: „Czemu drżysz,
I zamykasz oczy?“

Nic nie rzekła, lecz z westchnieniem
Stopniała we mgle...
Jam się zbudził z przerażeniem,
I wróżyłem źle;
Ach, myślałem, ona to
Przyszła marnym cieniem,

Osłonięta grobu mgłą,
Żegnać mnie westchnieniem.

Nigdy jej nie ujrzę zatem!...
I ostatnia nić,
Co wiązała mnie ze światem
Pękła... mamże żyć?...
Pójdę tylko na jej grób
W noc miesięczną latem,
I wypełnię dawny ślub,
Co mnie wiąże z światem.

Popędziłem jak szalony,
Serce łamał ból...
Gdym się zbliżał w znane strony,
Do rodzinnych pól,
Nad strumieniem, gdzie mi kwiat
Dała łzą zroszony,
Powitałem wspomnień świat
Biegnąc jak szalony.

Aż w tem nagle widzę dwoje
Nad zwierciadłem wód,
Jak zrywają kwiaty moje,
Kwiaty drogie wprzód;
Dziewczę skryło swoją twarz
W jego płaszcza zwoje,
I widziałem, Boże skarz!
Ich w uścisku dwoje!

Jak statua Laokona
Stoję słupem wciąż,
A myśl dziwna, że to ona,
Kąsa mnie jak wąż...
Aż nareszcie, Boże skarz!
Odchylił ramiona:
Odwróciła swoją twarz...
Ach!... to była ona!

Wkrótce potem, ha, co chcecie!
Kiedy za mąż szła,
Prowadziłem rajskie dziecię
Do kościoła... Ha!
Tylko na pamięci znak,
W noc miesięczną w lecie,
Na weselu wpiąłem w frak
Niezabudki kwiecie.

Tak się skończył sen milutki
I ostatnia nić...
Zwiędły kwiatek niezabudki
Przestał w sercu żyć;
Powróciłem w ciemne mgły
Unosząc swe smutki,
I nie wierzę dziś już w sny,
Ani w niezabudki!

BŁAWATEK.

Jaki to chłopiec niedobry,
Tak mnie wciąż zbywa niegrzecznie!
Muszę się gniewać na niego,
Gniewać koniecznie.

Niedawno wyrwał mi z ręki
Zerwany w polu bławatek,
I przypiął sobie do piersi
Skradziony kwiatek.

I jeszcze żartował ze mnie,
Gdym się żaliła na psotę,
Bo mówił, że ma coś więcej
Ukraść ochotę.

Że oczy moje piękniejsze
Niźli ten kwiatek niebieski,
Że chce pić rosę z bławatków,
A z oczów łezki.

I mówił dalej niegrzeczny,
Że mnie rodzicom ukradnie,

Tak straszyć kogo, doprawdy
Że to niełądnie.

Chciałabym gniewać się bardzo!
Nie widzieć więcej... ach! trudno,
Wiem, że mnie samej bez niego
Byłoby nudno.

Ale go muszę ukarać,
Podstępu na to użyję:
Będę umyślnie płakała,
Niech łezki pije!

1868.

RÓŻA.

Ach ta róża! ach ta róża!
Co się w twoje okno wdziera,
Na pokusy mnie wystawia,
Sen i spokój mi odbiera...

Wciąż z zazdrością myślę o niej,
Choć jej nie śmiem dotknąć ręką,
Bo mnie gniewa, że bezkarnie
Patrzy nocą w twe okienko.

Radbym nieraz rzucić wzrokiem,
Błądząc w wieczór po ogrodzie,
Radbym dojrzeć... ale zawsze
Stoi róża na przeszkodzie!

Ona winna! ona winna!
Że ciekawość moją drażni,
Bo gdzie sięgać wzrok nie może,
Sięga siła wyobraźni.

Odtwarzając piękność twoją
Coraz bardziej tracę głowę,

Zamiast pączków, zawsze widzę
Twe usteczka karminowe.

A gdy jeszcze wonne kwiaty
Poosrebrza blask księżyca,
Wtedy, wtedy w każdej róży
Widzę tylko twoje lica.

A myśl coraz dalej biegnie
I wypełnia postać cudną,
I odsłania wszystkie wdzięki...
Bo fantazyę wstrzymać trudno.

Widzę ciebie na wpół senną,
Snem rozkoszy rozmarzoną,
Widzę włosów splot jedwabny,
Śnieżną falą drżące łono,

I te usta, co miłośnie
W pół otwarte chcą czarować,
I rozważam: co za rozkosz,
Takie usta pocałować!

Krew się ogniem w żyłach pali,
Chcę ten obraz pieścić wiecznie...
Lecz przy róży pod okienkiem
Stać młodemu niebezpiecznie.

Gdybym tylko mógł być pewny,
Że cię, piękna, nie oburzę,
Byłbym, byłbym już oddawna
Pod twem oknem zdeptał różę.

1869.

POWÓJ.

Nie jedna wesoła piosenka,
W wiosenne wieczory lub ranki,
Wybiegła z tego okienka,
Strojnego w białe firanki.

I śmiechu srebrnego kaskada,
Ach nie raz! z owego pokoju
Spłynęła w okna sąsiada
Po wiotkich splotach powoju.

Natenczas ja byłem studentem,
I boski zajmował mię Plato,
I nad niejednym fragmentem
Ślęczałem zimę i lato.

Myślałem, pracując tak pilnie
I pisząc uczone rozprawy:
Że się dorobię niemylnie
Wiedzy, znaczenia i sławy.

Zły sąsiad, zły sąsiad był ze mnie!
Siedziałem jak więzień za kratą,
I klątem w duchu tajemnie
Sąsiadkę, piosnki i lato.

I nigdym nie patrzał w okienko,
Choć nieraz w niedzielę lub święto
Mignęła białą sukienką
W powoju kwiaty upiętą.

Napróżno wesoła figlarka
Rzucała do okna mi kwiatki:
Brałem do ręki Plutarka,
Strzegąc się psotnej sąsiadki.

Dziś znowu po trudach i znoju,
Po wielu minionych już latach,
Mieszkam w tym samym pokoju,
I myślę czasem o kwiatach.

Nie myślę już więcej o sławie
W tej biednej izdebce pod dachem,
Lecz patrzę w okno ciekawie,
Pojąc się wiosny zapachem.

Daremnie wyglądam, daremnie!
Dziś nic mi spokoju nie skłóci;
Ja jednak wzdycham tajemnie,
Cisza mnie gniewa i smuci.

Ach! teraz już puste okienko!
I niema w niem białych firanek:
Nikt mnie nie wabi piosenką
W majowy wieczór lub ranek.

I śmiechu nie słychać srebrnego,
I wszystko już leży w ruinie,
Ja wzdycham, sam nie wiem czego,
Myśląc o psotnej dziewczynie.

Zaginął ślad mojej sąsiadki,
I tylko zwieszony kapryśnie
Powój przynosi mi kwiatki,
Do okna gwałtem się ciśnie.

I motyl przyleci czasami
Pić słodycz z jasnego kielicha;
A ja się patrzę ze łzami,
„Gdzie ona?“ pytam go z cicha.

Wspomnienie przeszłości pierś tłoczy,
Aż wreszcie żalami wybucha;
A motyl patrzy mi w oczy,
Na kwiatach siedzi i słucha

I szemrze, miód pijąc z kielicha:
„Wszak mogłeś i kochać i marzyć?
„Kto napój szczęścia odpycha,
„Ten nie ma prawa się skarżyć!“

LILIE WODNE.

Taki spokój rozlany w naturze,
Niebo takie czyste i pogodne!
Na jeziora przejrzystym lazurze
Zakwitają blade lilie wodne;
Zakwitają i z schyloną twarzą
Za czemś tęsknią i gonią i marzą.

Sierp księżyca przegląda błyszczący
Przez nadbrzeżne sitowia i trzciny,
Łódka płynie po fali milczącej,
Na niej chłopiec patrzy w twarz dziewczyny,
A ta główkę rozmarzoną skłania,
Czyniąc jemu dziwne zapytania:

„O czem marzą owe lilie smutne,
Zatopione w podwójnym błękicie?
Czy jak duchy jeziora pokutne
W śnie kwiecistym nowe biorą życie,
Gdzie je znowu w jasny wieniec wplata
Idealna twórcza piękność świata?

Czy też może służą za dyadem
Utopionej w jeziorze dziewicy?
Albo tylko są odbiciem bladem
Ludzkich tęsknot wiecznej tajemnicy,
I dlatego sen życia je pieści
Echem naszych pragnień i boleści".

„Ty się pytasz, mój biały aniele,
O czem marzą owe kwiaty senne?
W naszych piersiach kwitnie uczuć wiele,
A nie wiemy, gdzie biegną promienne,
I związani ze ziemią łańcuchem
Nic nie wiemy, gdzie płyniemy duchem.

Wiemy tylko, że w ciągłej pogoni
Za tą marą piękności bezwzględną
Rozsiewamy kwiaty pełne woni,
Które kwitną chwil kilka i więdną;
Ale w każdym w krótkiej trwania dobie
Zostawiamy jakąś myśl po sobie".

„Jabym chciała — dziewczę się ozwało —
Mój sen życia powstrzymać w swym biegu,
I zakwitnąć taką lilią białą,
Pełną woni na jeziora brzegu;
I nie ponieść żadnej serca straty,
Lecz tak zwiędnąć, jako więdną kwiaty.

Ja się lękam w ciemną przyszłość płynąć
I utracić rajskich marzeń jasność;
Wolę raczej w chwili szczęścia zginąć
I twą miłość wziąć z sobą na własność,
I być pewną, że się nic nie zmieni
W blasku naszych wewnętrznych promieni".

„Niech cię przyszłość najdroższa nie straszy!" —
Odparł młodzian, topiąc wzrok w błękicie —
„Myśmy naprzód już w miłości naszej
Zaczerpnęli nieśmiertelne życie,
I możemy iść dalej bezpieczni,
Że się sen nasz za światem uwieczni.

Los nas może na zawsze rozłączyć,
Wyszukiwać męczarnie najrzadsze,
Może w serca truciznę nam sączyć,
Tych chwil szczęścia on jednak nie zatrze!
I zostawim nad swoją mogiłą,
Co nam spójnią nieśmiertelną było.

Może także nad tonią błękitną,
Tu, gdzie teraz rozmawiamy z sobą,
Takie lilie znów po nas wykwitną,
Naszych losów owiane żałobą,
I w niebiosa patrząc się pogodne
Będą o nas marzyć lilie wodne".

DZWONKI.

Naraz mi jasność zniknęła dzienna,
I świat zalała ciemność bezdenna;
Czułem, że serce boleść mi zrywa...
Poczem nastała cisza straszliwa.
Z całego życia przebrzmiałej wrzawy
Zostały tylko mgliste wspomnienia,
Jakiś bój straszny, upadek krwawy,
Wyrok zagłady i potępienia,
Nędza bez granic, byt bez przyszłości,
I całe morze, morze nicości...

W wnętrznościach ziemi, w prochu i pyle,
Leżałem martwy w swojej mogile,
Z wystygłą piersią, z wystygłą twarzą,
Pod ciemnych duchów leżałem strażą;
Lecz chociaż wszystko padło w rozstroju,
W niemocy ducha, w martwości ciała,
Jednak nie miałem w grobie spokoju,
I myśl paląca wszystko przetrwała;
I po przebytej męce konania
Zostało jeszcze poczucie trwania.

Czułem na ustach życia gorycze
I wszystkie smutki śpiewne, słowicze;
Marzenia w przepaść strącone ciemną
Ulatywały jeszcze nademną;
A pod tych marzeń mglistą zasłoną,
Pod tym oddźwiękiem przebrzmiałych godzin,
Tysiącem uczuć drżało mi łono,
Tysiącem wskrzeszeń, czy też narodzin,
Życie się lało w nowe koryto,
Rzucając dawną formę przeżytą.

Czułem, jak piersi moje rozsadza
Razem niszcząca i twórcza władza,
Jak nieśmiertelna Boska potęga
W ruch nieskończony znowu mnie wprzęga,
Jak mnie roztapia w światów ogromie,
Jak mi dla ducha drogę toruje...
I widzę siebie w każdym atomie,
I wszędzie myśl mą dawną znajduję;
A jedną cząstką ponad grobami
Wybiegam na świat kwiatów oczami.

I zamieniony w dzwonki błękitne
Na własnem zgliszczu stoję i kwitnę...
Znowu się patrzę na jutrznię złotą,
Znowu się do niej zwracam z tęsknotą;
A noc wiosenna perłowe łezki
Rzuca na kwiatów senne kielichy,

I znowu kończę sen mój niebieski,
Taki spokojny i taki cichy...
A kiedy wietrzyk potrąci kwiecie,
Pieśń idealna płynie po świecie.

Płynie daleko: wietrzyk ją niesie
Po złotem polu, zielonym lesie,
Po naszych górach, po naszych wodach,
Po naszych cichych wiejskich zagrodach:
Mięsza się z szmerem jasnego zdroju,
Z szumem topoli, z śpiewem słowika,
I nadpowietrznym hymnem spokoju,
Harmonią ciszy serca przenika;
I błogosławi ojczyste pole,
I błogosławi ludzką niedolę.

Czasami także niebieskie kwiecie
Zwabi do siebie samotne dziecię;
I siada dumać pacholę młode
Patrząc na kwiatów dziwną urodę;
I nie wie nawet jakim sposobem,
Zrywając dzwonków kłosy powiewne,
Wyrasta myślą nad smutnym grobem
I w sercu dźwięki znajduje śpiewne;
Lecz czuje tylko, że się w niem budzi
Pragnienie niebios, miłość dla ludzi.

Więc czegoś patrzy i czegoś czeka,
Niby coś widzi w cieniu zdaleka...

W gasnącej zorzy i w barwach kwiatów
Zgaduje piękność umarłych światów,
I nim się ocknie z zadumy sennej,
Wykwita przed niem na tle błękitu
Anielska postać w szacie promiennej
Płynąca ogniem nowego świtu,
I tajemnice grobów odsłania
Królowa śmierci i zmartwychwstania.

MIRTY.

Śródziemnego morza brzegiem,
Nad błękitnych wód przestrzenią,
Osypane kwiatów śniegiem
Mirty wiecznie się zielenią.

Niebo błyszczy tak ogniście
Zrumienione dołem z lekka;
Przez zielone gaju liście
Roztopione złoto ścieka.

Melodyjnie pluszcze fala,
Wietrzyk w listkach szemrze słodko;
Canzonettę słychać zdala,
Co wciąż nową dźwięczy zwrotką.

Pośród mirtów zwolna kroczy
Syn chmurniejszej, innej ziemi,
I olśnione spuścił oczy
Przed blaskami, przed złotemi!

Pruszy z krzewów białe kwiecie,
A on marzy: jak tam w dali
Wicher śnieżne zaspy miecie,
Jak tam jęczy, jak się żali,

Jak tam ciężko jest podróżnym
Po pustkowiach błądzić nocą...
I o domu marzy próżnym,
Gdzie powracać niema po co.

Wtem pieśń zabrzmi: „Mirty płoną,
„Drżą listkami nieprzytomnie,
„Ale silniej drży me łono...
„Luby, luby, śpiesz się do mnie!“

A wędrowiec idąc wzdycha:
„Ach nie dla mnie płoną kwiaty,
„Tam mogiła stoi cicha,
„Gdzie mi zakwitł mirt przed laty“.

„Tak, pamiętam! rósł w ogródku,
„Zasadzony matki dłonią,
„Ale biedny usechł z smutku:
„Łzy go moje nie dogonią“.

Smutny uśmiech znikł mu z twarzy,
Czoło chmurzy się boleśniej,
O mogile drogiej marzy,
Wtem znów słychać zwrotkę pieśni:

„Śpiesz o luby! przybądź przecie,
„Mam dla ciebie dary nowe,
„Świeży uśmiech, świeże kwiecie,
„Świeże usta purpurowe".

Dziwnie mu na duszę pada
Ten ton pieśni rozkochanej,
Ta rozkosznych słów kaskada
Na otwarte serca rany;

Więc ucieka przed tem echem
Na nadbrzeżnych skał krawędzie,
Morze wita go uśmiechem,
A piosenka ściga wszędzie.

Piosnka kończy: „W mirtów cieniu
„Rączką cię nakryję białą,
Przy canzonet słodkiem brzmieniu
Dobrze ci się będzie spało!"

A wędrowiec dalej kroczy,
Rozważając piosnki słowa:
Ach! nie luba zamknie oczy,
Obca ziemia go pochowa!

I powtarza w zamyśleniu,
Przyciskając pierś zbolałą:
„Przy canzonet słodkiem brzmieniu
„Dobrze ci się będzie spało!"

FIJOŁKI.

Te fijołki, co mnie nęcą,
Te nie siedzą skryte w trawie,
Lecz z pod długiej, ciemnej rzęsy,
Patrzą na mnie tak ciekawie.

Z pod tej rzęsy, co ocienia
Piękniej niźli traw zieloność,
W niebieskiego mgle spojrzenia
Patrzy na mnie nieskończoność.

Niezmierzona, dziwna głębia!
W niej się wszystko, wszystko mieści:
Wymarzone senne skarby,
Czarodziejskich raj powieści.

Ale na tych skarbach wróżka
Położyła swe pieczęcie,
Strzeże ocząt i serduszka
Sen cudowny i zaklęcie.

I te oczy drzemią jeszcze
Otoczone tajemnicą,
Choć z nich czasem błyśnie płomień
Jedną, wielką błyskawicą.

Z pod spuszczonych skromnie powiek
Widać jakby jutrznię nową...
O szczęśliwy stokroć człowiek,
Kto odgadnie zaklęć słowo!

Szczęsny! komu się otworzą
Pełne blasku i pieszczoty!
Wędrowałbym na kraj świata,
Byle znaleźć ów klucz złoty.

O fijołki! lube, zdradne!
Troska dręczy mnie surowa:
Bo ja zginę i przepadnę,
Nie znalazłszy zaklęć słowa.

KWIAT PAPROCI.

Zakwita w puszczach dziwny kwiat paproci,
Na jedną chwilę w tajemniczym cieniu
Cały świat blaskiem czarodziejskim złoci,
Lecz można tylko dotknąć go w marzeniu.

Młodość, co wierząc sama cuda tworzy,
Umie go dojrzeć w cudowności lesie,
Żadne widziadło w biegu jej nie strwoży,
Pewnej, że skarb ten na sercu uniesie.

A choć nie uszczknie kwiecia ideału,
Co pod jej ręką jako sen przepada...
Jednak ma chwilę extazy i szału,
W której jest pewną, że niebo posiada,

Gdy się dwa serca spotkają tęskniące,
Pełne nadziemskiej piękności i żalu,
Gdy objawienie miłości jak słońce
Na ust spłonionych zabłyśnie koralu;

Gdy po raz pierwszy drżące a wstydliwe
Te usta w jeden pocałunek spłyną,
Gdy przez nie dusze połączyć się chciwe
Jako dwie fale w oceanie giną:

Natenczas w uczuć wezbranych powodzi,
W tej błyskawicy duchów idealnej,
Kwiat ów cudowny tajemniczo wschodzi
I w pocałunku kwitnie niewidzialny!

Tyle też jego trwania: gdy z zachwytu
Zbudzona dusza chce go ująć w dłonie,
Zniknął bez śladu... tylko wśród błękitu
Zostały po nim jakieś dziwne wonie.

III.

ALBUM PIEŚNI. [1]

[1] Pieśni w dziale tym zawarte należy uważać za jeden poemat miłosny, napisany pod wpływem uczucia, jakiem poeta w latach 1868—1870 zapłonął do panny Anieli Grudzińskiej.

MIĘDZY NAMI NIC NIE BYŁO.

Między nami nic nie było:
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych;
Nic nas z sobą nie łączyło,
Prócz wiosennych marzeń zdradnych;

Prócz tych woni, barw i blasków
Unoszących się w przestrzeni,
Prócz szumiących śpiewem lasków
I tej świeżej łąk zieleni;

Prócz tych kaskad i potoków
Zraszających każdy parów,
Prócz girlandy tęcz, obłoków,
Prócz natury słodkich czarów;

Prócz tych wspólnych, jasnych zdrojów,
Z których serce zachwyt piło,
Prócz pierwiosnków i powojów,
Między nami nic nie było!

ZWIĘDŁY LISTEK. [1])

Nie mogłem tłumić dłużej
Najsłodszych serca snów:
Na listku białej róży
Skreśliłem kilka słów.

Słowa, co w piersiach drżały
Nie wymówione w głos,
Na listku róży białej
Rzuciłem tak na los!

Nadzieję, którąm pieścił,
I smutek, co mnie truł,
I wszystkom to umieścił
Com marzył i com czuł.

Tę cichą serca spowiedź
Miałem jej posłać już,

---

[1]) Autograf tego wiersza, drukowanego w r. 1869 w lwowskim *Dzienniku Literackim* (Nr 41 z 12 paźdz.), przesłał Asnyk tego roku ze Lwowa pannie Anieli Grudzińskiej.

I prosić o odpowiedź
Na listku białych róż.

Lecz kiedy me wyrazy
Chciałem odczytać znów,
Dojrzałem w listku skazy,
Nie mogłem dostrzedz słów.

I pożółkł listek wiotki,
Zatarł się marzeń ślad;
I zniknął wyraz słodki,
Com jej chciał posłać w świat!

POSYŁAM KWIATY...[1])

Posyłam kwiaty: niech powiedzą one
To, czego usta nie mówią stęsknione,
Co w serca mego zostanie skrytości
Wiecznym oddźwiękiem żalu i miłości.

Posyłam kwiaty: niech kielichy skłonią,
I pruszą srebrną rosą, jak łezkami!
Może uleci z ich najczystszą wonią
Wyraz drżącemi szeptany ustami;
Może go one ze sobą uniosą
I rzucą razem z woniami i rosą.

Szczęśliwe kwiaty! im wolno wyrazić
Wszystkie pragnienia i smutki i trwogi;
Ich wonne słowa nie mogą obrazić
Dziewicy, choć jej upadną pod nogi;
Wzgardą im usta nie odpłacą skromne,
Najwyżej rzekną: „Słyszałam — zapomnę".

---

[1]) Autograf wiersza tego ofiarował Asnyk wraz z kwiatami pannie Anieli Grudzińskiej (w dniu jej imienin).

Posyłam kwiaty, niech powiedzą one
Z czego usta nie mówią stęsknione,
Co w serca mego zostanie skrytości
Wiecznym oddźwiękiem żalu i miłości.

Posyłam kwiaty! niech kielichy skłonią
I pruszą srebrną rosą jak łezkami;
Może ulecz z ich najczystszą wonią
Wyraz drżącemi szeptany ustami,
Może go one ze sobą uniosą
I rzucą razem z woniami i rosą.

Szczęśliwe kwiaty! im wolno wyrazić
Wszystkie pragnienia i smutki i trwogi —
Ich wonne słowa nie mogą obrazić
Dziewicy, choć jej upadną pod nogi,
Wzgardą im usta nie odpłacą skromne
Najwyżej rzekną: "Słyszałam — zapomnę".

Szczęśliwe kwiaty! mogą patrzeć śmiele
I składać życzeń utajonych wiele
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny,
Zanim z tęsknoty uwiędną serdeczny!

2gi sierpnia 1870 r.

El...y

Facsimile autografu Asnyka.

Szczęśliwe kwiaty! mogą patrzeć śmiele,
I składać życzeń utajonych wiele,
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...
Zanim z tęsknoty uwiędną serdecznej.

Krynica, 2 sierpnia 1870.

JA CIEBIE KOCHAM!

Ja ciebie kocham! Ach te słowa,
Tak dziwnie w mojem sercu brzmią!
Miałażby wrócić wiosna nowa?
I zbudzić kwiaty, co w niem śpią?
Miałbym w miłości cud uwierzyć?
Jak Łazarz z grobu mego wstać?
Młodzieńczy, dawny kształt odświeżyć,
Z rąk twoich nowe życie brać?

Ja ciebie kocham! Czyż być może?
Czy mnie nie zwodzi złudzeń moc?
Ach nie! bo jasną widzę zorzę
I pierzchającą widzę noc!
I wszystko we mnie inne, świeże,
Zwątpienia w sercu stopniał lód,
I znowu pragnę, kocham, wierzę,
Wierzę w miłości wieczny cud!

Ja ciebie kocham! Świat się zmienia,
Zakwita szczęściem od tych słów,

I tak, jak w pierwszych dniach stworzenia
Przybiera ślubną szatę znów!
A dusza skrzydła znów dostaje:
Już jej nie ściga ziemski żal,
I w elizejskie leci gaje
I tonie pośród światła fal!

ŻYCZENIE.

Minęła wiosna, minęło lato,
I smutna jesień już mija:
Każdy dzień nową żegna mnie stratą
I resztę łez mych wypija.

Skończy się jesień, nadejdzie zima,
Pajęcza zerwie się przędza,
Serce chwil jasnych w locie nie wstrzyma...
Zostanie rozpacz i nędza.

I zima minie, i świat na nowo
Przybierze postać wiośnianą;
Lecz mnie nie zbudzi miłości słowo:
Umarli z grobu nie wstaną!

Na godach życia, duchem i ciałem
Inni już będą przytomni...
Lecz niech ta, którą tyle kochałem,
Czasami jeszcze mnie wspomni!

ACH, POWIEDZ!

Ach, powiedz, powiedz! jaki Bóg
W nadziemskie ubrał cię szaty,
Abyś w piękności zbrojna łuk
Zburzyła promienne światy.

Ach, wobec ciebie niema nic!
Ty łamiesz prawa odwieczne,
I przed jasnością twoich lic
Promienie gasną słoneczne.

Niebiosa, ziemia, błękit wód,
Wszystko przepada i ginie,
Gdy ty w piękności zbrojna cud
Stajesz na światów ruinie.

Olśniewasz wszystkie światy trzy
Białością swojego łona:
Rozkoszy dreszczem ziemia drży
Kiedy obnażysz ramiona.

Z ust twoich pijąc słodycz róż,
Z pragnienia umrzećby trzeba;
Ich ogień wstrząsa światem dusz
I pali najwyższe nieba.

A któż z śmiertelnych może znieść
Twą piękność w całym rozkwicie?
Kto może oddać tobie cześć
I jeszcze zachować życie?

Kto może myślą pieścić skroń,
Twych włosów bawić się splotem,
Kto pić namiętną może woń
I jeszcze nie umrzeć potem?

Tak jak konwalii biały kwiat
Usycha na twojem łonie,
Tak każdy zginąć byłby rad
Z uśmiechem szczęścia przy zgonie.

Lecz widząc ciebie, odejść znów
W samotne ziemi obszary...
Na te męczarnie niema słów,
I niema straszniejszej kary!

Więc powiedz, powiedz! jaki Bóg
Zrobił cię światów królową?..
Bo ja chcę umrzeć u twych nóg,
Byś mnie wskrzesiła na nowo!

TY CZEKAJ MNIE!

Ty czekaj mnie, dzieweczko cudna,
Pod tą wysmukłą topolą!
Przysięgam ci, choć to rzecz trudna,
Że wrócę, gdy mi pozwolą.

Ty czekaj mnie i kochaj wciąż!
Będzie to wielką zasługą,
A jak się znajdzie dla ciebie mąż...
Nie każ mu wzdychać zbyt długo!

Lecz bierz z nim ślub i kochaj znowu,
Dopóki serca ci stanie,
I wierzyć chciej mojemu słowu,
Że to ci skróci czekanie.

Gdy minie już miłości szał,
Czekaj mnie pod tą topolą,
Chociażbym z grobu powstać miał!
Powrócę, gdy mi pozwolą.

REZYGNACYA. [1])

Wszystko skończone już pomiędzy nami!
I sny o szczęściu pierzchły bezpowrotnie,
Wziąłem już rozbrat z tęsknotą i łzami,
I żyć i umrzeć potrafię samotnie.

Dziś nic z mej piersi skargi nie dobędzie,
Nic jej nie przejmie zachwytem lub trwogą:
Nie wyda dźwięku rozbite narzędzie,
Pęknięte struny zadrżeć już nie mogą.

Niema boleści, coby mnie trwożyła,
Bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzę,
Ogniowa próba dla mnie się skończyła
I do cierpiących więcej nie należę.

I żadne szczęście ziemskie mnie nie zwabi,
Żebym się po nie miał schylić ku ziemi...
I żaden zawód sił mych nie osłabi,
Przebytą męką panuję nad niemi.

---

[1]) O Anieli Grudzińskiej.

Światowych uczuć nicość i obłuda
Już mnie nie porwie swym chwilowym szałem;
Przestałem wierzyć w te fałszywe cuda,
Więc i zwątpieniu ulegać przestałem.

Z całego tłumu zmyślonych aniołów,
Połyskujących tęczą swoich skrzydeł,
Została tylko szara garść popiołów,
I wiotkie nici porwanych już sideł.

Dziś jeden tylko duch mi towarzyszy,
Co rezygnacyi nosi ziemskie miano,
On wszystkie burze na zawsze uciszy
I da mi zbroję w ogniu hartowaną.

W tej zbroi przejdę przez świat obojętnie,
Surowe prawdy życia mierząc wzrokiem,
Ani się gniewem kiedy roznamiętnię,
Ani się ugnę przed losu wyrokiem.

Patrząc się zdala na kłamliwe rzesze,
Na ich zabiegi o błyskotki próżne,
Kamieniem na nie rzucić nie pospieszę,
I pobłażania jeszcze dam jałmużnę.

Niech się więc kończy owa sztuka ładna,
Co się zwie życiem, w cieniu cichej nocy,
Bo żadna rozpacz i nadzieja żadna,
Nad mojem sercem nie ma już dziś mocy!

1870.

POWRÓT PIOSENKI.

Piosnka, którą ukochana [1])
Zwykła była mi nucić,
Piosnka dawno zapomniana [2]),
Przyszła sen mój zakłócić.

Jej melodya staroświecka,
Zapomniana od dawna,
Miała w sobie uśmiech dziecka,
A w łzę była oprawna.

Skąd się wzięła dziś na nowo
W sercu mojem, któż zgadnie?
Ale słyszę ton i słowo,
Co mi dźwięczy tak ładnie.

---

[1]) Aniela Grudzińska.

[2]) W pierwodruku, w *Dzienniku Literackim* (Nr 7 z 15 lutego 1870) brzmiała ta pierwsza zwrotka, jak następuje:

Piosnka, którą ukochana
Wieczorami nuciła,
Piosnka dawno zapomniana
Znowu do mnie wróciła.

Jeśli piosnki, jak skowronki,
Odlatują z jesienią,
A wracają znów na łąki,
Gdy się z wiosną zielenią:

To piosenki tej przybycie
I jej tchnienie miłosne
Może wróżyć nowe życie,
Przebudzenie i wiosnę.

Jeśli piosenki są ach! tylko
Własnym cieniem człowieka,
Co tak duży ranną chwilką,
Z biegiem słońca ucieka,

A do dawnej wraca miary
Kiedy słońce już nizko:
To ten powrót piosnki starej
Może wróżyć noc blizką.

TĘSKNOTA.

Obłoki, co z ziemi wstają
I płyną w słońca blask złoty,
Ach, one mi się być zdają
Skrzydłami mojej tęsknoty.

Te białe skrzydła powiewne
Często nad ziemią obwisną,
Łzy po nich spływają rzewne,
Czasem i tęczą zabłysną.

Gwiazdy, co krążą w przestrzeniach
Po drogach nieskończoności,
Są one dla mnie w marzeniach
Oczami mojej miłości.

Patrzą się w ciemne odmęty
Te wielkie ruchome słońca,
I ja miłością przejęty
Patrzę i tęsknię bez końca.

ANIELSKIE CHÓRY.

Anielskie śpiewają chóry
W gwiaździstem błękitów morzu,
Wśród nocnej ciszy, przy łożu
Sennej natury.

Śpiewają tej biednej ziemi,
Co wiecznie w świeżej żałobie,
Jak matka płacze na grobie
Za dziećmi swemi.

Śpiewają ludziom, co dyszą
W codziennym a krwawym trudzie,
Lecz biedni, zmęczeni ludzie
Pieśni nie słyszą.

I tylko ci, którzy toną
W wielkiej miłości pragnieniu,
Ci słyszą w serc swoich drżeniu,
Tę pieśń natchnioną!

BEZ GRANIC.

Potoki mają swe łoża,
I mają granice morza
Dla swojej fali,
I góry, co toną w niebie,
Mają kres dany dla siebie:
Nie pójdą dalej!

Lecz serce, serce człowieka,
Wciąż w nieskończoność ucieka
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie,
I wierzy, że w swojem łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

PŁACZĄCEJ.

Ty płaczesz dziewczę? łez twoich szkoda,
Na te łzy gorzkie jeszcześ za młoda,
Otrzyj swe oczy,
Świat tak uroczy,
Na niebie jasna pogoda!

Wszak najpiękniejsze z wszystkich niebianek,
Młodość i wiosna wiją ci wianek...
A ty w łzach przecie?
Niedobre dziecię,
Jak chmurny maja poranek.

Jakaż to boleść czoło ci chmurzy?
Możeś się pączkiem ukłuła róży?
Lub pragniesz skrycie
Gwiazdki w błękicie,
I nie chcesz czekać już dłużej?

Może ci wietrzyk przyniósł majowy
Szept podsłuchanej kwiatów rozmowy?...

Utul się w żalu:
Na ust koralu
Niech uśmiech zabłyśnie nowy!

Możeś na kogo dziś się zgniewała,
I stąd ta chmurka przebiegła mała?
Chmurka się zmieni
W siatkę promieni,
I tęczą będzie jaśniała.

Choćby cię większa dotknęła strata,
Przyszłość dla ciebie w uśmiech bogata...
Prędko się zgoi
Ból w piersi twojej,
Łzy schowaj na dalsze lata!

DZIWNY SEN.

Dziwny sen miałem z wieczora,
Trwał jakby przez wieczność całą,
Tyś była falą jeziora,
Ja byłem nadbrzeżną skałą.

Nie żałowałem tej zmiany,
Żem skałą a nie człowiekiem,
Marzyłem, żem jest kochany...
A wiek przemijał za wiekiem.

Nie żałowałem, że głuchy
Głaz nic powiedzieć nie może...
Mówiły ze sobą duchy,
Jam niebo widział w jeziorze.

Tyś zawsze padała drżąca,
Na moje piersi z granitu,
Złączona wśród lat tysiąca
Węzłami wspólnego bytu.

Kruszyłaś kamienne łono,
A jam się cieszył z zniszczenia,
Bo przeczuwałem spełnioną
Dolę zimnego kamienia.

Wiedziałem, że gdy do końca
Zamiary przywiedziesz zdradne,
Żegnając gwiazdy i słońca
W objęcia twoje upadnę.

IDŹ DALEJ.

Wzywałem ciemności: niech wstanie!
I niech mnie pogrąży w noc ciemną,
Wzywałem milczące otchłanie,
By łona zawarły nademną.

Wzywałem strasznego anioła:
Niech ślad mój zagładzi na ziemi,
Niech wszystkie dni moje odwoła,
Niepamięć rozpostrze nad niemi!

Lecz próżno wzywałem litości,
Jak inni przedemną wzywali...
Głos tylko mnie doszedł z ciemności,
Co wołał: „Idź dalej, idź dalej!“

NA ŚNIEGU.

Bielą się pola, oj bielą,
Zasnęły krzewy i zioła
Pod miękką śniegu pościelą...
Biała pustynia dokoła.

Gdzie była łączka zielona,
Gdzie gaj rozkoszny brzozowy,
Drzew obnażone ramiona
Sterczą z pod zaspy śniegowej.

Opadła weselna szata,
Zniknęły wiosenne czary,
Wiatr gałązkami pomiata,
Zgrzytają suche konary.

Tylko świerk zawsze ponury,
W tym samym żałobnym stroju,
Wśród obumarłej natury
Modli się pełen spokoju.

Więc drzewa, obdarte z liści,
Na jego ciemną koronę
Patrzą się okiem zawiści,
Głowami trzęsą zdziwione...

Próżno głowami nie trzęście
Wy nagie, bezlistne gaje!
Przemija rozkosz i szczęście,
Boleść niezmienną zostaje.

UWIELBIENIE.

Umarły jeszcze będę wielbić ciebie!
I nie zapomnę pod ziemią, czy w niebie,
O twej jasności,
Boś ty mi była nie próżnem marzeniem,
Nie bańką zmysłów tęczowej nicości,
Lecz byłaś ducha ożywczem pragnieniem
Wiecznej miłości!

Nie otoczyłaś mnie pieszczotą senną,
Ani też falą spłynęłaś płomienną
Na pierś stęsknioną,
Nie wprowadziłaś mnie na róż posłanie,
Gdzie tylko ciała w upojeniu toną,
Lecz mi piękności dałaś pożądanie,
Moc nieskończoną.

MYŚLAŁEM, ŻE TO SEN...

Myślałem, że to sen, lecz to prawda była:
Z nadziemskich jasnych sfer do mnie tu zstąpiła,
Przyniosła dziwny blask w swoich modrych oczach,
Przyniosła kwiatów woń na złotych warkoczach;
Podała rączkę swą, szliśmy z sobą razem,
Przed nami jaśniał świat cudnym krajobrazem.
Pośród rozkosznych łąk i gajów mirtowych,
Wiecznie zielonych wzgórz i wód szafirowych
Szliśmy, nie mówiąc nic, a mnie się wydało,
Żem życia mego pieśń wypowiedział całą,
Że z jej różanych ust, jak z otwartej księgi,
Czerpałem tajny skarb wiedzy i potęgi.
Wtem nagle przyszła myśl dziwna i szalona,
Żeby koniecznie dojść, skąd i kto jest ona?
I gdy zacząłem tak i ważyć i badać,
Kwiaty zaczęły schnąć a liście opadać,
I nastał szary mrok... a ja w swoim biegu
Stanąłem w gęstej mgle na przepaści brzegu.

Strwożony zmianą tą, zwróciłem się do niej,
Niestety, już jej dłoń nie była w mej dłoni.
Słyszałem tylko głos ginący w ciemności:
„Byłam natchnieniem twem, marą twej młodości!“
I pozostałem sam, i noc świat pokryła...
Myślałem, że to sen, lecz to prawda była!

IV.

Z MOTYWÓW LUDOWYCH.[1]

[1]) Cykl ten powstał w r. 1869 i 1870 pod wpływem tych samych przeważnie wrażeń, co i *Album pieśni.*

SIWY KONIU.

Siwy koniu, siwy koniu!
Coś tak zadumany?
Nie wiesz drogi, nie wiesz drogi
Do mej ukochanej.

Moja miła nas rzuciła,
Nie wyrzekłszy słowa;
Jak nie znajdziesz do niej drogi
Zginąć nam gotowa.

Siwy koniu, siwy koniu,
Ciężko tobie będzie,
Przegonimy wiatr, co wieje,
Nie spoczniemy w pędzie.

Siwy koniu, siwy koniu,
Ciężej sercu memu,
Bo straciło już nadzieję,
Samo nie wie czemu!

SZUMI W GAJU BRZEZINA.

Szumi w gaju brzezina,
Bo inaczej nie może,
Wiatr gałązki jej zgina,
Musi szumieć nieboże.

Wzdycha w gaju dziewczyna,
Mimowoli łzy cieką,
Bo miłego wspomina,
Co jest od niej daleko.

Gdy nadejdzie już zima,
Brzoza liści pozbędzie,
Wszystkie wichry wytrzyma
I już szumieć nie będzie.

Gdy nadejdzie już zima,
Dziewczę wspomni miłego,
I smutnemi oczyma...
Zacznie szukać drugiego.

KLĄTWA.

Kto był przyczyną rozstania naszego,
Niechaj łzy moje upadną na niego!
I niech tak samo serce mu przygniotą
Samotnym żalem i próżną tęsknotą!

Kto był przyczyną naszego rozstania,
Niech nie doczeka słodkiego spotkania,
Lecz niechaj ginie zdala od kochanej,
Nie pocieszony i nie żałowany!

HUCZY WODA PO KAMIENIACH.

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie:
Nie sądź ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie.

Kto prawdziwie czuć nie zdolny,
Ten się szumem słowa pieści:
Potok głośny, a swawolny,
Mało wody w sobie mieści.

Lecz spokojnej cisza toni
Zwykle wielką głąb zwiastuje:
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje!

BŁĄKA SIĘ WICHER W POLU.

Błąka się wicher w polu,
Nie wie, w którą wiać stronę;
Błąka się w dzikim bolu
Moje serce zmęczone.

Śnieg leży w gęstym borze,
I pokrywa krwi ślady:
Tam moje ślubne łoże,
Tam kochanek mój blady!

Tak długo na mnie czeka!
Próżno pytam o drogę:
Droga ciemna, daleka,
Dotąd trafić nie mogę!

Noc czarna świat otacza,
Głucho, straszno i ciemno!
Ktoś płacze, ktoś rozpacza,
Przy mnie, czy też nademną.

Mówiono, że to biedna,
Obłąkana dziewczyna,
Po polu sama jedna
Żale swoje poczyna.

Lecz nie wiem, kto to taki?
Bo tak ciemno, jak w grobie;
Gdy ujrzę krwawe znaki,
To przypomnę ją sobie!

BODAJ OWA RZECZKA...

Bodaj owa rzeczka szuwarem zarosła,
Która mnie młodego w obcy kraj zaniosła.
Bodaj owa rzeczka rybek nie rodziła,
Która mnie młodego z domem rozłączyła.
Bodaj owa rzeczka wyschła do ostatka,
Że mnie tam zaniosła, gdzie nie znajdzie matka.

„Nie trzeba ci było! o mój chłopcze młody,
Puszczać się tak łatwo na wezbrane wody.
Nie trzeba ci było z domu się wydzierać,
Nie musiałbyś teraz z tęsknoty umierać.
Rzeczka będzie rzeczką i wciąż będzie płynąć,
Wstecz nie wróci woda, musisz marnie ginąć!
A twojej mogiły nie obleją łzami,
Tylko nad nią burze będą wyć nocami!“

NIE BĘDĘ CIĘ RWAŁA...

Nie będę cię rwała,
Konwalijko biała,
Bobyś ty na moją
Płochość narzekała.

Myślałabyś sobie:
Że to na złość robię;
Rośnij więc szczęśliwie,
Gajom ku ozdobie.

Nie mam ja dziś komu
Kwiaty nieść do domu,
Nikt mi ich nie wyjmie
Z włosów pokryjomu.

Nie mam już sąsiada,
Co kwiaty wykrada,
Zdradziecki to chłopiec,
Ale słodka zdrada!

Pokąd nie przyjedzie,
Nic mi się nie wiedzie,
Bo wciąż tylko myślę
O młodym sąsiedzie.

I wszystko mnie nudzi,
Uciekam od ludzi,
Nawet zrywać kwiaty
Chętka się nie budzi.

Możesz więc w spokoju
Rosnąć tu przy zdroju,
Dziś mi nic nie przyjdzie
Z kwiecistego stroju.

Lecz gdy wróci luby
Zawrzeć ze mną śluby,
Wtedy, konwalijko,
Już nie ujdziesz zguby.

CHŁOPCA MEGO MI ZABRALI...

Chłopca mego mi zabrali,
Matulu!
W świat daleki go pognali,
A ja za nim umrę z bólu,
Dałam na mszę sznur korali,
Niechaj Pan Bóg go ocali,
Matulu!

Do szeregu poszedł z bronią,
Mój Boże!
Tam śmierć pewna, poszedł po nią:
Miłość moja nic nie może,
Ani łzy go nie zasłonią
Przed zawistnej śmierci dłonią,
Mój Boże!

Nie pytają o to wrogi,
Kto ginie?
Czy jest sercom ludzkim drogi?
Czy płacz siostry za nim płynie?

Czy umiera matka z trwogi,
Kiedy pyta śmierci srogiej:
Kto ginie?

Na kulami zaoranej,
Na roli,
Ma paść we krwi mój kochany...
Czyliż na to Bóg pozwoli,
By samotnie ginął z rany
Zdala swoich, na zasianej
Krwią roli!

Spojrzyj na nas, Ty, Panienko
Przeczysta!
I nad serca mego męką
Ty się zlituj, o gwiaździsta
Niebieskiego dnia jutrzenko!
Osłoń jego swoją ręką,
Przeczysta!

PAN JEZUS CHODZI PO ŚWIECIE.

O, nie rozpaczaj tak dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.

Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatów wianeczki zwija,
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca, i mija.

Lecz gdy sierotę napotka
W chacie zwalonej od gromu,
Natenczas zjawia się słodka
Twarz Jego na progach domu.

I boskie wyciąga dłonie,
Aby przytulić sierotę,
Niesie jej blaski i wonie
Kwiatki niebieskie i złote.

A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy.

I w sercu nabrzmiałem łzami
Wciąż pączki wypuszcza świeże...
Jasnemi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.

A każdy kwiatuszek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia,
I lśni nad czołem sieroty
Iskrą czystego natchnienia.

Choć pójdzie drogą boleści,
Choć nie zna rodzinnej strzechy,
W swych piersiach dziedzictwo mieści
Pełne niebiańskiej pociechy.

Więc nie rozpaczaj tak dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie,
I zrywa na łąkach kwiatki.

CZARY.

Coś się zdawało dziewczynie,
Coś się zdawało!
Przy młynie
Godzinę całą
Patrzała, jak woda płynie,
Jak pod nią w wodnej kotlinie
Coś się pluskało!

Zdawało jej się, że w wodzie
Widzi tęczowy
Na spodzie
Gmach kryształowy,
A przed nim w świetnym pochodzie,
W zaczarowanym ogrodzie
Królewskie łowy.

Zdawało jej się znów dalej,
Że widzi potem
Na fali,
Błyszczących złotem

Rycerzy w hełmach ze stali,
Że nawet ukłony w dali
Widzi przelotem.

O cuda! tuż przed nią klęka
Piękna, jak świeża
Jutrzenka,
Postać rycerza;
W pół ją objęła dłoń miękka,
Ona się płoni i lęka
I niedowierza.

On szepcze miłośnie do niej:
„Z kraju piękności,
Barw, woni,
Z kraju młodości,
Z wieczyście błękitnej toni,
Przybywam z wieńcem na skroni,
Pragnę miłości!“

„Jeśli masz serca choć tyle,
Żeby pierś biała
Na chwilę
Uczuciem drżała...
Porzucę skrzydła motyle,
I pozostanę tu w pyle
Ludzkiego ciała.“

„Lecz jeśli tylko odgadnę,
Że kształty owe
Tak ładne,
Są marmurowe,
Że serce nie drży w nich żadne,
To wtedy jak cień przepadnę
W mgły zaświatowe!“

Dziewczyna słucha i płonie,
Coś jej się zdaje,
Że w łonie
Zwolna powstaje,
W dziewiczej wstydu osłonie
Prawdziwa miłość, więc dłonie
Drżąca podaje.

Lecz kiedy schyla się z trwogą
Do słodkiej mary,
Pod nogą...
Byłyż to czary?...
Nie widać przed nią nikogo!
A tylko przechodzi drogą
Młynarczyk stary.

Widocznie w owej godzinie
Coś się jej śniło
Przy młynie;

Skądby wziąć było
Rycerzy w wodnej kotlinie?
A może w pięknej dziewczynie
Serce nie biło?

PRZYKRO, PRZYKRO JEST DĘBOWI...

Przykro, przykro jest dębowi, gdy go robak toczy,
Ale przykrzej nie módz płakać, gdy łez pełne oczy.
Smutno biednej jest ptaszynie, gdy jej skrzydła
[urzną,
Ale smutniej jeszcze temu, co kocha napróżno!
Źle jest zmykać jeleniowi, gdy go zdybią w kniei,
Ale gorzej jeszcze sercu, wyrzec się nadziei...
Trudno pływać ciężkim głazom po rzecznej głę-
[binie,
Ale trudniej nie żałować szczęścia, kiedy minie.
Ciężko, ciężko, wrócić na świat, gdy się leży
[w grobie,
Ale ciężej o mój miły, zapomnieć o tobie!

ZDRADZIECKIE DRZEWO.

W złą czy dobrą dolę
Wśród szczęścia lub męki,
Chodziłem na pole,
Śpiewając piosenki.

I było lżej sercu
Wypłakać się śpiewem
Na łąki kobiercu,
Pod szumiącem drzewem.

Słuchały mnie gaje
I wtórzyły pieśni
Srebrzyste ruczaje
I ptaszkowie leśni.

I dolina cała
Z uśmiechem wesela,
Zawsze mnie witała,
Jako przyjaciela.

Aż przyszła dziewczyna...
I pyta się drzewa:
„Dlaczego dolina
Tak dźwięczy i śpiewa?“

A na to powiada
To drzewo szumiące:
„Jest ktoś, co posiada
Serce śpiewające,

„I chodzi przez błonie
Po polach i lesie,
Serce drży mu w łonie,
Wietrzyk piosnki niesie“.

Więc rzecze złośliwa:
„To serce mieć muszę!
Niechaj mi przygrywa,
Gdy je rączką ruszę.“

I przychodzi do mnie
Układna, zdradziecka,
I prosi się skromnie
Z naiwnością dziecka:

„Nudzą mnie już zdroje,
Nudzą mnie motyle,
Daj mi serce twoje,
Zabawię się chwilę.

Chcę tej strunie śpiewnej
Przyjrzeć się ciekawie,
Oddam ci, bądź pewny!
Skoro się zabawię.

Proszę cię powolnie,
Widzisz mą pokorę,
Nie dasz dobrowolnie,
To gwałtem zabiorę".

Zrobiła, co chciała
I ruszyła w drogę,
Pusta pierś została...
Śpiewać już nie mogę.

Więc dziwią się gaje
I ptaszkowie leśni,
Że im nie dostaje
Teraz mojej pieśni.

I ja sam się dziwię,
Myśląc z niepokojem
O tej, co złośliwie
Igra z sercem mojem.

Choć wszystko straciłem,
Nie mam do niej gniewu,
Tylko dokuczyłem
Zdradzieckiemu drzewu,

Drzewu, co wydało
Mój sekret dziewczynie,
Ściąłem gałąź całą...
Niechaj marnie ginie!

G D Y...

Gdy zielenić gaj się zacznie
W majową pogodę,
Zaczynają się nieznacznie
Budzić serca młode.

Gdy różowe kwiecia puchy
Pokryją jabłonie,
Ktoś się skrada do dziewuchy,
A ta cała płonie.

Gdy jabłoni kwiat opada,
Kalina zakwita,
Przy dziewczynie chłopiec siada
I o coś się pyta.

Gdy słowiczek pieśń wiośnianą
Nuci ponad strugą,
Ukochany z ukochaną
Rozmawiają długo.

Gdy się biały powój wije
Około olszyny,
Oplatają chłopca szyję
Rączęta dziewczyny.

Gdy na żniwo czas nadchodzi
I żyta się bielą,
Przysięgają sobie młodzi,
Że ich nie rozdzielą.

* * *

Gdy szron potem trawkę zwarzy,
Zmarszczy listki suche,
Coś ojcowie radzą starzy,
Jak wydać dziewuchę.

Gdy w cieplejsze ciągną światy
Wędrowne bociany,
Wraca z niczem z ojców chaty
Chłopiec ukochany.

Gdy upadną pierwsze śniegi,
Dziewczyna rozpacza,
Bo przychodzą na przeszpiegi
Swaty od bogacza.

Gdy nastaje dzionek krótki,
Trzaska jeździec z bicza,
Ojciec wnosi kielich wódki,
Zięcia grosz oblicza.

Gdy zmrożone staną rzeki,
Ścięte w grube lody,
Z ciężkiem sercem w świat daleki
Rusza chłopiec młody.

Gdy pod śniegiem dyszą sioła,
Smutnie wrona kracze,
W ślubnym wianku do kościoła
Dziewczę jadąc płacze.

SIEDZI PTASZEK NA DRZEWIE...

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają do koła
Tam, gdzie nigdy nie bywa,
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni,
Idą przespać się w grobie.

A więc siedząc na drzewie
Ptaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą.

W CHACIE...

W chacie słabo ogień błyska,
Dymiąc tli się pniaczek świeży,
Niedaleko od ogniska
Siwy dziaduś w kącie leży.

Izba taka naga, dymna,
Nędzę w koło znać widomie,
Siwy dziaduś drży ze zimna,
Na wilgotnej leżąc słomie.

Trupia bladość swą powłoką
Pomarszczoną twarz pokrywa,
Zapadnięte skrzy się oko,
Niby świeczka dogorywa.

Śmierć z bladego patrzy czoła,
I na zdobycz swoją czycha,
I okrąża go do koła,
I po chacie stąpa cicha.

Dwoje dzieci w nogach siadło,
Trwożnie patrzą nieruchome
Na dziadusia twarz wybladłą...
I z posłania skubią słomę.

W głowach stoi kobiecina
Jeszcze młoda, choć już zwiędła,
Zapłakana, drżąca, sina,
Nici zwija, co uprzędła.

Tłumi w sobie płacz i łkanie,
I w milczeniu stoi głuchem,
Patrzy chyłkiem na posłanie
I ociera łzy fartuchem.

Chce żal ukryć, lecz nie umie,
I przed chorym łza ją zdradzi...
Dziaduś widzi i rozumie,
I tak do niej rzecz prowadzi:

„Córuś moja! nie masz czego
Lamentować, tak przezemnie,
Lżej wam będzie bez starego,
Jadłem chleb wasz nadaremnie!“

„Gdy szczęśliwych śmierć rozdziela,
To pojmuję żałość wtedy...
Ich radości i wesela
Nie zagorzkły kwasem biedy“.

„Ci, nie znając gorzkiej doli,
Mogą myśleć o kochaniu,
I łzy swoje lać do woli,
Przy wieczystem pożegnaniu".

„Ale takim ludziom biednym
Nawet kochać się nie trzeba,
Mniej nędzarzem będzie jednym,
To dla drugich więcej chleba".

„Trza na rozum brać te rzeczy,
Jedna troska drugą spędza,
Śmierć przed głodem zabezpieczy...
A nad wszystko sroższa nędza".

„Już bywało od lat paru,
Nieraz gorzka myśl przeleci,
Że przysparzam wam ciężaru,
I objadam wasze dzieci".

„Czasem mnie się też uwidzi,
Że się mąż twój patrzy krzywo,
Nie dziwota! trapią żydzi,
A zmarniało całkiem żniwo".

„Tom wyrzucał nieraz sobie,
Że po ziemi chodzę jeszcze,
Gdy już grosza nie zarobię,
Tylko bywa, dzieci pieszczę".

„Bóg zlitował się nareszcie...
Mnie i twoim będzie lepiej...
Więc do serca tak nie bierzcie,
Niech pan Jezus was pokrzepi!“

„Kłopot tylko pochowanie,
I wydatek dosyć znaczny;
Lecz zaradzić jestem w stanie,
Na potrzebę byłem baczny“.

„Pod głowami, obok paska,
Jest skórzany mieszek stary,
W nim, prócz noża i obrazka,
Cztery srebrne są talary...“

„Przewidując kłopot taki,
Nie dawałem wam na życie...
Sprawcie pogrzeb ladajaki...
Może co z nich oszczędzicie“.

„Kozik niechaj Wojtuś bierze,
A obrazek mój Jagusia,
Ach! za dziećmi żal mi szczerze...
Niechaj westchną za dziadusia!“

SŁONKO.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote;
Szło nad gajem, szło nad łąką,
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: „Tak wesoło
„Świecisz światu słonko moje,
„Uśmiechami sypiesz w koło,
„Gdy ja smutny we łzach stoję;

„Obojętnie patrzysz na to,
„Jak się ludzkie serca męczą...
„I nad każdą ludzką stratą
„Promienistą błyskasz tęczą".

Słonko na to: „Biedne dziecie!
„I mnie smutno na niebiosach,
„Gdy o waszym myślę świecie
„I o ludzi ciężkich losach.

„Lecz nie mogę ustać w drodze,
„By nad każdą boleć raną,
„Więc w złocistym blasku chodzę,
„Wypełniając, co kazano.

„Nie pomogą próżne żale...
„Ból swój niebu trza polecić,
„A samemu wciąż wytrwale
„Trzeba naprzód iść... i świecić!“

V.

MOZAJKA.

WSPOMNIENIE.

Ach tam! gdzie pierwsza witała mnie zorza,
Gdzie tyle w życiu dosłyszałem gwaru,
Przez te zastygłe i umarłe morza
Wrócę do uczuć młodzieńczych pożaru,
Po kwiat się jeden schylę nad łez wodą,
A może znajdę swoją duszę młodą;

Taką, jak była w poranku stworzenia,
Gdy biegła witać świat ten dla niej nowy,
Żądzą miłości, walki i cierpienia,
W blask się jutrzenki przybrawszy różowy,
I zakochana w własnych mar odbiciu,
Zaczęła pierwszy poemat o życiu.

O! poemacie młodości, któż może
Na twe wspomnienie obojętnym zostać?
I widzieć ten sen i to kwiatów łoże,
Na którem jasna spoczywała postać,
I choć na chwilę nie spłonąć rozkoszą
Wśród rajskich widzeń, które woń roznoszą?

W maju, w urocze bogatym poranki,
W kwitnącej życia chwili, z marzeń tęczy
Komuż nie spływa niebiańskiej kochanki
Widmo, co serce, jak lutnię, rozdźwięczy,
I paląc piersi namiętnym oddechem,
Komuż nie porwie duszy niebios echem?...

Nikły meteor, lecz toruje drogę,
I nieśmiertelność pragnień w piersiach szczepi,
Więc choć na widmie postawi się nogę,
Boleść mu nowy piedestał ulepi,
Gdzie stojąc, skrzy się różowym płomieniem,
Do chwili, w której wszystko zajdzie cieniem.

Gdzież jest to pierwsze, rozkoszne zjawisko,
Co się do piersi mej tuliło drżącej?
Ach! tak daleko już, i ach, tak blizko!...
Odchodzi zwolna od wierzby płaczącej,
Co ocieniała rozmarzone głowy,
Słuchając sennej słowików rozmowy...

Wracaj o luba! wszakże zmierzch wieczorny
Zranione serca zwykł zbliżać do siebie;
Na ustach twoich zawisnę pokorny,
I całą pamięć przeszłości zagrzebię:
Jak feniks z własnych powstanie popiołów
To opętane serce przez aniołów.

Czy pomnisz dzień ten omamień bez trwogi,
W którym miłości rzuciłaś mi słowo?
A jam ci światy chciał rzucić pod nogi,
I innem życiem natchnąć je na nowo,
Bom się tak uczuł wielki, dumny, silny,
Że chciałem nawet wskrzesić świat mogilny.

Jeżeli pomnisz dzień ten i wyrazy,
Które się lały wezbranym potokiem,
Wiedz, że wciąż do tej zielonej oazy
Wybiegam sercem i myślą i wzrokiem:
U tego źródła, co tak żywo bije,
Jak gołąb pióra obmywam i piję...

A gdy się zdrojem tych wspomnień odświeżę,
Gdy się upoję miłości tej wonią,
Znowu zaczynam kochać i znów wierzę,
Że zdołam jeszcze wzlecieć w niebo po nią,
I zapominam, com cierpiał i przeżył,
Bylebym jeszcze chwilę dłużej wierzył...

I zapominam, że mi już nie wolno
Powrócić w przeszłość jasną i szczęśliwą,
Że muszę naprzód drogą iść mozolną,
I snuć z swej piersi pajęcze przędziwo;
Więc na to wszystko niepomny przez chwilę,
Chcę przybrać skrzydła i barwy motyle.

Lecz już zapóźno! Duszy, co się wzbija,
Motyle skrzydła unieść już nie mogą:
Chwila upojeń bezpowrotnie mija,
I dziś trza pełzać wydeptaną drogą,
O żadne loty więcej się nie kusić,
Milczeć i serce do milczenia zmusić.

Do ciebie wrócić nie chcę i nie mogę,
Bo już zaginął dawny kształt młodzieńczy;
Długą przebyłem po przepaściach drogę,
I dziś już żadna róża mnie nie wieńczy;
Wolę się ukryć przed twym wzrokiem w cieniu,
I żyć młodością wieczną w twem wspomnieniu.

Miałbym odsłonić przed tobą pierś pustą,
W której wygasła siła i namiętność?
Miałbym pozwolić pocałunku ustom,
Na których usiadł chłód i obojętność?
O nie! Na wieki wolę się rozłączyć,
Niż gorycz moją w twoje serce sączyć!

Tak więc odchodzę, bez żalu, bez serca;
Słowiki wspomnień do snu już się kładą,
I tylko puchacz, posępny szyderca,
Słyszeć się daje: ja twarz zwracam bladą,
I przez dzielący nas przeszłości cmentarz,
Rzucam pytanie: „Czy jeszcze pamiętasz?“

1868.

POŻEGNALNE SŁOWO.

O drogę moją pytasz się i zżymasz,
Że ta wykracza poza słońc twych sfery...
Nie chcę cię łudzić, widzisz, jestem szczery:
Nie pójdziesz za mną, lecz mnie nie powstrzymasz.
Gdzie świat mój? słońce? gdzie jest moja meta?
Może meteor błędny, nie kometa,
Chwilę nadziemskie olśniwszy etery,
Zgasnę w ciemnościach, więc imię me wymaż
Z listy twych bratnich planet, co bez końca
Kręcić się będą koło swego słońca.
Może kataklizm straszny mnie tam wiąże
Z nieznajomego biegunami świata,
Może fatalizm pcha mnie, a zatrata
Jedynym kresem, do którego dążę:
Na cóż mi wiedzieć, gdy wytknięta droga?
A resztę zdałem na los, czy na Boga.

Jam już zmęczony tą ciągłą gonitwą,
W której co chwila duch mój łamał skrzydła;
Nie mogłem niebios przejednać modlitwą,
A Syzyfowa praca mi obrzydła;

Nie chcę już ducha okiełznać w wędzidła
Jak niesfornego rumaka przed bitwą,
By zwyciężonym powrócić z wyłomu,
Unosząc hańbę do pustego domu.

Ach! w tej bezbrzeżnej pustyni dla ducha
Niema gdzie widzeń swoich ucieleśnić!
Więc chociaż serce jak wulkan wybucha,
Samotne musi wieczność gniewu prześnić
I do grobowców przywyknąć milczenia,
Nim znajdzie w prochach ciszę zakończenia.

Wolę więc pełen pogardy i wstrętu!
Odwrócić moje obłąkane oczy
Od tego lądu próżnego lamentu,
Od tej przyszłości, którą robak toczy,
I zapatrzony w mój ideał biały,
Stać jako posąg na ból skamieniały.

A kiedy słońce gasnące oświeci
Ostatni dzień mych marzeń i upadek:
Sam swojej hańby i rozpaczy świadek,
W milczącą przepaść duch się mój rozleci,
I nie zostawi dla was nic po sobie,
Cobyście mogli lżyć litością w grobie.

1868.

ECHO KOŁYSKI.

Gdym jeszcze dzieckiem był
Budzącem się na świat,
Gdy wątły życia kwiat
Jeszcze się w pączku krył,
Na łono matka mnie brała,
Pieściła i całowała,
Gdym jeszcze dzieckiem był.

Pamiętam po dziś dzień,
Jak kojąc płacz lub gniew,
Nuciła tęskny śpiew,
Co falą słodkich brzmień
Dobywał uśmiech na nowo,
I każde piosenki słowo
Pamiętam po dziś dzień.

„Dziecino nie płacz! nie!
Rozjaśnij twoją twarz,
Dopóki matkę masz,
Nie może ci być źle;

Na mojem oprzej się łonie,
Ja cię przed bolem zasłonię.
Dziecino nie płacz, nie!

„Chowaj na później łzy!
Dziś jeszcze anioł-stróż
Girlandą białych róż
Okala twoje sny,
Na tkance marzeń pajęczej
Maluje kolory tęczy:
Chowaj na później łzy!

„Rozkoszą wszystko tchnie,
Śpiewa ci ptaków chór,
W twem niebie niema chmur,
Ani goryczy w łzie;
Życie uśmiechem cię wita
I każdy kwiat ci rozkwita,
Rozkoszą wszystko tchnie!

„Więc duszę swoją pieść
Jutrzenką rajskich farb,
I czystych uczuć skarb
W niewinnej piersi mieść!
Byś mógł zaczerpnąć w tym zdroju,
Gdy ci przybraknie spokoju:
Więc duszę swoją pieść!

Z PODRÓŻY DUNAJCEM.[1])

Już jasny księżyc na wodospadzie
Haftuje srebrem strumienia bieg,
I fala, co się do snu nie kładzie,
Lekko potrąca o skalny brzeg!

Już ciemne lasy drzemią w oddali
Szemrząc modlitwy wieczornej chór;
Dalekie echa głuchną na fali,
I we mgłach toną podnóża gór.

Łódkę do drogi strumień kołysze
I pianą rosi nadbrzeżne mchy,
Płyńmy więc w ciemność i nocną ciszę,
W krainę cudów, marzeń i mgły.

Głowę swą oprzyj na mem ramieniu,
I do księżyca obróć swą twarz,
I oświecona w bladym promieniu
O widmie szczęścia dumaj i marz!

---

[1]) Autograf tego wiersza ofiarował poeta w r. 1868 w Szczawnicy pannie Anieli Grudzińskiej.

Ja będę śledził na twojej twarzy
Przelotnych marzeń ruchomą nić,
I będę myślał: „Jak pięknie marzy...“
I zwolna zacznę o tobie śnić.

A tak cię sen mój sercem odmieni,
Że mi wykwitniesz, jak biały kwiat,
Pełen miesięcznych, drżących promieni,
Rzucony ze mną w fantazyi świat.

I będę mniemał wtenczas wpółsenny,
Że na twych marzeń tęczowem tle,
Widzę uczucia odblask promienny,
Płynący ku mnie na srebrnej mgle...

A kiedy jeszcze fala zdradziecka
O kamień naszą potrąci łódź,
To ty z przestrachem trwożnego dziecka
Na mnie wzruszone spojrzenie rzuć!

I do mnie bliżej pochyl się cała
I ujmij silniej braterską dłoń,
Ja będę myślał, żeś ty zadrżała
W mojego serca spojrzawszy toń...

A kiedy dalej wypłyniem zwolna
Na wód leniwych spokojny szlak,
Może pomyślę, żeś kochać zdolna
I że mi łezkę rzucasz na znak!

Więc płynąc znowu w girlandach piany,
Co się roztrąca o progi skał,
Wyszepnę przez sen: „Żem zakochany
I żem ci serce na wieki dał“.

Tak rozmarzeni oboje ciszą,
Pijąc tęsknotę i nocny chłód,
Wymienim słowa, które usłyszą
Fale i duchy leniwych wód;

I w księżycowych blasku promieni
Rwąc kwiaty marzeń na srebrnej mgle,
Uwierzym, żeśmy sercem złączeni
W pierwszej miłości rozkosznym śnie.

Lecz gdy przybijem wreszcie do brzegu
Rzucając miejsce czarownych scen,
Wtenczas o dobrym myśląc noclegu,
Poznamy wkrótce, że to był sen!

1868.

MARZENIE PORANNE. [1])

Siedziała w ogrodzie w pół świetle, w pół cieniu,
Przy blasku wschodzącej jutrzenki,
Wśród ciszy porannej oddana marzeniu,
Słuchając słowika piosenki.

Marzyła o szczęściu, miłości — tak trocha,
Bo o czemże możnaby innem?
Wszak każda dziewczyna, choć jeszcze nie kocha,
Marzeniem się bawi niewinnem.

Tęsknota, niepokój i dziwne żądania
Nieznanych a słodkich upojeń,
Budziły w jej sercu odblaskiem świtania
Girlandy tęczowych urojeń.

I piła skwapliwie te wonie, te fale
Powietrza, co pierś jej wznosiły,
I mocniej błyszczały jej ustek korale
I żywiej się oczy paliły.

---

[1]) O Anieli Grudzińskiej.

Patrzała na kwiaty, co jasne z uśmiechem
Skłaniały kielichy miłośnie,
I dzieląc się wonnym rozkoszy oddechem,
Szeptały o szczęściu i wiośnie.

Widziała konwalię dziewiczą, jak drżała
Łzy lejąc z drobnego kielicha
W objęciach wietrzyka, a choć tak nieśmiała
Jednakże coś pragnie i wzdycha;

A dalej narcyzy, tak piękne, urocze...
Że muszą samotne pozostać,
Więc główki zwiesiły nad wody przeźrocze,
Ścigając odbitą w niej postać.

Tam znowu fiołki, kryjące się w trawie:
Tak dobrze tej cichej rodzinie!
Nie myśli o próżnej wielkości i sławie,
Lecz żyje dla siebie jedynie.

Tak marząc o kwiatach i tonąc w marzeniach,
Oparła na ręku swą głowę,
I chmurki śledziła w słonecznych promieniach
To srebrne, to znowu różowe.

Wtem widzi zdziwiona: że z słońca promieni
W jej oczach gmach staje złocisty,
Z kopułą szafirów, z ścianami z zieleni,
A cały jak kryształ przejrzysty.

Kolumny — to palmy, splecione w arkady
Przez liany i bluszcze wiszące,
Schodami — srebrzyste ściekają kaskady,
Posadzką — mozajki kwitnące.

I widzi strwożona, jak kwiatów kielichy
Ludzkiemi ją mierzą oczami,
I widzi rój sylfów skrzydlaty i cichy,
Jak igra w powietrzu z tęczami.

A jeden z narcyzów rosami wilgotny
W pięknego młodzieńca się zmienia,
Lecz skrzydeł nie dostał i usiadł samotny
Nad brzegiem srebrnego strumienia;

I widzi wzruszona, jak wiatrom się skarży:
Że nie ma na świecie nikogo...
I słyszy westchnienia i w myślach się waży,
A tak jej i smutno i błogo.

Nad litość nic niema na ziemi świętszego,
Więc litość skłoniła dziewczynę,
Że wstała powoli i poszła do niego
Zapytać o smutku przyczynę.

Słyszała jak przez sen wyrazy namiętne,
Co śpiewnem pieściły ją echem,
I oczy widziała tak piękne a smętne,
Że odejść byłoby, ach! grzechem.

Słyszała, jak mówił: „Ty jesteś wybraną
„By nowe ukazać mi życie,
„I duszę na wieczną tęsknotę skazaną
„W niebiańskim pogrążyć zachwycie.

„Ty jedna, ach możesz, na ziemi, ty jedna!
„Otworzyć mi nieba podwoje,
„Twa miłość nam władzę cudowną wyjedna,
„I skrzydła dostaniem oboje".

To wszystko słyszała, jak w sennem marzeniu,
I uciec i zostaćby chciała,
Aż wreszcie uległa słodkiemu wzruszeniu
I rękę nieśmiało podała.

Podała i nagle spostrzegła z podziwem,
Że lecą oboje dłoń w dłoni,
Złączeni swych skrzydeł tęczowem ogniwem
W obłoku jasności i woni.

A wszystko się przed nią roztapia w blask słońca,
Pierś samą oddycha rozkoszą,
Kraina cudowna, bez końca, bez końca,
A skrzydła ją w górę unoszą;

I płyną wciąż razem w błękitne etery
Po szlakach przestrzeni gwiaździstych,
A pieśni nadziemskie śpiewają im sfery
O ducha pragnieniach wieczystych.

Więc czuje, że serce wyrywa się z łona,
Że nadmiar uczucia pierś tłoczy,
Wśród jasnych błękitów, gwiazd złotych, stęskniona
Na niego podniosła swe oczy.

I wzrokiem spoczęła w młodzieńca spojrzeniu,
Co ognia płynęło falami,
I w sennej ekstazy bezbrzeżnem pragnieniu
Ust jego dotknęła ustami.

Wtem wszystko przepada... i widzi o dziwy,
Świat jasnych urojeń znikniony!
I siebie zmienioną w krzak brzydkiej pokrzywy,
A młodzian stał w oset zmieniony.

W rozpaczy i wstydzie chce płakać, nie zdoła,
Cóż będzie nieszczęsna robiła?
Wtem słyszy z radością, że matka ją woła,
I nagle się ze snu zbudziła

I poszła zapytać do matki, co znaczy
Sen dziwny o takiej przygodzie?
A matka z uśmiechem swej córce tłómaczy,
Że marzyć nie trzeba w ogrodzie.

DO...[1])

Przekleństwa synu! co Kaina piętnem
Straszysz w dzień biały Chrystusową trzodę,
Przybywaj do mnie! w uciśnieniu smętnem
Znajdziesz dla siebie gorycz i ochłodę.
Znanyś mi z dawna, gdy życiem namiętnem
Przyniosłeś duszy swojej wieczną szkodę,
Rzuciwszy cnoty gościniec utarty
I do bram niebios biegnąc i odparty.

Lepiej ci było wraz z bracią Ablową
Przeżuwać życie na pokory zębie,
Kochać na rozkaz i wierzyć na słowo,
Paląc na stosie ofiarnym gołębie;
Niźli do boju stanąwszy z Jehową,
Przeglądać bytu i nicestwa głębie,
Nie byłbyś nosił fatalnej pieczęci,
Na którą z wstrętem patrzą wniebowzięci!

---

[1]) Drukowane w *Dzienniku literackim* w r. 1868 jako „urywek z poematu".

Lecz tem, czem jesteś skazany na piekło!
Tem cię mieć pragnę! gościu mój posępny,
Bo jakieś echo podziemne mi rzekło:
Że los nasz jeden, że i ja występny;
Czemu tem bardziej wierzyć teraz muszę,
Gdy jasne niebo z piersi mej uciekło,
I sam zostałem nieprzystępny skrusze,
A tylko jednej rozpaczy przystępny.

Razem więc z tobą, synu potępienia,
Nad Babylonu wodami usiędziem,
A nieśmiertelni wielkością zwątpienia,
Z swej piersi głosu strasznego dobędziem;
Z Prometeuszów wiecznością cierpienia,
I z sępem żądzy, męczarni narzędziem,
W własnej niemocy skowani łańcuchy,
Zostaniem bratnie dwa stracone duchy!

Lecz nim utoniem w niepamięci fali
Przed okiem ludzi skryci w obłok czarny,
Niech ich pieśń nasza gromem wstydu spali;
Że w nikczemności pędząc żywot marny,
Płazowe szczęście nie wielkość obrali;
Niech ich ród szczęsny, cierpliwy i karny,
Z pokorą znosi losów wyrok twardy:
My im zapłaćmy jałmużną pogardy...

NAGROBEK.

Chwilę nad krwawym zbłąkany zagonem,
Wracam z pola znużony drogą nadpowietrzną
Z próżnemi dłońmi, z sercem rozżalonem,
Kończąc wędrówkę marną choć konieczną,
I w tył się zimną twarzą nie odwrócę,
Bo obojętnem jest mi to, co rzucę.

Nigdym się z ciemnych krain nie wychylił,
Ani rzeczywistości nie dotknąłem ręką;
Próżnom się stworzyć sferę życia silił,
Sen mi był życiem, przebudzenie męką;
I z za obłoków chyląc się niechętnie
Patrzałem na świat łzawo, choć namiętnie;

I nigdym w nikim nie znalazł oparcia,
Coby podzielił ze mną gorycz próżnych chęci;
Więc sam zostałem zawsze podczas starcia,
Bezsilność nosząc w cielesnej pieczęci,
I choć bojowych uniknąłem skażeń,
Zostałem za to bez plonu i wrażeń.

I nigdym usty nie dotknął drżącemi
Ust drugich, coby w serce miłość ziemską lały:
Senne mnie tylko widma kołysały,
I dziś me serce złożą do podziemi,
Gdzie rozsypane w proch śnić jeszcze będzie:
Że nad niem płaczą dziewicze łabędzie.

Ta czystość, grobu nimfom poślubiona,
Dała mej mglistej duszy świąteczną pogodę,
I melancholii łagodnej zasłona
Spadła na dziwną narcyzów urodę,
Co nie znalazłszy nic dla siebie w życiu,
We własnem musi utonąć odbiciu.

W wiązance wspomnień, zbieranych starannie,
Nic nie przeżyje chwilą jutra mej mogiły;
Błyszczałem rosą uczuć nieustannie,
Lecz i tę ptaki niebieskie wypiły,
I tyle tylko pozostanie śladu,
Co po tych perłach, startych piersią gadu.

Ani opróżnię miejsca wśród gromady,
Choć zniknie cienia mego przeźroczysta białość;
Nie pójdę błądzić po księżycu blady,
I od zbudzenia zbawi mnie ospałość,
I głuche nawet echa nie powtórzą,
Żem się już ukrył przed boleści burzą.

ZMARŁEJ DZIEWICY.

Zasnęła cicho i nic jej nie zbudzi,
Ani płacz siostry, ani matki łkanie,
Ani gwar obcych a ciekawych ludzi,
Co otoczyli śmiertelne posłanie:
Już jej dosięgnąć boleść nie jest w stanie
Zasnęła cicho i nic jej nie zbudzi.

Na zawsze swoje zamknęła powieki,
Spokojna, blada, smutna narzeczona
Anioła, co ją poślubił na wieki;
Jakoby w jasny posąg zamieniona,
Zaziemskich widzeń jasnością olśniona
Na zawsze swoje zamknęła powieki.

Ostatni uśmiech wykwitł na jej twarzy,
A obok niego dziwne zamyślenie;
Jeszcze się może nad jej kształtem waży
Zbiegłego życia rozwiane marzenie;
Więc choć ją wieczność ubrała w milczenie
Ostatni uśmiech wykwitł na jej twarzy.

Z rozbitej czary idealnych marzeń
Piła zaledwie woń kwiatów wiosenną;
Od rozczarowań wolna i od skażeń
Rzuciła czarę pod urnę kamienną,
I w sferę duchów wzlatuje promienną
Z rozbitej czary idealnych marzeń.

Rozmiłowana w nieśmiertelnem pięknie,
Ukołysana pieśnią tajemniczą,
Ani się grobu ciemności ulęknie,
Ani zatęskni za życia goryczą,
Ale uwieczni swą piękność dziewiczą,
Rozmiłowana w nieśmiertelnem pięknie.

Mistrzostwo śmierci i śmierci potęga
Białego kwiatu utrwaliły białość;
Co życie w biegu niszczy i rozprzęga,
To śmierć obleka w harmonijną całość,
I nieskalaną daje doskonałość
Mistrzostwo śmierci i śmierci potęga!

W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju
Zakwita róża mistyczna zachwytu;
Znikome kształty padły w życia boju,
Lecz to, co boskie, na fali błękitu
Wraca panować nad zmiennością bytu
W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju.

1868.

ENDYMION.

Blada Selene w błękity rzucona,
Do drzemiącego wiecznie Endymiona
Co noc miłośnie wyciąga ramiona,

I czoło w srebrne ubiera promienie,
Kładąc na ustach senne pozdrowienie
I pocałunku wiecznego milczenie.

I ten cień cichy umarłych pasterza,
Nie przebudzony w uściskach kochanki,
Co noc się nową młodością odświeża,
I we mgłach tonie w różane poranki.

A przechylony w rozkosznem wygięciu,
Z wieczną pięknością, co mu z twarzy świeci,
Spoczywa cicho u lubej w objęciu,
I z nią w zachwytów nieskończoność leci,

I tak przez wieki pojąc się zachwytem,
Spleciony smutnej ogniwem miłości,

Grobów legendą jest i rajskim mytem,
Co zaświatowe rozjaśnia ciemności.

O! wieczność taką zyskać sobie senną,
Z takim aniołem, co życia nie budzi,
Lecz tylko duszę kołysze promienną,
I łzami czoło rozpalone studzi,

I być strażnikiem grobów, które proszą
O łzy i miłość, i być tylko cieniem,
Którego skrzydła anielskie unoszą
Między nicością a grobów marzeniem,

To warto drugą wiecznością boleści
Kupić ją sobie i z ducha pogodą,
Za żywot, co się już w piersiach nie mieści,
Wziąć nieśmiertelność marzeń wiecznie młodą.

Za tym więc pójdę snem i za tem niczem,
Tonąć w objęciu słodkiem i dziewiczem,
Co grób osłania życiem tajemniczem,

I ta miłości pełna i stęskniona
Do mnie nowego zstąpi Endymiona,
I pocałunkiem czas mi zamknie — ona!

1868.

RADA.

Utraciłeś, mówisz, spokój
I moralną równowagę
Dla dziewczęcia pięknych oczu:
Biedny chłopcze, miej odwagę!
Sam najlepiej zawyrokuj,
Czy to warto żyć spokojnie?
W mglistych, czystych snów przeźroczu
Kąpać duszę bogobojnie?

Nigdy czoła nie zachmurzyć,
I nie doznać serca bicia,
Żyć bez szaleństw, pragnień, wzruszeń,
Pozorami mdłego życia?...
Lepiej, że się zacznie burzyć
Niepokojem pierś twa młoda;
Tęcza tęsknot, żądz, pokuszeń
Nowych blasków tobie doda!

Na twe troski znajdziem radę,
Tylko śmiało patrz jej w oczy,

Niech ten płomień, co z nich bucha,
Falą ognia cię otoczy;
A gdy w wzroku dojrzysz zdradę,
Gdy tęsknota wzrośnie w łonie,
Chcąc odzyskać spokój ducha,
Weź i ściśnij drobne dłonie!

Jeśli za to się obruszy,
I gdy twarz jej dotąd biała
Opromieni się różowo,
I gdy pierś jej będzie drżała,
Wtedy ratuj spokój duszy!
Uratujesz, jak Bóg w niebie,
Gdy wymówisz słodkie słowo:
— O najdroższa! Kocham ciebie!...

Jednak, jednak być to może,
Że ucieknie zapłoniona...
Na ucieczkę ty nie zważaj,
Bo powróci jeszcze ona!
Że powróci, głowę łożę,
Więc ty tylko bądź wytrwały,
Pierwszą próbą się nie zrażaj,
Bądź namiętny, tkliwy, śmiały.

I choć będziesz cierpiał, marzył,
Choć się ogniem pierś zapali,
Spokojności, ach! nie żałuj,
Lecz się jeszcze posuń dalej.

Gdy się będziesz przed nią skarżył,
A ta śmiać się będzie pusta,
Weź za rączkę i pocałuj,
Lecz pocałuj w same usta!...

SZKODA!

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni.
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni.
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą.
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać,
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać;
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia,
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

1868.

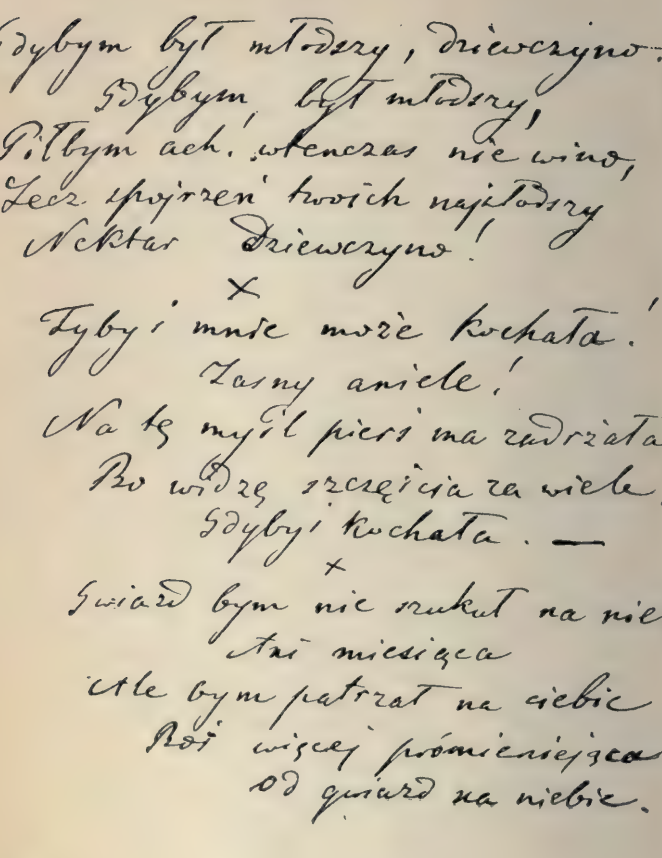

Gdybym był młodszy, dziewczyno!
Gdybym był młodszy,
Piłbym ach! wtenczas nie wino,
Lecz spojrzeń twoich najsłodszy
Nektar dziewczyno!

×

Tyby i mnie może kochała!
Zasny aniele!
Na tę myśl pierś ma zadrżała...
Bo widzę szczęścia za wiele,
Gdyby i kochała. —

×

Gwiazd bym nie szukał na niebie
Ani miesiąca
Ale bym patrzał na ciebie
Boś więcej promieniejąca
Od gwiazd na niebie.

Facsimile autografu Asnyka.

GDYBYM BYŁ MŁODSZY...[1])

Gdybym był młodszy, dziewczyno,
Gdybym był młodszy!
Piłbym, ach, wtenczas nie wino,
Lecz spojrzeń twoich najsłodszy
Nektar, dziewczyno!

Tybyś mnie może kochała,
Jasny aniele...
Na tę myśl pierś mi zadrżała,
Bo widzę szczęścia za wiele,
Gdybyś kochała!

Gwiazdbym nie szukał na niebie,
Ani miesiąca,
Alebym patrzał na ciebie,
Boś więcej promieniejąca,
Od gwiazd na niebie!

---

[1]) Autograf tego wiersza ofiarował poeta w roku 1868 w Szczawnicy pannie Anieli Grudzińskiej.

Wzgardziłbym słońca jasnością
I wiosny tchnieniem,
A żyłbym twoją miłością,
Boś ty jest mojem natchnieniem
I słońc jasnością.

Ale już jestem za stary,
Bym mógł, dzieweczko,
Zażądać serca ofiary,
Więc bawię tylko piosneczką,
Bom już za stary!

Uciekam od ciebie zdala,
Motylu złoty!
Bo duma mi nie pozwala
Cierpieć, więc pełen tęsknoty,
Uciekam zdala.

Śmieję się i piję wino
Mięszane z łzami,
I patrzę, piękna dziewczyno,
W swą przeszłość pokrytą mgłami,
I piję wino...

1868.

KARMELKOWY WIERSZ. [1])

Bywało dawniej, przed laty,
Sypałem wiersze i kwiaty
Wszystkim dziewczątkom,
Bom myślał, o piękne panie,
Że kwiat lub słowo zostanie
Dla was pamiątką.

Wierzyłem, zwyczajnie młody,
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć,
Że trocha serca kobiecie,
Świetnej karyery na świecie,
Nie może psuć.

Aniołków brałem na seryo,
I z śmieszną Don-Kiszoteryą
Wielbiłem lalki,
I gotów byłem, o zgrozo,

[1]) Autograf tego wiersza ofiarował poeta w roku 1868 w Szczawnicy pannie Anieli Grudzińskiej.

Za Dulcyneę z Tobozo
Stanąć do walki!

Lecz dziś komedyę salonu
Jak człowiek dobrego tonu
Na wylot znam,
Z serca pożytek nie wielki,
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.

1868.

W ALBUMIE.

Kiedyś mi serce wzięła, niech ci służy
Jako rozbite muzyczne narzędzie;
Ręka twa śpiewne zeń tony dobędzie
I życie nowym akordem przedłuży,
Co przeniesiony w zagrobowe świty
Falą harmonii przepełni błękity.

Niechaj nie zadrży myśl twa ani ręka,
Sądząc, że próżno w boleściach się łamie:
Nadzieją szczęścia los go nie okłamie,
Ani go rajska nie zwabi jutrzenka;
Lecz gdy się krwi swej rubinem obleje,
Wdzięczne, jak róża cmentarza jaśnieje.

Niechaj ta chwila, co mu jeszcze dłużna
Kilka jaśniejszych natchnień i wybuchów,
Przejdzie wśród walki tytanicznych duchów,
A nie jak z niebios rzucona jałmużna;
Niech się przystroi w swe świąteczne szaty,
Wieńczone ręką posępnej Hekaty.

Jeśli cię straszy ten dźwięk, co ulany
Z ostatniej myśli, która w grobach żyje,
Rzuć! niech się w ciche popioły zaryje,
Jak liść jesienny wichrami zagnany,
I wzrok zatrzymaj chwilę na popiołach...
A może wieczność prześni o aniołach!

1868.

ANAKREONTYK.

Nie szczędź mi rajskich rozkoszy!
Różanych ustek nie żałuj!
Zanim się dzika myśl spłoszy,
Niebieska! ty swoim wzrokiem
Zalej mnie blasków potokiem,
Bez końca pieść mnie i całuj!

Odpędzę widziadła wstrętne,
Ze śmiercią hardo się zmierzę,
Gdy w pocałunki namiętne
Roztopię duchową dzielność,
W rozkoszy tych nieśmiertelność
W tę jedną, ach, tylko wierzę!

Przed twym ożywczym płomieniem
Dusza ma kielich otwiera,
Rozkwita z dziewiczem drżeniem
W świateł i woni obłoku,
W twych ustach i w twoim wzroku
Znajdując wieczność, umiera.

Eros zawstydzi się blady
Przed moich pragnień pożarem;
Wśród sennej życia biesiady
Pijąc nadziemskie słodycze,
Wszystkie łzy twoje przeliczę
Dobyte szczęścia nadmiarem.

A gdy się strawi doszczętnie
To życie nic już nie warte,
W ostatniej chwili, namiętnie,
Na twojem oparty łonie,
W nowe się blaski przesłonię,
Patrząc w twe oczy otwarte.

NA PAMIĄTKĘ.

Na pamiątkę, żem chwil kilka
Żył w czarownych marzeń kole,
Że z nich jedna, jedna chwilka,
Zostawiła wspomnień pole,
Na pamiątkę, cóż zostanie?

Na pamiątkę, żem przez ciernie
Drogi życia przeszedł wiernie,
I bez skargi, jak przez róże,
Że nie zgięły mego czoła
Żadne wichry, żadne burze,
Na pamiątkę cóż zostanie?

Na pamiątkę natchnień rzewnych
Com piastował w swojej duszy,
I tych kilku dźwięków śpiewnych
Co wiatr uniósł i przygłuszy,
Na pamiątkę łez ukrytych,
Ideałów niezdobytych,
Na pamiątkę cóż zostanie?

1869.

JEDNA CHWILA.

Zobaczyłem ją tylko na chwilę,
I już pewnie nie ujrzę jej więcej:
Dziwny los!
W moich piersiach wstało pragnień tyle,
Moje serce zabiło goręcej
Na jej głos.

A jednakże zostanę nieznany,
Nie wywołam żadnego wspomnienia
Ani łzy,
I nie wiedząc, czy byłbym kochany,
Niezniszczone uniosę pragnienia,
Próżne sny.

Gdym ją ujrzał, myślałem, że ona
Przyjdzie do mnie, z anielskiem spojrzeniem
Zwróci twarz,
I wyciągnie ku mnie swe ramiona
Mówiąc: „Jestem twojem przeznaczeniem
Wszak mnie znasz?“

I myślałem, że przed nią uklęknę,
I zawołam w nadziemskiej ekstazy
Słodkim śnie:
„Jesteś wszystkiem, co dobre i piękne,
Ja cię kocham nad wszystkie wyrazy,
Kochaj mnie!“

Lecz złudzenie moje krótko trwało,
Poszła dalej, zimno, obojętnie:
Próżnom drżał;
Nie widziała, co się ze mną działo,
Nie przeczuła, żebym dla niej chętnie
Życie dał;

I zniknęła, jak w sennem marzeniu,
A jam jeszcze w naszych uczuć wierzył
Cichy ślub,
Bom w tem krótkiem przelotnem widzeniu,
Długie lata słodkich wzruszeń przeżył
U jej stóp.

1869.

RÓŻNE ŁZY.

Szedłem gajem samotny i cichy,
I spotkałem dziewicę nadobną;
Ta łzy lała na kwiatów kielichy
I twarz miała, jak Niobe, żałobną.
Jej westchnienia z lekkiem wiatru drżeniem
W jedną falę spływały harmonii,
I w powietrzu mięszały się z tchnieniem
Wonnych mirtów, jaśminów, lewkonii.

Łez widokiem wzruszony, co cieką,
Zapytałem, dlaczego się smuci;
Na to rzekła: „Odjechał daleko,
I nie wraca, i może nie wróci"...
Te wyrazy tak proste i smętne
Ostrzem noża utkwiły w mem sercu,
I tłumiłem pragnienia namiętne
Idąc dalej po łąki kobiercu.

I usiadłem nad morzem samotny
Wyklinając me życie tułacze,

I łzy lałem na piasek wilgotny,
Że już teraz nikt za mną nie płacze...
Me westchnienia przygłuszył szum fali,
Serce moje pękało z żałości,
Myśl za morze popłynęła dalej,
I zostałem jako głaz w ciemności.

SERENADA.[1])

Patrz! oto wiosna znów
Najsłodsze niesie ci tchnienia,
I czoło twoje ocienia
Wieńcem kwitnących bzów;
Czy czujesz w niemym zachwycie
Wdzięk nowy i nowe życie?
O luba mów!

Czy czujesz dziwne pragnienia,
Ożywczy powiew płomienia,
Urok niebieskich snów?
Czy czujesz tę woń w błękicie,
Co serca przyspiesza bicie?
O luba mów!

Słyszysz miłości śpiew?
Słyszysz, jak wietrzyk szeleści,
Kwiaty całuje i pieści,
Igrając pośród drzew?

---

[1]) Dla Anieli Grudzińskiej.

Słyszysz w tej cichej godzinie
Harmonię, co w serca płynie
Z nadziemskich stref?

I kojąc ludzkie boleści
Przynosi w sennej powieści
Najtkliwszych uczuć siew?
Słyszysz, jak skryty w jaśminie
Słowik wygłasza jedynie
Miłości śpiew?

Czy widzisz światła rzut?
Który w błękitów przestrzeni
Wśród nocy niebo rumieni,
Zwiastując słońca wschód.
Czy widzisz, widzisz tam w dali,
Jak księżyc igra na fali
Spokojnych wód?

Czy widzisz w blasku promieni,
W grze świateł i lekkich cieni,
Wiecznej piękności cud?
Czy serca twego nie pali
Płynący w wianku korali
Jutrzenki wschód?

Jeżeli w sercu twem
To wszystko słyszysz i czujesz,

Jeżeli rozkosz zgadujesz,
Co świat ożywia tchem;
Jeźli twe usta różane
Gonią pragnieniem owiane
Za jakim snem;

Jeśli się w niebo wpatrujesz,
I wonne kwiaty całujesz
Z wzruszeniem walcząc swem:
Zejdź do mnie, dziewczę kochane,
Kończyć marzenia wiośniane
Na sercu mem.

1869.

ACH, JAK MI SMUTNO!

Ach, jak mi smutno! mój anioł[1]) mnie rzucił,
W daleki odbiegł świat,
I próżno wzywam, ażeby mi zwrócił
Zabrany marzeń kwiat.
Ach, jak mi smutno! cień mnie już otacza,
Posępny grobu cień;
Serce się jeszcze zrywa i rozpacza,
Szukając jasnych tchnień;
Ale napróżno uciszyć się lęka,
I próżno przeszłość oskarża rozrzutną:
Cięży już nad niem niewidzialna ręka...
Ach, jak mi smutno!

[1]) Aniela Grudzińska.

DZIEŃ I NOC.

Dzień ma swój uśmiech ponętny,
Błyszczącą weselem postać,
I ogień życia namiętny;
Więc chciałem przy nim pozostać...
Ale z kolei na straży,
Stoi noc pełna zazdrości,
Zdejmuje wesołość z twarzy,
I uśmiech ginie w ciemności...

Noc ma swój smutek niebieski,
Tęsknotę pragnień serdeczną,
Rozsiewa po kwiatach łezki,
Więc chciałem zrobić ją wieczną.
Lecz znowu jasność paląca,
Burzy gmach nocnych bławatów,
Urocze widma roztrąca,
I rosę wypija z kwiatów.

Ty masz dnia jasne oblicze,
Wdzięk nocy, co duszę pieści,

Twoje spojrzenie dziewicze,
Łzy razem i uśmiech mieści.
Chcąc zgodzić pragnienia sprzeczne,
Na żadną nie trafić zmianę,
Przy tobie na czasy wieczne,
Przy tobie luba zostanę!

NAWRÓCENIE.

Gdy miała szesnaście latek,
Była, ach! bardzo sceptyczną:
Nie chciała wierzyć, gdym mówił,
Że jest prześliczną!
Wątpiła o swej urodzie,
W uczucie wierzyć nie chciała:
Kiedym jej miłość wyznawał,
Tylko się śmiała!

Lecz dzisiaj po latach wielu,
Wiara w jej serce wstąpiła,
I nawrócona zupełnie,
Żałuje, że wprzód wątpiła...
Ufna w potęgę miłości,
Wspomnienia pragnie odświeżyć,
Wierzy, że jeszcze ją kocham,
Lecz ja przestałem już wierzyć...

DWA SPOTKANIA.

Spotkałem go w młodości dniach;
W objęcia moje upadł on,
I rzekł mi: „Bracie, w wspólnych snach
Znajdziem zwycięstwo albo zgon!“

Spotkałem go po latach wielu,
Spotkałem na środku rynku;
W objęcia padł: „Ach, przyjacielu“,
Zawołał: „chodźmy do szynku“.

1869.

NA PRZEDPIEKLU.

Raz mi tak żona dopiekła,
Żem się powiesił na górze;
Ciało zostało na sznurze,
A dusza poszła do piekła.
Strącona w otchłanie ciemne
Trzęsła się cała ze strachu,
Po siarki przykrym zapachu
Poznając państwo podziemne.

Zaledwie biedaczka dusza
Stanęła w przepaści na dnie,
Gdy dziki Cerber wypadnie
Targać za poły kontusza;
I tak jął szarpać zdradziecko,
Że gdym się bronić sposobił,
To on tymczasem już zrobił
Z kontusza tunikę grecką.

Więc w takim klasycznym stroju
Ja, szlachcic i Podolanin,
Szedłem, a duchy po kroju
Mniemały, żem jest poganin.
Charon w łańcuchy mnie okuł
I zawiódł na odwach prosto,
Gdzie przed piekielnym starostą
Spisywać trzeba protokół.

Na sądzie Eak zasiadał,
Przy nim Rhadamant z Minosem;
Spojrzeli na mnie ukosem,
Żądając, bym się spowiadał.
Widząc, że patrzę przed siebie,
Nie wiedząc, co mówić zgoła,
Rhadamant gniewny zawoła:
— „Coś przyszedł robić w Erebie?
„Jakie do niego masz prawo?
„Jakie masz w piekle zasługi?
„Czy szereg twych zbrodni długi
„Występną okrył cię sławą?
„Czyś może jako wódz srogi
„Rozpuścił na świat swe hordy?
„Siałeś pożogi i mordy
„Wzywając do walki bogi?
„Lub może jak Tytan nowy
„Niebiosa pobiegłeś gwałcić,

„I ziemię chciałeś przekształcić
„Niszcząc fatalizm duchowy?
„Możeś był zemsty Orestem,
„I w krwi swych blizkich się pławił?
„No, powiedz, czemżeś się wsławił?
„Mordami? zdradą? incestem?“

Na to ja, szlachcic struchlały,
Rzekłem: — Niech porwą mnie djabli,
Jeżeli dotknąłem szabli
Przez życia mego wiek cały!
Jestem człek prawy, zamożny...
Moi piekielni panowie,
Co wam też świta po głowie
Bym miał być taki bezbożny?!
Żyłem przykładnie na roli,
Czysty przed ludźmi i Bogiem,
Nikomu nie byłem wrogiem,
Strzegłem się wszelkiej swawoli;
Gromiłem życie namiętne,
Próżne marzenia postępu
Nie miały do mnie przystępu,
Doktryny były mi wstrętne.
Nie gustowałem w poezyi,
Pogańskich nie czciłem bogów,
Strzegłem się ideologów
I heroicznych herezyj.
Prowadząc życie w porządku,
Nie miałem większej ambicyi,

Jak zostać... posłem w Galicyi,
Gdziem słynął z swego rozsądku.
Ale czart jakiś mnie zbiesił,
Gdy mocniej zalałem głowę:
Różne zgryzoty domowe
Sprawiły, żem się obwiesił.

Gdym skończył, wstał Minos straszny
I rzekł: — „Co robić z tym fantem,
„Z Beotem i obskurantem?
„Dla piekła jest za rubaszny!“
I tak po krótkich namowach,
Wszyscy trzej mrucząc pod nosem,
Rhadamant, Eak z Minosem
Zawarli wyrok w tych słowach:
„Idź jeszcze na ziemię bracie,
„Zająć się twojem rzemiosłem,
„A będziesz wybrany posłem,
„Zasiędziesz nawet w rajchsracie;
„A kiedy już w delegacyi
„Staniesz w obronie wolności,
„Chcąc nam dochować wdzięczności,
„Pamiętaj o propinacyi!
„I nie trać nigdy nadziei,
„Walcz śmiało na każdej sesyi,
„Zdobędziesz dużo koncesyi...
„Banków i nowych kolei.

„Choćby kto za złe poczytał,
„Śmiej się! bo sprawa jest czysta,
„Wszakże kraj na tem skorzysta,
„Jeśli powiększysz kapitał.
„Piekła się nie bój tem bardziej,
„Bądź tylko śmiało bezczelnym!
„Honorem ręczym piekielnym,
„Że piekło tobą pogardzi".

NOKTURNO.

Na dworze wicher i słota,
Tak smutno, mroczno i chmurno,
Po szybach deszczyk przygrywa,
A wicher śpiewa nokturno.

Tańcują pożółkłe liście,
Tańcują para za parą,
Ja siedzę smutny w kąciku
I w przestrzeń spoglądam szarą.

Czegoś mi tęskno i straszno,
Patrzę bezmyślnie przed siebie,
A coraz ciemniej mi w duszy,
I coraz ciemniej na niebie.

Czy tylko wicher tak jęczy,
Kręcąc się z deszczem dokoła?
Czy tam nikt więcej nie płacze?
Nikt więcej na mnie nie woła?

Bo słyszę jakieś wzdychania,
I jakieś głosy mi znane,
Które brzmią strasznie, ponuro,
Wstępując w serce stroskane;

I jakieś blade postacie,
Do moich okien się tłoczą:
Patrzą się na mnie szyderczo,
Śmieją się ze mnie i droczą...

I nie pytając: czy wolno?
Wchodzą do mego mieszkania,
A każda z drwiącym uśmiechem
Przedemną nizko się kłania.

I ciągną w długim szeregu,
Szeleszcząc jak suche liście,
I tańczą para za parą
Przy dzikim wichru poświście.

„Chodź z nami!“ — wołają na mnie,
„Wszakżeż ty do nas należysz?
„Minioną przeszłością żyjesz,
„I jeszcze kochasz i wierzysz?

„Ty się nas przecież nie wyprzesz,
„Jak się ci wszyscy wyparli,
„Co myślą: że żyją jeszcze,
„Choć dawno duchem pomarli.

„Chodź do nas! dalej do koła!
„Z nami zabawisz się pięknie,
„I będziesz tańczyć i śpiewać,
„Póki ci serce nie pęknie!

„Lepiej niech pęka odrazu,
„W krwawej przeszłości uścisku!
„Niż ma zastygać powoli
„Na brudnem ludzi śmiecisku.

„Masz zostać przez nich zdeptanym,
„Lub stać się z niemi zaprzańcem,
„Wolisz pójść w ciemność za nami
„Bawić się śpiewem i tańcem!“

Tak mnie wołają i kuszą
Coraz to śmielej natrętniej,
I otaczają mnie kołem...
A w oczach coraz mi mętniej.

I czuję, że mnie unoszą;
Brzmi strasznie wichru muzyka,
Świat się podemną zapada...
Wtem nagle wszystko mi znika.

I pusto w moim pokoju,
Na świecie mroczno i chmurno,
Po szybach deszczyk przygrywa
A wicher śpiewa nokturno.

SCHERZO.

Siedzi w oknie cały ranek,
Do wieczora siedzi,
Siedzi ciągle smutny Janek,
Czeka odpowiedzi.

Do swej lubej list wyprawił,
Na odpowiedź czeka,
Sześć miesięcy w oknie strawił,
Wzdycha i narzeka.

List wyprawił przez gołębia,
Gołąb nie powrócił;
Może spotkał gdzie jastrzębia,
Co mu drogę skrócił.

Wodzi okiem wciąż po niebie,
Na posłańca czeka,
Patrzy w górę, znów przed siebie...
Pies na niego szczeka.

Pytaniami wszystkich nudzi,
I zaczepia co dnia
Ptaki, chmury, nawet ludzi,
Każdego przechodnia.

Wszyscy się już z niego śmieją
Szczerze lub obłudnie;
On się żywi wciąż nadzieją,
Coraz bardziej chudnie.

Dziś znów patrzy w jedną stronę
I wzdycha okropnie!
Słońce poszło spać znudzone,
Zrobiło roztropnie.

Księżyc wyszedł już z gospody,
Po niebie się toczy,
Zrumienione ma jagody
I nabrzękłe oczy;

Podpił sobie starowina,
Tacza się wśród drogi,
I do gwiazd się brać zaczyna,
A te przed nim w nogi.

Więc niechętnie idzie dalej,
Gorzko się uśmiecha,
Mrucząc: „Djabli to nadali:
„Starość nie uciecha!“

„Oj te gwiazdy! ród zdradliwy,
Każda z nich jest płocha,
Dziś dlatego, żem już siwy,
Żadna mnie nie kocha".

„Młodość za to miałem sławną,
Kochały mnie więcej,
A to temu tak niedawno,
Lat coś sześć tysięcy".

Kiedy ujrzał smutny Janek
Starego na niebie,
Wychylił się z za firanek,
Wzywa go do siebie:

„O mój stary przyjacielu,
Zbiegłeś drogi tyle,
Siadaj u mnie na fotelu,
Spocznij choć na chwilę;"

„Musisz być zmęczony pewnie
Dzisiejszą podróżą..."
Księżyc na to mruknął gniewnie:
„Nogi mi nie służą!

„A tu trzeba spacerować
I świecić latarką
Wszystkim, co chcą romansować
Księżnom, czy kucharkom".

„I tych samych klątw, uniesień,
Słuchać wciąż od ludzi,
Czy to wiosna, czy to jesień,
To mnie djablo nudzi!“

„Każdy myśli z tych młodzików,
Że on tylko jeden
Pełną piersią wykrzykników
Odkrył nowy eden“.

„Że on pierwszy z swoją miłą
Między gwiazdy zalazł,
I że przedtem nic nie było:
On miłość wynalazł!“

„Gdy go zdradzi ładne dziecię,
Wtedy znowu mniema,
Że na całym bożym świecie
Nieszczęśliwszych niema“,

„I dziwuje się bez końca
Utraciwszy zdradną,
Że księżyce, gwiazdy, słońca,
Na nos mu nie spadną“.

Janek przerwie: „Srebrny panie
Jesteś w złym humorze,
Lecz na moje zapytanie
Odpowiesz mi może“,

„Nie będziesz się na mnie srożył
Za pospólstwa winy,
Wszak wiesz, że mnie Pan Bóg stworzył
Z innej całkiem gliny".

„Moja miłość, to nie zwykłe
Śmiertelnych mamidła,
To nie zmysłów cacko nikłe,
To nie bańka z mydła!"

„Moja miłość, ta wyrosła
Ponad poziom ziemi,
W niebo czysty skarb uniosła
Skrzydłami swojemi".

„Nic wspólnego nie ma z zmienną
Ludzkich uczuć nędzą,
Gdyż oplotła świat promienną,
Idealną przędzą".

„Ona wyższą nad egoizm
I nad serca klęski...
Moja miłość, to heroizm
Dumny i zwycięzki!"

„Ja nie pragnę nic dla siebie,
Dla szczęścia własnego,
Bo w miłości mojej niebie
Niema nic ziemskiego;"

„Nic nie pragnę, nic nie żądam,
Tak niczego więcej,
Oprócz wieści, co wyglądam
Od sześciu miesięcy“.

„Chciałbym tylko wiedzieć tyle
O moim aniele,
Jak przepędza smutne chwile?
Czy nie cierpi wiele?“

„List posłałem przez gołębia,
Nie mam wzamian wieści,
Więc niepokój mnie przygnębia,
Usycham z boleści“.

„W twoje ręce los mój składam,
Powiedz, że jest żywą;
Oddam wszystko, co posiadam
Za tę wieść szczęśliwą“.

Księżyc odparł: „Jesteś hojny,
Bo posiadasz mało,
Lecz gdy jesteś niespokojny,
Powiem prawdę całą“.

„Jest mi miło, że cię mogę
Tak łatwo pocieszyć.
Powiem krótko, bo mi w drogę
Czas się już pospieszyć“.

„Byłem właśnie mimochodem
W tamtej stronie z rana,
I widziałem jak ogrodem
Szła twa ukochana“,

„Przy niej ładny szedł chłopaczek,
Patrzała nań słodko,
I nie jeden spiekła raczek
Bawiąc się stokrotką;“

„Potem list twój wydobyła
Z kieszonki fartuszka,
I o tobie coś mówiła
Tamtemu do uszka“,

„I usiadła z nim pod drzewem
Z śmiechem list podarła...“
Na to Janek krzyknie z gniewem:
„Bodajby umarła!“

„O niegodna! o zdradliwa!
Tak mnie zwieść szkaradnie,
Co mi z tego, że jest żywa...
A niechaj przepadnie!“

Księżyc zaczął śmiać się głośno,
Ramionami wstrząsał,
Słysząc furyę tę miłośną.
Janek wciąż się dąsał.

Aż staremu się znudziło
Słuchać, jak się żali,
I wyklina swoją miłą;
Chciał wędrować dalej.

Spostrzegł Janek, że staruszek
Zaczyna się zżymać,
Chciał go schwycić za kożuszek,
Żeby go przytrzymać,

Ale księżyc w mig się sprawił
Przewidziawszy łapkę,
W ręku Janka pozostawił,
Tylko lisią czapkę.

1870.

ABDYKACYA.

Sukienkę miała w paseczki
Perkalikową,
We włosach polne kwiateczki,
Twarzyczkę zawsze różową;
Nie było piękniejszej dzieweczki,
Daję wam słowo.

Była doprawdy królewną
Cudownych krajów,
I miała orkiestrę śpiewną
W królestwie zielonych gajów,
I armię kwiatów powiewną,
Brzegiem ruczajów.

Gdy zbrojna ruszyła w pole,
Wraz z wojskiem swojem,
Wszystko spełniało jej wolę:
Słynęła w świecie podbojem,
I mnie zabrała w niewolę
Nad jasnym zdrojem.

Miała na swoje rozkazy
Nadziemskie moce,
Poranki słodkiej ekstazy,
Rajskich pożądań owoce,
Gwiaździstych sfer krajobrazy,
Wiosenne noce.

Nie wiem, dlaczego złożyła
Berło liliowe,
I na koronki zmieniła
Swoje korony tęczowe:
Wiem, że Arkadya straciła
Swoją królowę.

Dziś tylko... wielką jest damą,
Strojną bez miary,
Ma pałac z herbem nad bramą,
Kaprysy spełnia mąż stary,
Ale już nie jest tą samą,
Znikły ach! czary.

I choć króluje na balu
W każdym salonie,
Znać na niej jakiś cień żalu:
I marzy, wspierając skronie,
O swej sukience z perkalu
I polnych kwiatów koronie.

1870.

PRZESTROGA

Ty, lube dziewczę, masz duszę tkliwą,
Co się pięknością wszelką zachwyca,
Jednak ci radzę, chcesz być szczęśliwą,
To za mąż idź za szlachcica!

Poetycznego nie bierz kochanka!
Poezya w życiu, to ból i troski;
Ty przedewszystkiem jesteś szlachcianka,
Trzeba ci z mężem i wioski.

Bardzo rozsądnie robi twa matka,
Łamiąc kaprysik twój idealny...
Miłość, to jakaś ciemna zagadka,
Majątek, ten jest widzialny!

Przeminie wiosna rozkosznych wrażeń
I sny przeminą, któremi żyjesz,
I śmiać się będziesz z dziecinnych marzeń,
Skoro troszeczkę utyjesz!

I będziesz wdzięczną swej matce potem,
Na bal w poczwórnej jadąc karecie,
Żeś zaślubiła worek ze złotem,
Dawszy odkosza poecie.

1870.

JEDNI I DRUDZY.

Są jedni, którzy wiecznie za czemś gonią,
Za jakąś marą szczęścia nadpowietrzną,
W próżnej gonitwie siły swoje trwonią,
Lecz żyją walką serdeczną.

I całą kolej złudzeń i zawodów
Przechodzą razem z rozkoszą i trwogą,
I wszystkie kwiaty zrywają z ogrodów,
I depczą pod swoją nogą.

Są inni, którzy płyną bez oporu
Na fali życia unoszeni w ciemność,
Niby spokojni i zimni z pozoru,
Bo widzą walki daremność.

Zrzekli się cierpień i szczęścia się zrzekli,
Zgadując zdradę w każdym losu darze,
Przed swojem sercem jednak nie uciekli,
I własne serce ich karze!

Gdy się spotkają gdzie w ostatniej chwili
Jedni i drudzy przy otwartym grobie,
Żałują, czemu inaczej nie żyli,
Wzajemnie zazdroszczą sobie.

LUDZKOŚCI!

Ludzkości! ty Atreusza rodzie!
Wśród ciągłych walk idziesz naprzód niespokojna,
I własną pierś ranisz w tym pochodzie,
Głucha na łzy, nienawiścią zbrojna.

Przebyty ból płacisz nową męką,
I chcąc się mścić, mścisz się wiecznie, lecz na sobie,
Bo każdy cios twą zadany ręką
Spycha cię w dół we krwi i żałobie.

Tyś sama jest katem i ofiarą,
I padasz w proch, kiedy kroczyć chcesz zwycięsko,
I tryumf twój jest dla ciebie karą,
I zwycięstw szał jest dla ciebie klęską!

Lecz mimo klątw, bólu i zwątpienia,
Przeczuwasz cel, ku któremu dążysz zwolna:
On czoło twe zawsze opromienia,
Choć ująć go jeszcześ nie jest zdolna.

1871.

WĄTPLIWOŚCI.

Strumień mówi: „Nie rozumiem, na co
„Muszę wiecznie z gór w doliny płynąć?
„Mój ruch ciągły próżną tylko pracą,
„Kiedy w morzu mam bez śladu ginąć...“
Na to kwiaty w dolinie rosnące:
„Ty się nie skarż o dobry strumieniu!
„Twoje wody sączą życie łące,
„Są niezbędne naszemu istnieniu“.

Kwiaty mówią: „Dziwne nasze losy!
„Po co wonie rozsiewać z kielicha?
„Po co błyszczeć kropelkami rosy?
„Gdy z nas każdy tak szybko usycha“.
Na to dziewczę: „Dola wasza, kwiaty,
„Jest podziwu godną i zazdrości,
„Waszym wdziękiem ożywiacie światy,
„Sercom ludzkim niosąc woń piękności“.

Dziewczę mówi: „Na co mi uroda?
„Na co w sercu słodkich wzruszeń tyle?

„Szkoda marzeń serdecznych, ach szkoda!
„Wszystko zniknie, jako sen za chwilę".
Na to młodzian: „Szczęścia nikt nie mierzył
„Dnia długością, lecz tem, co mu dano,
„Bóg ci skarby uczucia powierzył,
„Byś kochała i była kochaną".

Młodzian mówi: „Ach w tym życia boju,
„Co wre ciągle przedemną i we mnie,
„Próżno szukam szczęścia i spokoju,
„Po co żyję? gdy walczę daremnie".
Na to usta dziewczęcia milczały,
Lecz rączkami oplotła mu szyję,
Wątpliwości, jako śnieg stopniały,
I nie pytał więcej, po co żyje.

W CICHEJ PRZYSTANI.

Kiedy już umrę, każ mi matko miła,
Włożyć do trumny białe ślubne szaty.
Będę o cichych zaślubinach śniła
Ubrana w mirtu i pomarańcz kwiaty;
Niech śmierć mi wdzięku marzeń nie umniejsza...
W marzeniach serca leży dziwna siła,
Od samej śmierci miłość jest silniejsza!

Nie wiem dlaczego, lecz w ostatniej chwili
Inaczej patrzę na życia koleje:
Serce już losom oprzeć się nie sili,
Przebyta boleść cichnie i maleje,
I wszystko znika na kształt snu przykrego,
Który blask dzienny na zawsze rozwieje,
Choć w oczach jeszcze pełno łez od niego.

Dawniej zbyt często duch bólem miotany
Stawał oporem przeciw woli bożej,
Smutnych przeznaczeń żądając odmiany,
I zwrotu szczęścia utraconej zorzy;

Za ziemskim rajem tęskniąc najgoręcej,
Bezsilną walką powiększał swe rany,
I nad swą boleść nic nie widział więcej...

Dziś, gdyby anioł, co stoi nademną,
Dał mi moc losem rozrządzić do woli,
I po swe szczęście wrócić w przeszłość ciemną,
Jużbym nie chciała... dusza, gdy przeboli
Raz wszystkie ziemskie cierpienia serdeczne,
Nie chce się nagiąć do znikomej doli,
I tylko sięga po to, co już wieczne!

Dziś mogę patrzeć wolna od goryczy
Na te palące przeszłości widziadła;
Ból już na grozie stracił tajemniczej,
I wymarzona szczęśliwość pobladła;
I wszystkie straty najcięższe w wspomnieniu
Spływają w jeden obraz malowniczy,
Zstępując do mnie w cudnem oświetleniu.

Z spokojem patrzę na tę postać drogą,
Co prowadziła mnie w słoneczne światy:
Na chwile słodkie, w których ludzie mogą
Własnych serc wonią poić się, jak kwiaty,
I żyć bez pragnień, czasu i przestrzeni,
Nie dotykając nawet ziemskiej szaty,
A tylko w słońce miłości wpatrzeni.

Z równym spokojem spoglądam na cienie,
Które zaćmiły mój obrazek złoty;
Widzę noc czarną... trwogę... rozłączenie...
Próżne nadzieje, żale i tęsknoty.
Nawet śmierć jego wspominam z spokojem,
A z piersi żadne nie rwie się westchnienie,
I łzy już żadnej niema w oku mojem.

A jednak we mnie miłość nie umarła,
Tylko pełniejszej żąda szczęścia miary:
O nieśmiertelność skrzydła swe oparła,
Poza grób sięga jasnym wzrokiem wiary,
I przerzucona w drugą światów stronę
Znajduje wszystko, co tutaj mrok szary
Pokrył dla oczu śmiertelnych zniknione.

Jestem zbyt pewną, że cudowna siła,
Która dwa serca łączy kochające,
Choćby nie istniał, jeszczeby stworzyła
Raj, gdzieby mogły zejść się po rozłące;
Więc kiedy przyjdzie ów cichy cherubin
Zamknąć mi oczy, to ja będę śniła,
Że mnie kochanek wzywa do zaślubin.

WIDMO JESIENI.

Tak żywe niegdyś błękity
Cieniami zaszły szaremi;
Jakiś duch mgłami spowity
Zimną dłoń kładzie na ziemi.

Przez mgieł przejrzyste zasłony
Przegląda postać widziadła:
Wzrok jakby mgłami zaćmiony,
Twarz chłodna, smutna, wybladła.

Na czole wieniec zczerniały
Kropelki sączy wilgotne...
Po kwiatach, co się rozwiały,
Zostały ciernie samotne.

Tak płynie z schyloną twarzą,
Roznosząc ciszę złowrogą,
A łzawe spojrzenia rażą
Sennością, smutkiem i trwogą.

Przyciska do ziemi łona
Dłoń skrzepłą: ziemia się wzdryga,
Lecz tchem grobowym rażona
Martwieje, głuchnie, zastyga.

KAMIEŃ.

Ja tylko jestem kamieniem,
I jako niemowlę tu,
Objęty matki ramieniem,
Cichego używam snu.

Ledwie świt ducha półsenny
Mnie z łona martwości zwie,
I w mojej piersi kamiennej
Poczuciem istnienia tchnie.

Jeszczem związany łańcuchem
W szeregu bezwiednych brył,
Z ogólnym natury duchem,
Z kolebką bezwiednych sił.

Jednak przeczuwam powoli,
Że zacznie pierś moja bić,
I marzę o ludzkiej doli
Chcę kochać, cierpieć i żyć!

I wierzę, iż ten, co kruszy
Dziś moją powłokę, grom,
Otworzy dla mojej duszy
Wspanialszy cielesny dom.

I witam z dreszczem rozkoszy
Każdy zadany mi gwałt,
W zniszczeniu, co mnie rozproszy,
Zgadując przyszłości kształt.

Tam! gdzie się boleść zaczyna,
Bezwiednej martwości kres,
A nad nią boska kraina,
Gdzie miłość wykwita z łez.

Przez wszystkie śmierci ogniwa
Postępu ciągnie się nić,
Ból samowiedzę zdobywa,
Chcę cierpieć, kochać i żyć!

SPÓŹNIONA ODPOWIEDŹ.

Miałem raz jedną szczęścia chwilę,
Chwilę rozkoszną, lecz zbyt krótką:
Patrzałaś na mnie dziwnie a mile,
Siedząc cichutko.

Ja byłem wtenczas tak wymowny!
Tyś mnie słuchała, pieszcząc pieska;
Na ustach uśmiech wykwitł czarowny,
A w oku łezka.

Mówiłem wiele w upojeniu,
Miłością brzmiało każde słówko,
A tyś tonęła w słodkiem marzeniu
Z schyloną główką.

Widziałem serca twego bicie,
Widziałem w wzroku wzruszeń tyle...
Ach jeszcze dzisiaj oddałbym życie
Za taką chwilę!

Wyznałem moją miłość całą,
Czekając, co mi powiesz sama;
Nie wiem, co wtenczas ze mną się działo...
Wtem weszła mama!

Ja się zmięszałem, tyś się zlękła,
I odtrąciłaś rączką pieska,
Pierzchła odpowiedź, i w locie pękła
Bańka niebieska.

Potem ubiegło czasu wiele,
Czekałem długo na odpowiedź,
Aż usłyszałem w jedną niedzielę
Twoją zapowiedź.

1870.

XIX-MU WIEKOWI.

Wieku bez jutra, wieku bez przyszłości,
Co nad przepaścią stanąłeś ponury!
Nauczycielu zgrozy i nicości,
Coś wziął ludzkiego ducha na tortury!
Wieku zwątpienia, o wieku niewiary,
Jakże ty strasznym jesteś dla cierpiących!
Sfinksową twarzą patrzysz na ofiary,
Szyderstwem żegnasz w męczarniach ginących,
Śląc im do grobu te słowa najkrwawsze:
Wszystko skończone, giniecie na zawsze.

Na co się przyda, mistrzu, twa nauka,
Na co się przyda dla błądzącej rzeszy?
Gdzież masz pociechę, której ona szuka?
Gdzież masz tę miłość, która ją rozgrzeszy?
Dałeś jej ziemi obszary jałowe,
I dożywotnie dałej jej dziedzictwo,
Ale zabrałeś najlepszą połowę,
Idealnego świata uczestnictwo.

Choć jasne źródła stoją jej otworem,
Ona z nich przecież rozkoszy nie czerpie,
I woła, sercem upadając chorem:
„Po co ja żyję, umieram i cierpię?“

USPRAWIEDLIWIENIE.

Odtrąciłem od siebie z daleka
Samolubną boleść, co się żali;
Jednak w piersiach mam serce człowieka,
I nie jestem ukuty ze stali.

Więc dźwigając swoich smutków brzemię,
Czuję nieraz, że mi braknie sił,
I upadam zmęczony na ziemię,
Odkrywając rany, którem krył.

Lecz słabości nie wstydzę się swojej,
Ni litości cudzej, którą czerpię:
Mnie czasami żądać jej przystoi,
Gdyż nietylko sam za siebie cierpię.

Wszystkie ludzkie nędze i rozpacze
W swojem sercu pomieszczone mam,
Gdy nad szczęściem utraconem płaczę,
To nad czyjem? Nie wiem dobrze sam!

KARNAWAŁOWY LAMENT POETY.

O poezyo! ty nie grzejesz,
A tu takie ciężkie mrozy:
Dobrze jeszcze tym, co mają
Ciepłe futra i powozy,
Lecz nam, dzieciom Apollina,
Strasznie zimno być zaczyna.

Poezyami palić trzeba,
Drzewo bowiem podrożało,
A te dużo dają dymu
Ale za to ciepła mało.
Najognistszą paląc odę,
Zamroziłem w piecu wodę.

O, szczęśliwy ten śmiertelnik,
Co się zrodził milionerem,
Co przy cyfrze swego mienia
Jest ostatniem wielkiem zerem,
Bo on właśnie o tej porze
Jest u hrabstwa na wieczorze.

W salonowej dam cieplarni,
Pośród kwiatów egzotycznych,
Sam zakwita purpurowo
Przy libacyach ustawicznych,
I podziwia dziewic gracyę:
Oczekując na kolacyę.

Tak mu dobrze, tak mu ciepło,
Hrabia jemu rękę ściska,
A hrabina, ta z nim tańczy,
Panny chcą go widzieć z blizka,
Robiąc przytem spostrzeżenie,
Że ma piękne ułożenie.

Blaskiem spojrzeń czarujących
On się pieści i ogrzewa,
A ja z domu uciec muszę,
Bo mi całkiem brakło drzewa.
Poetyczna wena skrzepła:
Trza u ludzi szukać ciepła.

Pędzę szybko przez ulicę,
Palto wiatrem mam podszyte;
Jest to smutna ostateczność
Iść się ogrzać na wizytę,
Ale cel uświęca środki,
A więc idę grzeczny, słodki...

W jednym domu, w drugim domu
Odpowiada mi służący,
Że dziś państwo są na mieście
Na herbacie tańcującej.
Na to tylko ten karnawał,
Żebym ludzi nie zastawał!

Aż nareszcie, gdy skostniałem,
O radości! o rozkoszo!
W jakiem czwartem, piątem miejscu
Lokaj mówi: „Państwo proszą".
Gdybym był ach demokratą,
Uściskałbym jego za to.

Wchodzę spiesznie do salonu:
Cieplej niby, niż na dworze,
Ale pani jakaś kwaśna,
Panna także nie w humorze,
I chłód wieje nieustanny
Z twarzy pana, pani, panny.

A rozmowa, jak po grudzie,
To podskoczy, to ustanie,
Choć dom cały błyszczy w świecie
Przez wykwintne wychowanie
I w ogólnem tu pojęciu
Jest przybytkiem muz dziewięciu.

Rozmawiamy więc o wszystkiem,
O Bulwerze i Kaulbachu,
O muzycznem towarzystwie,
O Mozarcie, Glucku, Bachu,
O Alhambrze i Walhalli
I tam dalej, i tam dalej.

Panna bowiem co minuta
Z ust wyrzuca wielkie imię,
Ja powtarzam, ale widzę,
Na fotelu pan już drzymie;
Chcę odchodzić, gdy wtem matka
Mówi do mnie: „Jest herbatka".

Ach herbata, ta herbata,
Co podają nam we Lwowie,
Ta nikomu wyjść nie może
Na pożytek i na zdrowie:
Biedny jesteś nieboraku,
Co ją pijesz bez araku.

Trzeba było jednak spełnić,
Ocukrzoną czarę do dna,
Szczęście jeszcze, że na drugą
Prosić tutaj rzecz nie modna.
Nie odniosłem zatem szwanku:
Cieplej było po rumianku.

Aż tu widzę, panna idzie
Z miną dziwnie zamyśloną,
I przynosi wielką księgę
Bardzo ładnie oprawioną;
Z trwogą patrzę się tajemną,
Że ją kładzie tuż przedemną.

I wspierając się o stolik,
Z wielkim wdziękiem się kołysze,
Mówiąc do mnie: „Ja słyszałam,
„Że pan zdolnie wiersze pisze,
„Do albumu więc mojego,
„Pan wymyśli co ładnego.

„Jest tu dużo wielkich ludzi,
„Gapczykiewicz, Totumfacki,
„I ten Gucio, co to robi
„Lepsze wiersze, niż Słowacki,
„Tylko brak mi jeszcze pana,
„Ale jego grzeczność znana...“

Ha, co robić, za herbatę,
Trzeba album wziąć przez grzeczność
I powracać z niem do domu:
Smutna, smutna ostateczność!
Tak więc dźwigam wielką księgę,
Klnąc te mrozy na potęgę.

Spać zawcześnie, to mię zmusza,
Do miejskiego wejść kasyna,
I spotykam mego krawca,
Co o dług się upomina;
A tam krawcy znaczą tyle,
Co w Egipcie krokodyle... [1])

1870.

[1]) Na wiersz ten, wydrukowany w *Kłosach*, odpowiedziała w temże piśmie, podobną formą wiersza, Emilia Lejowa.

REPLIKA. [1])

Lubię święte oburzenie,
Lubię pathos ten dziewiczy,
Co przy każdej śmiesznej scenie,
Swoje *„shocking“* głośno krzyczy,
I tragicznej czeka roli,
By wypłakać się do woli.

Lubię czułość, co się pasie
Wierzb płaczących gorzkim listkiem,
W poetycznym cienkim kwasie
Lubując się przedewszystkiem,
I co w niebo by leciała,
Gdyby tylko skrzydła miała.

Ja to lubię... bo to właśnie
Przypomina mi Angielkę,
Co nad książką zanim zaśnie,
Zlewa swoje łzy w butelkę,
Żeby mogła wszystkim dowieść,
Jak ją wzrusza tkliwa powieść.

---

[1]) Jest to odpowiedź na wiersz Emilii Lejowej.

Tych Angielek dziś bez liku
Na wysokich nogach brodzi,
Pełno płaczu, pełno krzyku:
„Słońce zaszło! księżyc wschodzi!“
Dzień się kończy lub zaczyna,
Do łez zawsze jest przyczyna.

Wielkie słowa, małe smutki,
Lecą tędy i owędy,
Czuć kolońskiej zapach wódki,
Dużo piżma i lawendy,
A westchnienia brzmią tak śpiewnie,
Że niechcący człowiek ziewnie.

A gdy ziewnie... hałas wielki:
„O bezbożnik! o bluźnierca!
„*Shocking*“ krzyczą te Angielki,
„Ach ten człowiek nie ma serca!
„Ziewnął: jest to znak cynizmu:
„Trzeba użyć egzorcyzmu“.

Więc z kolei po porządku
Każda zacznie głos podnosić,
I ze łzami od początku
Wszystkie swoje cnoty głosić:
Ile w piersiach ma zapału
I poczucia ideału.

I wypowie bez wytchnienia
Śpiewnym głosem katarynki,
Post, jałmużnę, umartwienia...
Wszystkie dobre swe uczynki,
Całą duszę wyspowiada:
Powiedziawszy, jeszcze gada...

Poetyczne czyste dusze,
Namaszczone muz kapłanki!
Jeszcze raz was zgorszyć muszę,
Dusze bielsze od śmietanki,
Gdyż w mych piersiach siedzi szatan
Brzydszy jeszcze niż Lewiatan.

Ten, jak każdy duch przeklęty,
Na święconą wodę parska,
A z nienacka napadnięty
Kiereszuje het z tatarska,
Mając usta śmiechu pełne,
Nie obwija słów w bawełnę.

On dziś moim jest suflerem,
Trzyma pióro w koźlich łapach
Kiedy piszę... nad papierem
Ulatuje siarki zapach,
I mój każdy rym najprostszy
Swoim rogiem szatan ostrzy.

Czyste dusze, wiedzcie przeto,
Że czasami śmiać się można,
Że niewielką jest zaletą,
Zjadłszy dobrą pieczeń z rożna,
Nad nieszczęściem łzy przelewać
I przy cytrze dumki śpiewać.

Śmiech jest dobry, śmiech jest zdrowy,
Uspokaja słabe nerwy;
Cały Olymp bóstw różowy,
Nie wyjmując i Minerwy
Śmiać się lubi, i swawolą
Wszystkie Muzy i Apollo.

W śmiechu szukać trza lekarstwa
Na te spazmy, palpitacye,
Serc choroby i kuglarstwa,
Które młodą generacyę,
Rozkochaną w ciągłym żalu,
Wiodą prosto do szpitalu.

Odkąd humor i jowialność
Przepędzono precz za bory,
Znikła wszelka naturalność,
Znikło zdrowie i kolory;
Nawet praczka, bieląc płótno,
Jak Elektra wzdycha smutno!

Dziś już niema lubych psotnic,
Rzucających blask wesoły,
Pełno za to jest suchotnic;
Same duchy i anioły,
W niebo lecą, gdy wychudną,
Więc na ziemi jest tak nudno!

Smutnych cieni cała legia
W ossyanicznych mgłach się chowa,
Co krok stąpisz jest elegia
Tajemnicza i grobowa;
Chorobliwe wszędzie cnoty,
Nigdzie wdzięku i prostoty.

A z chłopcami większa bieda:
Skończy który lat szesnaście,
Już pozuje na Manfreda,
Idzie błądzić nad przepaście,
Do poświęceń wszystkich zdolny...
Tylko nie do pracy szkolnej.

Dużo uczuć, mało pracy,
Pracą gardzi nasza dziatwa,
W kąt Iliada! w kąt Horacy!
Bohaterstwo rzecz tak łatwa,
Dosyć wstąpić na koturny,
Mieć wzrok czuły i pochmurny.

Gorszy jeszcze tworzą rodzaj
Nasi wieszcze rozkiełznani;
Na tych wielki jest urodzaj:
Wschodzą, chociaż nie zasiani,
Z bajronicznych wschodzą grządek,
Głusząc piękno i rozsądek.

Bo ich Muzy, to nie owe
Helikońskie wdzięczne Muzy,
Ale jakieś ćmy wężowe,
Niby Furye i Meduzy:
Co im tylko w ręce wpadnie,
To poszarpią w lot szkaradnie.

Nad Bachantki, co rozniosły
Orfeusza krwawe członki,
Sroższym jest ten niedorosły
Zastęp zbrojny w dzikie mrzonki,
Gdyż się pastwi wciąż na nowo
Nad ojczystą słodką mową.

Czyż więc można brać na seryo
Ten Tytanów ród skrzywiony?
Widząc z jaką fanaberyą
Kładzie Ossy na Peliony,
By się gwałtem dostać w wieczność,
Gdzie króluje niedorzeczność.

1870.

SPIS TREŚCI T. I.

Str.

Adam Asnyk. Człowiek i poeta. Przez F. Hoesicka . . V
Poezya Asnyka na tle współczesnej epoki. Przez W. Prokescha XXXIX

I. WIERSZE RÓŻNE.

Publiczność i poeci. — Publiczność do poetów 3
Poeci do publiczności 10
Odłamowi Psychy Praxytelesa 21
Asceta 31
Legenda pierwszej miłości 38
Julian Apostata 44
Aszera 49
Pod stopy krzyża 53
Rodzinnemu miastu 58
Przebudzona 64
Różowa chwilka 69
Helenie Modrzejewskiej 74
Freski starożytne — Thetys i Achilles 79

II. KWIATY.

Niezabudki kwiecie 89
Bławatek 94
Róża 96
Powój 99
Lilie wodne 102

Str.
Dzwonki 105
Mirty 109
Fijołki 112
Kwiat paproci 114

III. ALBUM PIEŚNI.

Między nami nic nie było 119
Zwiędły listek 120
Posyłam kwiaty 122
Ja ciebie kocham 124
Życzenie 126
Ach, powiedz! 127
Ty czekaj mnie 129
Rezygnacya 130
Powrót piosenki 132
Tęsknota 134
Anielskie chóry 135
Bez granic 136
Płaczącej 137
Dziwny sen 139
Idź dalej 141
Na śniegu 142
Uwielbienie 144
Myślałem, że to sen 145

IV. Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Siwy koniu 149
Szumi w gaju brzezina 150
Klątwa 151
Huczy woda po kamieniach 152
Błąka się wicher w polu 153
Bodaj owa rzeczka 155
Nie będę cię rwała 156
Chłopca mego mi zabrali 158

Str.
Pan Jezus chodzi po świecie 160
Czary 162
Przykro, przykro jest dębowi 166
Zdradzieckie drzewo 167
Gdy... 171
Siedzi ptaszek na drzewie 174
W chacie... 176
Słonko 180

V. MOZAJKA.

Wspomnienie 185
Pożegnalne słowo 189
Echo kołyski 191
Z podróży Dunajcem 193
Marzenie poranne 196
Do... 201
Nagrobek 203
Zmarłej 205
Endymion 207
Rada 209
Szkoda! 212
Gdybym był młodszy... 213
Karmelkowy wiersz 215
W albumie 217
Anakreontyk 219
Na pamiątkę 221
Jedna chwila 222
Różne łzy 224
Serenada 226
Ach, jak mi smutno! 229
Dzień i noc 230
Nawrócenie 232
Dwa spotkania 233
Na przedpiekle 234

Str.
Nokturno 239
Scherzo 242
Abdykacya 250
Przestroga 252
Jedni i drudzy 254
Ludzkości 256
Wątpliwości 257
W cichej przystani 259
Widmo jesieni 262
Kamień 264
Spóźniona odpowiedź 266
XIX-mu wiekowi 268
Usprawiedliwienie 270
Karnawałowy lament poety 271
Replika 277

PG
7158
A9
1916
t.1

Asnyk, Adam
Pisma

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY